Kanał Zero – biznes polityczny • Pierwsza wdowa Ameryki • Anatomia orgazmu
Nocne picie w stolicy • Marek Belka: pora na euro • Porażka edukacji zdrowotnej

POLITYKA.PL

POLITYKA

LIDER SPRZEDAŻY

TYGODNIK, nr 40 (3534), 1.10–7.10.2025

Cena 13,90 zł (w tym 8% VAT)
nr indeksu 369195

© JACEK POREMBA

Chopin show, Chopin szał

Rusza olimpiada pianistów.

Rozmowa z Erykiem Kulmem, odtwórcą filmowej roli Chopina

s. 14

USA 4,60 USD; KANADA 4,69 CAD; WIELKA BRYTANIA 2,50 GBP; SZWECJA 30 SEK; CZECHY 75 CZK; KRAJE STREFY EURO 4,95 EURO

Wydanie w sprzedaży do 7.10.2025

ISSN 0032-3500

40>

9 770032 350503

RAINBOW

R.pl

Wszystkie Oblicza Egzotyki

Indonezja · Wietnam · Tajlandia · Sri Lanka

eprasa.pl 6b266ec372

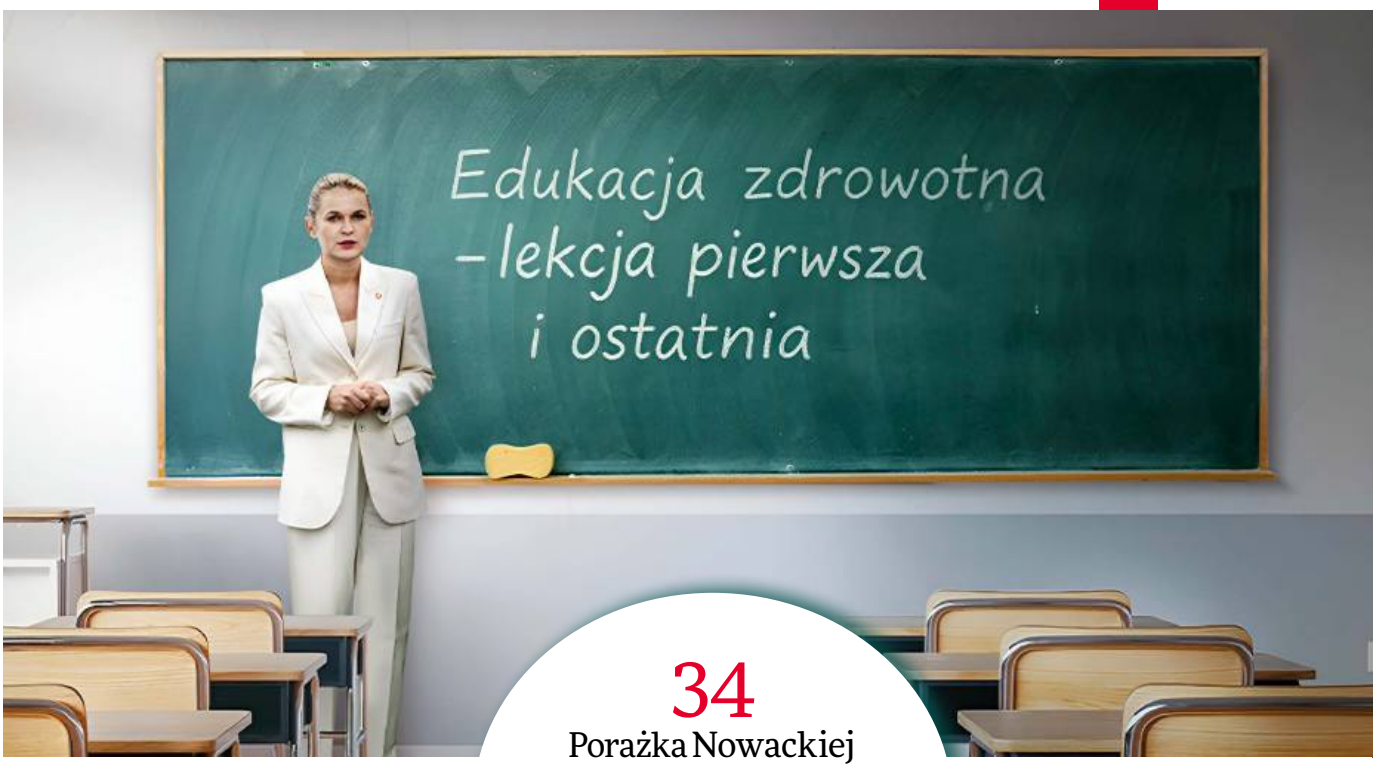

© ARKADIUSZ CUDNY

34
Porażka Nowackiej

Temat tygodnia

12 Dorota Szwarcman **Konkurs Chopinowski – nasze flagowe wydarzenie eksportowe**

14 **Eryk Kulm**, odtwórca głównej roli w superprodukcji „Chopin, Chopin!", o swoich doświadczeniach muzycznych i aktorskich

Polityka

18 Rafał Kalukin **Kanał Zero – zaplecze medialne prawicy**

21 Anna Dąbrowska, Violetta Krasnowska **Mariusz Haładyj – tajemniczy nowy prezes NIK**

Społeczeństwo

24 Marcin Kołodziejczyk **Jak się pije nocą w Warszawie – reportaż uczestniczący**

27 Adam Grzeszak **Co trzeci student porzuci studia przed dyplomem**

30 Juliusz Ćwieluch, Katarzyna Kaczorowska **Ostatni alarm w sprawie schronów**

34 Joanna Cieśla **Niezdrowe emocje wokół edukacji zdrowotnej**

37 Ryszarda Socha **Jak żaglowce ścigają się po dotacje**

Rynek

40 Prof. **Marek Belka**, były premier, były prezes NBP, o tym, dlaczego powinniśmy wejść do strefy euro

44 Cezary Kowanda **Portale ujawnią rzeczywiste ceny mieszkań**

Świat

48 Łukasz Wójcik **Donald Trump i Beniamin Netanjahu – egzotyczny tandem polityczny**

51 O nowej erze wielobiegunowego świata mówi znawca Chin prof. **Bogdan Góralczyk**

54 Tomasz Zalewski USA **Erika Kirk – pierwsza wdowa**

Nauka/projektpulsar.pl

56 Marta Alicja Trzeciak **Anatomia żeńskiego orgazmu**

59 Olaf Szewczyk **Niebezpieczne kosmiczne śmieci**

62 Co dziś powiedziałby nam Sokrates, mówi jego biograf prof. **Krzysztof Łapiński**

Historia

64 O nowym technofaszyzmie opowiada **Jason Stanley**, autor książki „Wymazywanie historii"

68 Anna Kalinowska **Janusz Radziwiłł, 20-letni ambasador RP w Londynie**

71 PROSTO Z KSIĄŻKI

Kultura

76 Piotr Sarzyński **Miejska zieleń: parki, ogródki, skwery, woonerfy...**

80 Rozmowa z rumuńskim reżyserem **Radu Jude** o jego nakręconym smartfonem filmie „Kontinental '25"

82 Janusz Wróblewski **Festiwal w Gdyni: pokoleniowa zmiana w polskim kinie**

85 Justyna Sobolewska **Thomas Pynchon – stare-nowe odkrycie literackiej jesieni**

88 MEA PULPA **Kuby Wojewódzkiego**

Ludzie i style

94–97
- **AI wskrzesicielka**
- **Nowy wiral: rapture**
- **Powszechne odblokowanie**
- **Zaułki Lubeki**
- **W obronie wina**

Stałe rubryki

• **4** Przypisy • **6** Ludzie i wydarzenia • **72** Afisz • **89** Passent • **90** Orliński • **91** Chutnik i Plebanek • **92** Mizerski • **93**, **98** Galeria POLITYKI • **93** Do i od redakcji • **98** To jeszcze nie koniec

! Korzystaj tylko z wiarygodnych źródeł informacji

eprasa.pl 6b266ec372

Totalne wku

Jerzy Baczyński

Wizerunkowe porażki obozu rządzącego – a było ich ostatnio sporo – mają na ogół ten sam mechanizm: strach przed tym, co powiedzą politycy i wyborcy opozycji. Liderzy koalicji często sprawiają wrażenie, jakby bardziej obchodził ich elektorat cudzy niż własny. Kilka świeżych przykładów. Alkoholowa „cisza nocna" w Warszawie. W tej frakcyjnej rozgrywce w PO główny kuluarowy argument był taki, że nie można zrażać młodych – w domyśle „imprezowych" – wyborców Konfederacji. Wyszło odwrotnie: na portalu Zero, głównym dziś medium młodej prawicy (więcej o tym fenomenie na s. 18) kpinom z Trzaskowskiego i alkofanów z PO nie było końca. Ostatecznie, po zawstydzających przepychankach, ten zakaz ma być jednak wprowadzony. Nie udało się więc obłaskawić grupek nocnych imprezowiczów (o nocnym piciu w Warszawie na s. 24), za to udało się wkurzyć setki tysięcy własnych, mieszczańskich wyborców.

Piszemy w tym numerze („Jak zamienić złoto w błoto", s. 34) o kolejnej zawstydzającej porażce koalicji, czyli masowym bojkocie nowego przedmiotu „edukacja zdrowotna". Potrzebny, dobrze zaprojektowany, ale wprowadzony bez dostatecznego przygotowania i w trakcie kampanii wyborczej, został politycznie ugrobiony. Publiczny atak ze strony Kościoła, PiS i Konfederacji najpierw wystraszył Trzecią Drogę, potem także sztab Trzaskowskiego; pospiesznie więc zmieniono status EZ na nieobowiązkowe zajęcie dodatkowe. Warto przypomnieć, że PiS nie miał takich wahań, kiedy obowiązkowo wprowadzał do szkół swój mocno zideologizowany przedmiot historia i teraźniejszość ani kiedy – mimo licznych protestów – likwidował dobrze już osadzone w systemie edukacyjnym gimnazja.

To idźmy dalej: Sejm nie zdołał odrzucić w pierwszym czytaniu prezydenckiego projektu ustawy o przywróceniu „wielkiego CPK". Ku radości opozycji lojalność koalicyjną złamał (podobno odchodzący z polityki) marszałek Hołownia i część jego klubu. To jeszcze nie koniec koalicji, ale ta symboliczna utrata większości sejmowej bardzo wzmacnia roszczenia Karola Nawrockiego, aby odgrywać rolę trzeciej izby parlamentu. Jednak tym razem ważny jest też temat: „wielkie CPK" wciąż straszy jak zombie. Megalomański, irracjonalny projekt (na 100 mld zł i 100 mln pasażerów) został przez koalicję 15 października zredukowany do rozmiarów jakoś tam akceptowalnych, choć nadal niezależni eksperci uważają ten projekt za przerośnięty, niedogodny, ryzykowny finansowo i militarnie. Jeden dron, z takich, jakie zapewne Rosjanie wypuszczali w tym tygodniu nad kilka europejskich lotnisk, mógłby sparaliżować cały CPK i cały polski transport. Ale wszyscy ulegają hurapatriotycznemu szantażowi.

Wydawało się, że dlatego wyborcy w październiku 2023 r. odsunęli PiS od władzy, bo mieli dosyć arogancji, buty, megalomanii, skorumpowania tamtej elity. Więc miał być szybko zrobiony i przedstawiony publicznie audyt stanu państwa, stanowczość w przywracaniu praworządności i rozliczaniu afer PiS. Zaczęło się obiecująco. Mimo awantur wyjęto spod kontroli PiS TVP, prokuraturę, nawet panowie Kamiński i Wąsik zostali zatrzymani w prezydenckiej kryjówce. Sejmflix Szymona Hołowni niósł nadzieję na uspołecznienie polityki, konsultacje, otwartość komunikacyjną. Ale szybko polityka koalicyjna utonęła w kolejnych kampaniach wyborczych, współpracę zastąpiła rywalizacja, premier zajął się głównie sprawami bezpieczeństwa i polityką zagraniczną, rozliczenia wepchnięto do niewydolnych komisji śledczych, a linią przewodnią koalicji stało się oczekiwanie na zwycięstwo wyborcze Rafała Trzaskowskiego. Katastrofą okazała się praktyka informacyjna.

Od dawna wygląda tak, jakby rząd realizował agendę nie swoją, ale PiS i Konfederacji, tyle że w wersji soft. Priorytet dla zbrojeń, hojne wydatki socjalne, chłód w relacjach z Niemcami – blokada granicy przed rzekomymi tłumami nachodźców z zachodu, rosnący „ukrainosceptycyzm", dystans wobec tzw. lewicowych szaleństw (stołeczna prohibicja, Zielony Ład) itd. Przywoływany jest argument, że tak musi być, bo „cały świat przesunął się na prawo" i strumpizował. Ale to raczej usprawiedliwienie niż prawda. Demokraci przegrywają z populistami głównie przez lękliwość, niedostosowanie do dzisiejszych warunków i form komunikacji, brak pewności siebie, emocji, autentyczności, dosadności. Nie przypadkiem największe brawa podczas Campusu w Międzyzdrojach Rafał Trzaskowski zebrał, mówiąc, że po przegranej odczuwał „totalne wkur...ienie".

Jeśli popatrzeć, na czym polega siła prawicowego przekazu, to znajdziemy składniki, którymi każdy liberalny demokrata się brzydzi. Szantaż emocjonalny, histeria, niemiłosierny patos, teorie spiskowe, szczucie na „wrogów" i obcych, odwoływanie do Boga, wiary, wielkości Narodu, grupowego narcyzmu. Polityka w tym wydaniu staje się coraz bardziej infantylna, jajcarska, nieodpowiedzialna, groźna. Ale przecież przed dwoma laty w Polsce zobaczyliśmy, że większość wyborców to raczej rozsądni, trzeźwi „normalsi". Zapewne nadal chcieliby żyć w kraju spokojnym, przyjaznym wobec sąsiadów, europejskim (czemu nie z euro? – jak proponuje Marek Belka, s. 40), respektującym prawa kobiet, dzieci (i zwierząt), chroniącym klimat i środowisko (bez protestów właśnie wprowadzamy system kaucyjny). Jednak ta większość dała się zakrzyczeć. A rządząca (i dzieląca się) koalicja porzuciła swoją niedawną opowieść o lepszej Polsce. 15 października będzie okazją, żeby ją sobie i nam przypomnieć. Jeśli nie, demokratycznych polityków (i wyborców) czeka na końcu to, co Rafała Trzaskowskiego – totalne wkur...ienie.

eprasa.pl 6b266ec372

Albatros travel

Pełne wyżywienie na statku

GRENLANDIA
– REJS WZDŁUŻ ZACHODNIEGO WYBRZEŻA

Niezapomniany rejs na pokładzie statku Ocean Albatros podczas arktycznego lata przez zatokę Disko do wpisanego na listę UNESCO Icefjordu z górami lodowymi.

Wybierz się w rejs statkiem Ocean Albatros wzdłuż zachodnich brzegów Grenlandii. Podziwiaj lodowce, góry lodowe, fiordy oraz kolorowe osady i miasteczka. Odwiedzimy Ilulissat z lodowcowym fiordem UNESCO, bazaltowe formacje Qeqertarsuaq i wyspę Uummannaq – najdalej na północ wysunięty punkt wyprawy. Pontony Zodiak umożliwią dotarcie do odległych plaż i wiosek. Spotkamy mieszkańców Grenlandii i poznamy ich kulturę. Wszystkie kabiny na Ocean Albatros są zewnętrzne, komfortowe i z prywatną łazienką.

10 dni
Wylot z Warszawy
21/08 2026

33.998,-

4,8 / 5

Romantyczna Anglia - zamki, legendy i malownicze pejzaże

Zobacz największe atrakcje Anglii, od królewskiego Windsoru i malowniczych wiosek Barnaby'ego po miejsce urodzenia Churchilla i zagadkowe kamienie Avebury.

Program wycieczki: Dz. 1 Przelot Warszawa - Londyn. Oksford oczami inspektora Morse'a i dolina Tamizy detektywa Barnaby'ego. **Dz. 2** Zwiedzanie Windsoru wraz z rezydencją królów angielskich. **Dz. 3** Szekspir i Stratford-upon-Avon oraz zachwycające krajobrazy Cotswolds z Chipping Campden. **Dz. 4** Angielski urok Bibury i pałac Blenheim. **Dz. 5** Rzymskie miasto Bath. **Dz. 6** Avebury, Salisbury i Bournemouth. **Dz. 7** Bournemouth – Portsmouth. Powrót do Warszawy.

7 dni | Wylot z Warszawy 20/05 2026 | 6.498,-

Klasyczne Chiny i rejs po rzece Jangcy

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy. **Dz. 2** Przylot do Pekinu. Świątynia Nieba. **Dz. 3** Pekin. Wielki Mur Chiński, fabryka porcelany i ceremonia parzenia herbaty, Wieża Bębna, hutongi oraz Pekińska Opera z kolacją (dodatkowo płatne). **Dz. 4** Pekin. Plac Niebiańskiego Spokoju, Zakazane Miasto, Wzgórze Węglowe i nocny pociąg do Xi'an. **Dz. 5** Przyjazd do Xi'an. Wielka Pagoda Dzikich Gęsi, miejskie mury obronne i Wielki Meczet. **Dz. 6** Xi'an. Terakotowa Armia, tybetańska świątynia Guangren i teatr Tang z kolacją (dodatkowo płatne). **Dz. 7** Xi'an – Chongqing. Zoo, Pałac Ludowy, Muzeum Trzech Przełomów, wejście na pokład statku na rzece Jangcy. **Dz. 8** Rzeka Jangcy. Atrakcje na statku. **Dz. 9** Rzeka Jangcy. Trzy Przełomy i Rzeka Bogini. **Dz. 10** Yichang – Szanghaj. Tama Trzech Przełomów i pociąg ekspresowy do Szanghaju. **Dz. 11** Szanghaj. Budynek Jin Mao, bazar Yuyuan, Muzeum Szanghajskie, sklep z jedwabiem oraz pokaz akrobatyczny z kolacją (dodatkowo płatne). **Dz. 12** Szanghaj. Wycieczka do miasta na wodzie Zhujiajiao i pożegnalna kolacja. **Dz. 13** Szanghaj. Czas wolny i wylot do Polski. **Dz. 14** Przylot do Warszawy.

14 dni | Wyloty z Warszawy 07/05, 11/06, 17/09, 15/10 2026 | 13.998,-

albatros.pl
Warszawa, ul. Marszałkowska 76, 8p.
rezerwacja +48 22 128 48 81

Kod reklamy: **PL38**

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty resjowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe

eprasa.pl 6b266ec372

Hołownia oddaje partię

To nie są najlepsze tygodnie w historii partii Szymona Hołowni. Słupki poparcia nie zbliżają się nawet do 5 proc. progu wyborczego, nie widać nadziei – ani pomysłu – na przezwyciężenie słabości, a lider po klęsce w wyborach prezydenckich ewidentnie stracił zapał do krajowej polityki. W listopadzie przestanie być marszałkiem Sejmu, a w styczniu nie będzie kandydował na szefa partii. Szymon Hołownia chce za to zostać wysokim komisarzem ONZ ds. uchodźców.

Jego liczący 30 posłów klub 26 września wykonał spektakularny piruet, dzieląc się na trzy części w głosowaniu nad wnioskiem o odrzucenie w pierwszym czytaniu prezydenckiego projektu o CPK, konkurencyjnego wobec planów rządowych. Koalicja to głosowanie przegrała, bo aż dziewięcioro posłów Polski 2050 – w tym Hołownia – głosowało razem z PiS i resztą opozycji. 12 posłów się wstrzymało od głosu, siedmioro było za odrzuceniem projektu. Dwóch było nieobecnych. W Polsce 2050 popularna jest plotka, że Hołownia pracuje nad dobrymi relacjami z Karolem Nawrockim, właśnie dlatego że chce jego poparcia w staraniach o stanowisko wysokiego komisarza ONZ ds. uchodźców – i to dlatego głosował przeciw odrzuceniu jego projektu o CPK. Zresztą już minutę później lider Polski 2050 kolejny raz, tym razem w towarzystwie wszystkich posłów PSL, zagłosował inaczej niż KO, Lewica i większość własnej partii w sprawie obywatelskiego projektu o obowiązkowych lekcjach religii i etyki w szkołach.

Następnego dnia odbyła się rada krajowa Polski 2050. Posiedzenie było burzliwe; Hołownia ogłosił, że nie będzie kandydował na szefa formacji w styczniowych wyborach oraz dostał rekomendację partii na stanowisko wicemarszałka, które ma przypaść Polsce 2050 po oddaniu fotela marszałka w listopadzie. Sprzeciw części posłów sprawił natomiast, że rekomendacji na wicepremierkę nie dostała ministra funduszy Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz.

Deklaracji Hołowni o oddaniu władzy w ugrupowaniu nie powinno się lekceważyć; Polska 2050 może nie mieć poparcia, ale to wciąż niezbędny element w koalicyjnej układance. 30 posłów, trzy ministerstwa, spora garść mniej lub bardziej związanych z partią wiceministrów. Dla stabilności obozu władzy istotna jest stabilność jego udziałowców, nawet tych mniejszych. A o tę stabilność nie będzie łatwo. Sukcesja to dla większości partii duży kłopot. Rezygnacja Hołowni oznacza początek potencjalnie ostrej rywalizacji o przywództwo. Pełczyńska-Nałęcz, faworytka tego starcia, nie jest posłanką i ma w klubie wielu przeciwników. Zresztą – ktokolwiek wygra, nie będzie miał pozycji i autorytetu Hołowni; trudno będzie utrzymać jedność klubu, a jeszcze trudniej – narzucić mu spójną strategię. Część posłów będzie ciążyła ku KO lub PSL, inni będą się zapewne starali zachować autonomię. Niewiadomą pozostanie Hołownia i to, ile razy jeszcze uśmiechnie się do Nawrockiego.

W przypadku rozłamu w Polsce 2050 – nie jest to wcale nieprawdopodobny scenariusz, klub już teraz jest mocno podzielony – wzrosłoby ryzyko, że przed każdym posiedzeniem Sejmu trzeba będzie gorączkowo zabiegać o to, by rządowa większość miała naprawdę większość.

WOJCIECH SZACKI

Kto czyta dla sportu

Polska szuka czytelnika w miejscach nieoczywistych. W warszawskim metrze od niedawna działa biblioteka **(Metroteka na stacji Kondratowicza)**, by pasażerowie przystawali po drodze, odkleili oczy od smartfonów i udali się w inną podróż, literacką. Chociaż można tu też popracować przy laptopie. Wszystko jest nowatorskie: meble są parametryczne (sprawiają wrażenie, jakby falowały), rośliny uprawia się bez gleby (tzw. hydroponika).

Nad ziemią też się dzieje – Instytut Książki prowadzi program BookStadion dla młodzieży uzdolnionej sportowo. To seria spotkań i warsztatów promujących czytanie. Z badań wynika, że dzieci porzucają książki w wieku 9–11 lat. Jak wyjaśnia IK, dotyczy to głównie chłopców, bardziej zajętych aktywnością fizyczną i grami wideo. W ramach pilotażowej edycji BookStadionu przed rokiem odbyło się siedem spotkań, teraz w planie jest 25. Zajęcia są skierowane do podopiecznych szkółek piłkarskich, ale młodzi kibice też się mogą na część aktywności załapać. Tym razem akcja odbywa się na stadionach Widzewa Łódź, Lechii Gdańsk i Legii Warszawa. Klubowi zawodnicy działają zwykle mobilizująco. A wielkich tradycji nie mamy – do czytania spośród polskich sportowców wprost zachęca tylko Iga Świątek.

Młodzież czyta stosunkowo najwięcej – z badań Biblioteki Narodowej wynika, że po książki sięga 54 proc. osób w wieku 15–18 lat, kolejki do autorów young adult na targach też zwykle są najdłuższe. Ale generalnie poziom czytelnictwa nie zachwyca. Ok. 40 proc. Polek i Polaków sięga po jedną książkę rocznie. Gdy dobiliśmy do 43 proc. (2023), triumfowaliśmy. Jakimś sukcesem jest Narodowy Program Rozwoju Czytelnictwa, działający od 10 lat, nieruszany przez kolejne rządy, kończący właśnie drugą pięciolatkę i rozpoczynający trzecią. Bardzo się w tym czasie zmienił krajobraz bibliotek. Ale systemowych kłopotów jest jeszcze mnóstwo i nadal znikają kameralne księgarnie. W ramach Narodowego Czytania para prezydencka czytała w tym roku Jana Kochanowskiego – wydarzenie przeszło bez echa, upchnięte w kalendarzu między wizytą Karola Nawrockiego w Białym Domu a dożynkami na Jasnej Górze. Fraszka. (AŻ)

© ANDRZEJ IWAŃCZUK/REPORTER, WOJCIECH OLKUŚNIK/EAST NEWS, EPA/PAP, DARIUSZ GORAJSKI/FORUM

eprasa.pl 6b266ec372

Słodko-gorzki wynik

Polscy siatkarze wrócili z mistrzostw świata z brązowym medalem. Nie jest to wynik na miarę ich ambicji oraz pozycji w światowej siatkówce. W końcu są aktualnymi mistrzami Europy i wicemistrzami olimpijskimi, a niedawno wygrali w Lidze Światowej. Z drugiej strony należy pamiętać, że: drużyna jest w przebudowie, trener Nikola Grbić zabrał na Filipiny kilku debiutantów, poza tym w półfinałowym meczu z Włochami nie mógł grać kontuzjowany Bartosz Kurek, co okazało się dużym osłabieniem, nie w pełni sił był również Tomasz Fornal (uraz pleców). Zastępcy tym razem nie stanęli na wysokości zadania, duch drużyny nieco podupadł, a małe przewagi budowane w każdym trzech setów półfinału okazały się niewystarczające. Żeby nie powiedzieć: zgubne, bo im bardziej Polacy się rozpędzali, tym bardziej Włosi – którzy ostatecznie obronili tytuł mistrzów świata, pokonując Bułgarię – sprawiali wrażenie zdeterminowanych, by ich dopaść i pognębić. Końcówki setów grali już na swoich warunkach.

Rywalizacja polsko-włoska w siatkówce to już do bólu przewidywalna część w finałowych etapach najważniejszych turniejów. Niektórzy eksperci wzdychali, że i tym razem taki powinien być skład meczu o złoto, i deprecjonowali obsadę półfinału Czechy–Bułgaria, będącego efektem katastrofy murowanych turniejowych faworytów – Brazylii i Francji – którzy nie zdołali awansować z grupy. Z odpowiedzią na pytanie, czy mamy do czynienia z chwilowymi przetasowaniami w czołówce, czy też rysuje się nowy układ sił, trzeba jeszcze poczekać. Ale okazji do weryfikacji tych tez będzie coraz więcej

– siatkarscy bossowie zwietrzyli większe pieniądze płynące z reklam oraz praw telewizyjnych i od tego roku mistrzostwa świata będą się odbywać nie w cyklu czteroletnim, ale co dwa lata.

Ten mały regres – poprzednie trzy siatkarskie mundiale to dla Polaków dwa złota i srebro – raczej nie stanie się pretekstem do nerwowych ruchów i wzywania na dywanik trenera Grbicia. Zwłaszcza że ze wszystkich mistrzowskich imprez, w których prowadził Polaków, wracał z medalem, a poza tym odciska swój ślad również na stylu gry reprezentacji młodzieżowych – aby tzw. materiał ludzki gładko wchodził do drużyny. Budowa szerokiej kadry jest priorytetem, bo kolejny mundial za dwa lata w Polsce. (MP)

Trzaskowski wrócił na Campus

Mniej uczestników, mniej gości, mniejsze zainteresowanie mediów – taka była tegoroczna edycja Campusu, czyli sztandarowego przedsięwzięcia Rafała Trzaskowskiego dla młodych. Impreza odbyła się miesiąc później niż zwykle, a miejscem akcji nie był Olsztyn, lecz Międzyzdroje. To była dla Trzaskowskiego pierwsza okazja do pokazania się po porażce z Karolem Nawrockim. Prezydent Warszawy nie udzielał dotąd wywiadów i nie komentował nawoływania do ponownego przeliczenia głosów.

W swoim mieście, tuż przed Campusem, przegrał zaś rozgrywkę z radnymi KO – z których większość kontroluje szef struktur Platformy Marcin Kierwiński – w sprawie wprowadzenia w stolicy nocnej prohibicji. Trzeba było interwencji Donalda Tuska, żeby spór przerwać i Trzaskowski mógł ogłosić, że prohibicja wejdzie w życie w przyszłym roku.

W Międzyzdrojach zabrakło Tuska, Radosława Sikorskiego, liderów partii

koalicyjnych. Przylecieli ministra edukacji Barbara Nowacka i minister energii Miłosz Motyka; była też oczywiście grupa posłów bliskich Trzaskowskiemu – Sławomir Nitras, Katarzyna Lubnauer, Adam Szłapka, Agnieszka Pomaska czy Patryk Jaskulski. Głównym punktem programu była półtoragodzinna dyskusja Trzaskowskiego z dziennikarzami o kampanii prezydenckiej. Prezydent Warszawy ocenił, że „nie sprzyjały mu trendy", i przyznał, że „poddał się presji", gdy w kwietniu zaprosił Nawrockiego do debaty w Końskich, bo jego pierwotnym planem było ograniczanie liczby debat. Trzaskowski sugerował także, że w kampanii zabrakło jedności obozu władzy. Odpowiedzi prezydenta Warszawy nie do końca przekonały słuchaczy, którzy – jak wynikało z ich pytań i komentarzy – oczekiwali od niego czegoś więcej. Trzaskowski odparł, że po porażce czuł „wkur…", ale wciąż trzeba się bić, bo jest nadzieja na zwycięstwo w 2027 r. „Róbmy swoje" – mówił.

Trochę więcej można było usłyszeć w kuluarach od otoczenia Trzaskowskiego. W tym – narzekania na rząd (że swoimi zaniechaniami spowodował demobilizację wyborców), na Tuska (to o nerwowym wywiadzie dla Polsatu przed drugą turą) i Sikorskiego (bo „przegrzał temat piwa ze Sławomirem Mentzenem").
Ale nawet w tych rozmowach na offie brakowało pomysłu na to, jak to „róbmy swoje" miałoby konkretnie wyglądać. (WBS)

eprasa.pl 6b266ec372

TYDZIEŃ W POLITYCE

Wojna o umysły

Anna Siewierska
Profesor Uniwersytetu Rzeszowskiego, politolożka

Jesteśmy w stanie wojny. Czas odejść od jej tradycyjnej definicji. Możemy oczywiście operować przymiotnikami: hybrydowa, kognitywna, psychologiczna, informacyjna, ale w gruncie rzeczy to tylko ucieczka od rzeczywistości. A ta jest brutalna – wojna już trwa. Na razie ją przegrywamy, na własne życzenie. Nie piszę o rosyjskich dronach na polskim niebie, które pokazały lojalność naszych europejskich przeciwników. Ten akurat test zdaliśmy. Niestety w walce o nasze umysły Rosja wygrywa walkowerem. Rosyjska propaganda prowadzi na terenie Polski i Europy szeroko zakrojone działania wojenne, których ofiarą są prawda i zaufanie do instytucji państwowych oraz UE. Coraz większa część naszego społeczeństwa nie potrafi już rozpoznać kłamstwa i manipulacji, odróżnić informacji od opinii, zweryfikować źródła informacji. Rosjanie sterują naszymi umysłami za pośrednictwem tysięcy fałszywych kont rozsiewających dezinformację, ale po stronie wroga – i to chyba nawet gorsze – walczy cała armia pożytecznych idiotów z internetowego uniwersytetu chłopskiego rozumu, niedouczonych dziennikarzy i cynicznych polityków.

Michał Federowicz, przewodniczący Europejskiego Kolektywu Analitycznego Res Futura, który bada to zjawisko, zapytał ostatnio prowokacyjnie: Wyobrażacie sobie, że podczas niemieckiego bombardowania Londynu Winston Churchill pozwala na publikowanie artykułów, w których przekonuje się Brytyjczyków, że: „To w sumie nie wina Niemców, tylko Polaków", a w ogóle: „To nie nasza wojna"? Za to w Polsce w 2025 r. można swobodnie i bez najmniejszych nieprzyjemności pisać o „ukraińskiej prowokacji".

Każdego dnia Rosja przeprowadza cyberataki na kluczowe instytucje państwa i infrastrukturę krytyczną. Minister cyfryzacji Krzysztof Gawkowski przekonuje, że nasze cyberbezpieczeństwo jest w dobrych rękach. W to akurat wierzę, mamy przecież takich specjalistów jak choćby gen. dyw.Karol Molenda czy gen. bryg. Mariusz Chmielewski. To jednak wciąż tylko obrona. Rosja angażuje ogromne siły i środki, żeby wygrać wojnę kognitywną z Polską i krajami nadbałtyckimi, bo to podstawowy warunek, żeby Putin mógł myśleć o pełnoskalowej agresji na Zachód. My mamy cyberwojsko ograniczone archaicznymi regulacjami prawnymi i skrępowane destrukcyjnymi działaniami służb specjalnych, które bardziej przeszkadzają, niż pomagają.

Dlatego czas przestać się oszukiwać i przyjąć do wiadomości to, co jasno mówią wojskowi – konflikt już trwa. Rosyjska dezinformacja opanowała polskie media społecznościowe, a mikrotargetowanie pozwala jej manipulować umysłami niemal każdej grupy wiekowej czy społecznej. Na TikToku specjalne linie narracyjne zaprojektowano nawet dla maluchów, które nie znają jeszcze tabliczki mnożenia, ale już wiedzą, że Ukraińcy w Wołyniu nabijali dzieci na widły. Jakiejkolwiek informacji szukasz w internecie, wszędzie trafisz na rosyjską propagandę przebraną w jakiś kostium.

Nie pomoże nam najlepszy system antyrakietowy, jeśli nadal pozwolimy się bombardować taką ilością kłamstwa i dezinformacji. A skoro nie radzimy sobie w defensywie, to może czas przejść do ofensywy? Pora, żeby to Rosjanie dowiedzieli się, czym jest wojna kognitywna.

Media w służbie PiS

Powołana w kwietniu z inicjatywy ówczesnego ministra sprawiedliwości Adama Bodnara komisja ds. wyjaśnienia mechanizmów represji wobec społeczeństwa obywatelskiego w latach 2015–23 wydała pierwszy raport: dotyczy działalności mediów publicznych za czasów rządów PiS. Ma blisko 400 stron i odsłania mechanizmy manipulacji i dezinformacji. „Analizowane przez komisję materiały ukazują przemyślane strategie represji mające na celu uciszenie i destabilizację społecznego oporu" – podsumowała raport przewodnicząca komisji **Sylwia Gregorczyk-Abram**.

Opisane w raporcie, a znane jeszcze z PRL, metody okazały się skuteczne nie tylko dla kształtowania spaczonego obrazu polskiej rzeczywistości – w tym przede wszystkim działań opozycji ulicznej: KOD, Obywateli RP, Strajku Kobiet, organizacji pozarządowych zajmujących się prawami człowieka i praworządnością, grup społecznych, jak migranci i osoby LGBTQ, czy grup zawodowych, jak sędziowie, lekarze, nauczyciele. Równie skutecznie pogłębiły i utrwaliły podział polskiego społeczeństwa na dwa wrogie obozy.

Przejęcie kadrowe KRRiT sprawiło, że nie działały mechanizmy kontrolne przewidziane w ustawie medialnej. Rada chroniła media rządowe, nie nakładając kar nawet za najbardziej oczywiste i drastyczne łamanie ustawy, karała za to za naciągane przewinienia i przewlekała postępowania koncesyjne w przypadku mediów prywatnych, m.in. TVN, Polsatu, TOK FM.

Komisja przesłała raport Prokuraturze Krajowej, żeby ta przeanalizowała go pod kątem odpowiedzialności karnej. Sprawa może być jednak trudna. Ustawa medialna nie przewiduje odpowiedzialności karnej za jej łamanie. Na razie przewodniczący KRRiT Maciej Świrski został postawiony przed Trybunałem Stanu za sprzeniewierzenie się konstytucyjnej misji KRRiT i ustawowym obowiązkom.

Co można zmienić, by mechanizmy kontrolne były skuteczniejsze? Raport, oprócz uchwalenia nowego ładu w publicznej radiofonii i telewizji, proponuje m.in. zwiększenie wymagań co do kompetencji członków KRRiT, wprowadzenie ochrony sygnalistów, nałożenie na PAP zadania factcheckingu i zwalczania dezinformacji, stworzenie specjalnego funduszu z części środków budżetowych na realizację misji publicznej. (ES)

© PAWEŁ WODZYŃSKI/DDTVN/EAST NEWS

eprasa.pl 6b266ec372

POLITYKA SKLEP

Zapraszamy na wygodne zakupy!
Dla siebie i bliskich. Kupuj dla szkoły, firmy, instytucji.

Kupuj nasze aktualne wydawnictwa

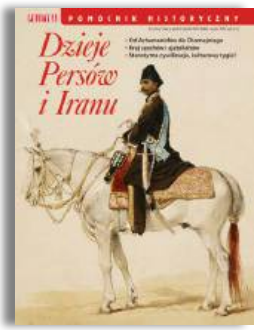

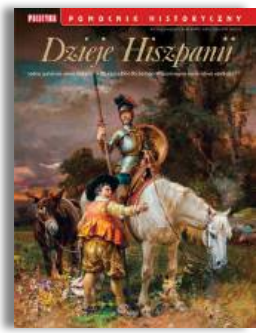

Prenumeruj uniwersalnie w druku i cyfrze

Już od 10,75 zł / wydanie

Cyfrowe wydania specjalne (EPUB)

Przy zakupach powyżej 150 zł **dostawa gratis**.

Pełna oferta na **sklep.polityka.pl**

Prenumerata „Polityki", „Wiedzy i Życia" oraz „Świata Nauki" także z bezpłatną dostawą do wybranego InPost Paczkomat 24/7

eprasa.pl 6b266ec372

Trump uwierzył w Ukrainę

Donald Trump ukazał pozytywny wymiar swojej nieprzewidywalności. Ku zaskoczeniu wszystkich nakreślił wizję zwycięstwa Ukrainy w wojnie z Rosją – odzyskania wszystkich okupowanych terytoriów, a nawet „pójścia dalej". Miałoby się to stać wskutek fatalnej sytuacji gospodarczej Rosji, nieudolności jej armii („papierowego tygrysa"), dzięki wsparciu NATO, Europy i amerykańskiej broni. Trump kibicem Ukrainy nigdy nie był, przez całe miesiące sekundował Rosji, a **Wołodymyra Zełenskiego** próbował nakłaniać do kapitulacyjnego pokoju. Teraz miał jednak lepiej „zrozumieć sytuację", sfrustrowany bezskutecznością negocjacji z Władimirem Putinem.

Zmianę poglądów ogłosił, gdy przywódcy świata zjechali się do Nowego Jorku na sesję ONZ, na której rosyjska agresja nie tylko na Ukrainę, ale i na państwa NATO była jednym z głównych tematów. Jakby tego było mało, przychylił się nawet do sugestii zestrzeliwania rosyjskich samolotów naruszających granice Sojuszu. Zdumienie było powszechne, bo kilka godzin wcześniej sekretarz stanu Marco Rubio zalecał w tej sprawie powściągliwość. Ale Trump najwyraźniej chciał dopiec Rosji i Putinowi za to, że nie dają mu zakończyć tej wojny, z którą chciał się uporać najszybciej. Zebrał więc rzadkie ostatnio brawa od europejskich sojuszników, ale też usłyszał pytanie: co dalej?

Trump zapracował na powątpiewanie w deklaracje, których za chwilę może nie pamiętać lub je odwrócić. Świeża wiara w zwycięstwo Ukrainy to za mało, potrzebne są sankcje i broń, którymi da się dotkliwie ugodzić Rosję (np. Tomahawki, o które prosił Zełenski), a na to prezydent USA wciąż nie może się zdecydować. Uderza więc Ukraina coraz skuteczniej tam, gdzie rosyjską gospodarkę i budżet Kremla boli najbardziej – w sektor energetyczno-paliwowy. Precyzyjnymi atakami dronowymi na nieraz bardzo odległe rafinerie i terminale udało się tak zmniejszyć ich moce produkcyjne, że mieszkańcy części regionów godzinami stoją w kolejkach po paliwo, a często nie mogą zatankować. Finansujący się z eksportu paliw rząd został zmuszony do wstrzymania do końca roku sprzedaży benzyny za granicę. Dla ratowania budżetu Moskwa wprowadziła od nowego roku dwupunktową podwyżkę podatku VAT (do 22 proc.).

Mimo problemów na froncie Rosjanie nie oddają pola. Udało się powstrzymać ich marsz na Kramatorsk, ale na włosku wisi los bronionego od dwóch lat Kupiańska. Kijów czuje więc powiew nadziei, ale nawet najwięksi fani ukraińskiego zwycięstwa nie wierzą, żeby wymęczona ponad trzema latami wojny armia była w stanie szybko odbić Donbas czy Krym.

MAREK ŚWIERCZYŃSKI

Sarkozy za kratki

„Sarkozy wkrótce w więzieniu? Fala szoku" – takie paski pojawiły się we francuskich programach telewizyjnych w ub. tygodniu. 70-letni **Nicolas Sarkozy**, prezydent Francji w latach 2007–12, został skazany na pięć lat więzienia za przymykanie oczu na to, że jego otoczenie wyciągało pieniądze z Libii za reżimu Muammara Kaddafiego, finansując prezydencką kampanię wyborczą i partię. Śledztwo trwało dziesięć lat. Sędziowie odrzucili zarzut korupcji, finansowania kampanii czy paserstwa libijskich funduszy publicznych w odniesieniu do Sarkozy'ego. Utrzymali wyłącznie zarzut działania w zorganizowanej grupie przestępczej. Inaczej mówiąc, uznali, że wysługiwał się pomocnikami, by zapewnić sobie zwycięstwo wyborcze w nielegalny sposób.

W ocenie tego bezprecedensowego wyroku Francuzi są podzieleni. Jedni

uważają, że to dowód odwagi niezależnych sędziów i prawdziwej równości wobec prawa. Nie brakuje jednak głosów, że sędziowie przypisują sobie nadmierną władzę, a wyrok ma charakter polityczny. Sąd posłużył się szeroką, mało precyzyjną normą, sprzyjającą dowolnym interpretacjom. W przeszłości Sarkozy był już skazany za naciski na sędziego we własnej sprawie (po wyroku nie poszedł do więzienia, lecz nosił obręcz elektroniczną). Inny były prezydent Valéry Giscard d'Estaing (1926–2020) powiedział wtedy, że być może Sarkozy nie postępował słusznie, ale prokuratorzy wykazują „niewłaściwą zażartość". Dziś Sarkozy deklaruje, że nie chce ułaskawienia, bo czuje się niewinny i dowiedzie tego w apelacji, co nie wstrzymuje jednak wykonania wyroku.

W każdym razie Francja jest pod tym względem wyjątkowym krajem. W czasach współczesnych doliczono się tu ośmiu przypadków skazania prezydentów i premierów (Nicolas Sarkozy, Jacques Chirac, François Fillon, Alain Juppé…) za nadużycia. To więcej niż we wszystkich państwach europejskich razem wziętych. Wielu zgodziłoby się z opinią Giscarda, a nawet twierdziło, że to tradycyjna rewolucyjna buntowniczość. Przeważa chyba jednak pogląd, że taka wyjątkowość wymiaru sprawiedliwości to powód do dumy narodowej.

MAREK OSTROWSKI Z PARYŻA

eprasa.pl 6b266ec372

Zamknięte niebo nad Danią

Żaden komercyjny dron nie może latać w tym tygodniu nad Danią, a wojsko dostało wytyczne w sprawie ich zestrzeliwania. Tak zadecydował rząd Mette Frederiksen po tym, jak w zeszłym tygodniu doszło do serii naruszeń stref zakazu lotów w pobliżu ważnych strategicznie obiektów, przede wszystkim wojskowych lotnisk. Duńczycy twierdzą, że to rosyjskie drony – żadnego nie zestrzelono, ale wojsko przekonuje, że ma inne sposoby na identyfikację (chodzi prawdopodobnie o trasy przelotów). Minister obrony Troels Lund Poulsen powiedział, że loty dronów wydają się „dziełem profesjonalisty". A rozpoczęły się zaledwie kilka dni po ogłoszeniu przez Danię zakupu broni precyzyjnej dalekiego zasięgu, aby przeciwdziałać zagrożeniu ze strony Moskwy.

Ambasada Rosji w Kopenhadze przekonuje, że to „absurdalne zarzuty", a rosyjskie MSZ oświadczyło, że reakcja Duńczyków doprowadzi do „wzrostu napięć militarnych i politycznych na naszym kontynencie" (i dodało, że plany te są wyrazem „osobistych ambicji i gier politycznych elit rządzących UE").

Zakaz cywilnych lotów bezzałogowych będzie obowiązywać do piątku włącznie, a jego złamanie grozi wyrokiem więzienia do dwóch lat. Ma to „wyeliminować ryzyko pomylenia wrogich dronów z legalnymi – i odwrotnie". Dodatkowo, aby wzmocnić duńską obronę, w kopenhaskim porcie zacumowała niemiecka fregata „Hamburg". Okręt jest częścią działającej od stycznia misji NATO „Baltic Sentry" (Bałtycki Strażnik), którą Sojusz rozszerzył w ten weekend jako odpowiedź na rosyjskie zagrożenie. Tak ostre środki zaradcze są związane z faktem, że stolica Danii gości w tym tygodniu najpierw spotkanie Rady Europejskiej, a potem naradę Europejskiej Wspólnoty Politycznej.

Niezidentyfikowane drony pojawiły się w zeszłym tygodniu także nad Norwegią, m.in. w pobliżu lotniska Brønnøysund na północy kraju oraz w okolicy największej bazy wojskowej Ørland, gdzie stacjonują norweskie myśliwce F-35. Alarm dronowy podnieśli również Niemcy w landzie Szlezwik-Holsztyn niedaleko duńskiej granicy. Zdaniem ekspertów taka koncentracja rosyjskich działań wokół Danii jest związana z radykalną zmianą polityki Kopenhagi wobec Moskwy. Duńczycy nie tylko zbroją się na potęgę, ale też na poważnie rozważają częściową blokadę Cieśnin Duńskich i użycie marynarki wojennej do kontroli przepływającej przez nie tzw. floty cieni, czyli często niezarejestrowanych i nieubezpieczonych jednostek wbrew sankcjom przewożących rosyjską ropę naftową.

Mołdawia utrzyma kurs

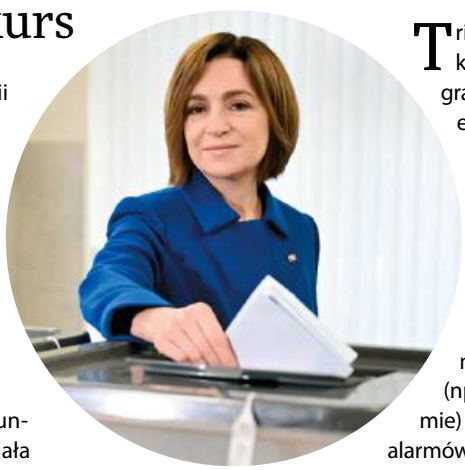

Wybory parlamentarne w Mołdawii wygrała Partia Działania i Solidarności (PAS). Zachowa samodzielną większość. Państwem nadal będzie więc kierować proeuropejska prezydentka **Maia Sandu**, faktycznie stojąca na czele zwycięskiego ugrupowania. Sondaże nie dawały PAS tak przekonującej przewagi. Skazywały ją na trudną koalicję lub los rządu mniejszościowego. To miał być najniższy wymiar kary za minione czterolecie. Zamiast realizacji obietnicy o znacznej poprawie warunków życia przyszła drożyzna, na co wpływ miała m.in. wojna w Ukrainie.

Sandu ma doświadczenie w rozstrzyganiu trudnych głosowań. Przed rokiem z minimalnym naddatkiem przeforsowała referendum zapalające zielone światło integracji z Unią. Teraz udało się jej zmobilizować elektorat, przede wszystkim diasporę. Frekwencja była nieco wyższa niż w 2021 r. W kraju zagłosowało 1,32 mln, za granicą 281 tys. i tu 78 proc. wskazań poszło na PAS. Poza Mołdawią utworzono rekordowe 297 komisji, w samych tylko Włoszech było 75 punktów. I choć PAS utraciła kilka mandatów, to w sumie dostała więcej głosów niż cztery lata temu. Swojego wyniku nie powtórzył za to prorosyjski Patriotyczny Blok Wyborczy, główna siła opozycji.

Triumf PAS jest spektakularną przegraną Rosji, która otwarcie stara się wykoleić mołdawską integrację z Zachodem i zainstalować przychylną sobie ekipę na tyłach Ukrainy. Prowadzić ma do tego wygaszenie proeuropejskiego entuzjazmu Mołdawian i budzenie ich nostalgii za czasami radzieckimi. Moskwa nie liczy tu na przypadek. Zalewa sieci społecznościowe dezinformacją, szkoli prawosławnych duchownych, jej emisariusze masowo kupują głosy. W dniu wyborów doszło do ataków na strony internetowe, m.in. mołdawskiej agencji prasowej. Komisje (np. w Alicante, Brukseli, Bukareszcie, Genui i Rzymie) musiały przerwać pracę z powodu fałszywych alarmów bombowych. Mieszkańcy separatystycznego, utrzymywanego przez Rosję Naddniestrza do urn na drugim brzegu Dniestru byli dowożeni autobusami w ramach zorganizowanej akcji. Sandu ostrzegła, że Rosja wydała „setki milionów euro" na próby skaptowania głosujących. Byłoby to kilka procent krajowego PKB.

Rosja próbuje odbić Mołdawię od lat, więc Kiszyniów nie był zaskoczony. Przed wyborami sądownie wyeliminowano partie, które uznano za wehikuły wpływów Rosji. Państwo udowodniło swoją skuteczność, sprowadzając aresztowanego w Grecji Vlada Plahotniuca, oligarchę oskarżanego o wyssanie z systemu bankowego 1 mld dol. i destabilizowanie państwa, co miało sprzyjać realizacji rosyjskiej strategii. Liderzy opozycji twierdzą, że działania te to dowód na kradzież wyborów, i wzywają do protestów w obronie zagrożonej demokracji.

© SAUL LOEB/AFP/EAST NEWS, REMON HAAZEN/GETTY IMAGES, NICHLAS POLLIER/BLOOMBERG/GETTY IMAGES, DANIEL MIHAILESCU/AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 6b266ec372

Igrzyska pianistów

Kamil Pacholec, finalista 18. edycji Konkursu Chopinowskiego, 2021 r.

Kiedyś polskie władze uznały pomysł konkursu z muzyką Chopina za niewykonalny. Dziś odbywająca się co pięć lat impreza ma wielomilionowy, globalny zasięg, stała się naszym flagowym eksportowym wydarzeniem, polską olimpiadą.

DOROTA SZWARCMAN

Po prawie stu latach od powstania Konkurs Chopinowski pozostaje jednym z najważniejszych na świecie wydarzeń w muzyce poważnej. Jednocześnie rośnie wokół niego otoczka popkulturalna. Ostatnio prof. Katarzyna Popowa-Zydroń, przewodnicząca jury w 2015 i 2021 r., zdegustowana powiedziała „Newsweekowi": „Może jestem starej daty, ale mam wrażenie, że konkurs idzie trochę w stronę takiego muzycznego Big Brothera, medialnego show". Coś w tym jest, ale czy to może dziwić, skoro od początku było to wydarzenie na swój sposób sportowe?

Było to parę lat po tym, jak niepodległa Polska po raz pierwszy wysłała swoją reprezentację na igrzyska olimpijskie i w związku z tym pojawiło się ogromne zainteresowanie sportem, zwłaszcza wśród młodzieży. Kiedy prof. Jerzy Żurawlew, ceniony pianista i pedagog fortepianu, usłyszał rozmowę młodych o tym, że muzyka Chopina jest przestarzała, nudna i „jakaś zniewieściała, chorobliwa", wzburzył się i zaczął myśleć o tym, jak te opinie zmienić.

Podobnie jak to bywa z wynalazkami, parę osób na świecie wpadło jednocześnie na koncept muzycznego współzawodnictwa i dlatego nasz I Konkurs Chopinowski w 1927 r. był już drugi na świecie (pierwszy był rok wcześniej Naumburg Piano Competition w Nowym Jorku; Warszawa dzierży palmę pierwszeństwa w Europie). Temat nie zyskał uznania polskich władz, które odmówiły wsparcia, twierdząc, że projekt jest niewykonalny! Został zrealizowany dzięki przyjacielowi profesora, biznesmenowi Henrykowi Rewkiewiczowi – i okazał się strzałem w dziesiątkę.

Konkursy są agorą, miejscami, gdzie młodzi nieznani soliści mogą ukazać paletę swych możliwości. Te możliwości wszyscy, nie tylko jury, mogą śledzić i porównywać. Nastroje sportowe ogarniają więc coraz większą liczbę słuchaczy na świecie, zwłaszcza odkąd organizator Konkursów Chopinowskich, Narodowy Instytut Fryderyka Chopina, zadbał o jak najszerszy odbiór.

NIFC stoi za konkursem od 16. edycji z 2010 r. Był to Rok Chopinowski, 200-lecie urodzin kompozytora, więc jego nazwisko

© WOJCIECH GRZĘDZIŃSKI/NIFC, MALI WIRTUOZI, NADWYRAZ.COM

eprasa.pl 6b266ec372

mieliśmy wszędzie. Pojawiły się rozmaite popkulturowe wizerunki Chopina, jak też liczne jazzowe i popowe opracowania jego muzyki. Wtedy też na konkursie po raz pierwszy – obok radiowych i telewizyjnych – uruchomiono bezpośrednie transmisje przesłuchań na YouTube. Z czasem doszły inne kanały przekazu: aplikacja na smartfony, strona internetowa konkursu, media społecznościowe (Facebook, Instagram) NIFC, a także – w Chinach, w miejsce cenzurowanego YouTube – platforma Weibo (łączna oglądalność ostatniego konkursu wyniosła tu 4,5 mln). W tym roku dołączą transmisje na TikToku w ramach usługi TikTok Live. Konkurs Chopinowski może oglądać dziś cały świat, nie tylko na żywo, ponieważ nagrania pozostają na stronie. Z pewnością niejeden z tegorocznych uczestników zamarzył o swoim udziale, oglądając te rejestracje. Świadczyć może o tym niezwykły wzrost liczby zgłoszeń: w 2010 r. 327 osób, w tym aż 642.

Oglądalność również niebywale wzrasta. W 2015 r. w samym październiku materiały konkursowe wyświetlono 9,3 mln razy. Internauci piszą podczas słuchania komentarze na gorąco; wówczas zamieścili ich ok. 250 tys. – średnio 40 na minutę. Pochodzili z 218 krajów, w tym aż 40 proc. z Korei Południowej – przypomnijmy, że wówczas wygrał Koreańczyk Seong-Jin Cho (gdy Deutsche Grammophon wydał jego konkursową płytę, 30 tys. egzemplarzy wykupiono w dwa dni od premiery). Nic dziwnego, że temat Konkursu Chopinowskiego zaczął się od tej pory przewijać w popularnych koreańskich serialach.

NIFC szacował, że przekaz konkursowy odebrało wówczas ponad 31 mln osób na całym świecie, licząc internet i telewizję. Doliczyć jeszcze trzeba radio, z którego korzystało 11 proc. spośród 29 proc. Polaków śledzących konkurs. Instytut Monitorowania Mediów podał też, że sami tylko polscy użytkownicy mediów społecznościowych wymienili ze sobą 70 mln informacji na temat konkursu. A to przecież ułamek tego, co się dzieje na świecie.

To jednak nic w porównaniu z tym, co się wydarzyło sześć lat później. Materiały na kanale NIFC w październiku 2021 r. wyświetlono aż 37,5 mln razy (czyli ponad cztery razy więcej niż na poprzednim konkursie). Ponad połowę odbiorców stanowili Japończycy (dwójka ich rodaków otrzymała nagrody), a komentarzy przy transmisjach pojawiało się w najgorętszych momentach ponad 20 na sekundę. Zapewne w tym roku to się spotęguje.

Chopin jest uwielbiany przez zachodni świat i – może jeszcze bardziej – na Dalekim Wschodzie. Tu należy patrzeć szerzej – dalekowschodnia publiczność znajduje się też w USA, Kanadzie czy Wielkiej Brytanii. Mimo że nasz konkurs jest jednym z nielicznych poświęconych twórczości jednego kompozytora, to nie zachodzi obawa, że repertuaru nie warto się uczyć, bo Chopina słucha się wszędzie i wciąż.

A najlepiej się słucha na sali koncertowej, więc na bilety rzucają się tłumy. NIFC przeznaczył z nich 75 proc. do sprzedaży online, już pierwszego dnia bilety na finały znikły w ciągu trzech minut, a na pozostałe przesłuchania – w pół godziny. Trochę dłużej, bo półtora dnia, trwała sprzedaż w kasach Muzeum Chopina. – *Kolejka ustawiła się o godz. 19 poprzedniego dnia, zupełnie jak w PRL, tyle że byli to ludzie młodzi* – opowiada rzecznik NIFC Aleksander Laskowski. – *Jednymi z pierwszych byli trzej Japończycy, którzy specjalnie w tym celu przyjechali z Australii; wynajęli nocleg naprzeciwko, żeby z okna śledzić sytuację.*

Później pojawił się obieg wtórny, od sprzedaży międzyludzkiej (w pierwotnej cenie) po platformy, które zastąpiły niegdysiejszych koników. Na Viagogo bilet na pierwszy dzień finałów 18 października proponowano za prawie 3 tys. zł; na pierwszy z trzech koncertów laureatów 21 października w Operze Narodowej – za jeszcze więcej, bo od 3048 do 4114 zł (przy pierwotnych cenach 400–900 zł). To niemal dwa razy więcej, niż kosztował oficjalnie bilet VIP1 na koncert Taylor Swift na Stadionie Narodowym. NIFC deklaruje, że nielegalną sprzedaż będzie zgłaszać organom ścigania, choć zapewne niełatwo tu coś wyegzekwować.

– *Nasz konkurs, zwłaszcza w końcówce, nabrał takiej wagi, jaką ma od lat np. inauguracja sezonu w La Scali: wszyscy, którzy coś znaczą, chcą się tam pokazać* – tłumaczy Aleksander Laskowski. Odnotowuje też rosnące zainteresowanie mediów. Z samej Japonii przybywa 20 dziennikarzy, od radia J-Wave i Fuji TV po pisma muzyczne – obok „Ongaku no tomo" („Przyjaciele muzyki", odpowiednik naszego „Ruchu Muzycznego") wychodzi tam od 1984 r. miesięcznik „Chopin Magazine", poświęcony muzyce fortepianowej. Przyjeżdżają też przedstawiciele mediów chińskich i koreańskich, oceniający trochę inaczej niż japońskie: kulturowo każdy z tych krajów jest zupełnie odmienny, również tradycje związane z Chopinem. Oczywiście będą też komentatorzy z USA i Europy. No i kierownictwo firmy Deutsche Grammophon, która od paru konkursów podpisuje kontrakt ze zwycięzcą. Jakub Piątek, reżyser nagrodzonego Emmy reportażu z poprzedniego konkursu pt. „Pianoforte", tym razem dał się namówić na stworzenie konkursowego serialu.

Chopin trafił nawet do sklepików z gadżetami

Film Piątka przy okazji poprzedniej edycji imprezy pokazał młodych pianistów z bliska jako po prostu ludzi, uświadamiając przy tym, ile pracy, ile treningu – jak w sporcie – trzeba włożyć w ten zawód i ilu kompetencji on wymaga. Tym, którzy obruszali się na zbyt dalekie wchodzenie w kulisy, warto przypomnieć, że żyjemy już w innym świecie niż kiedyś. Dziś wszelkie media rządzą i pianistom też już to nie przeszkadza, wręcz przeciwnie.

Trudno sobie teraz wyobrazić taką postawę jak zwycięzcy z 2010 r. Rafała Blechacza, który świadomie odgrodził się od świata zewnętrznego i ściśle dozował swoją publiczną obecność. Publiczności imponuje raczej postawa Hayato Sumino, japońskiego uczestnika ostatniego konkursu, który odpadł po drugim etapie, ale i tak zdobył już wcześniej popularność dzięki filmikom na YouTube. Grał na nich Chopina i własne parafrazy wirtuozowskie, także jazzowe, w domu dla swoich kotów – stąd pseudo ▶

eprasa.pl 6b266ec372

▶ Cateen (skrzyżowanie słowa *cat* z nazwiskiem Chopin). Tego lata na recitalach we Wrocławiu w NFM oraz w Warszawie na Ogrodach Muzycznych też bardzo się spodobał (i okazał się po prostu świetnym pianistą, nie tylko showmanem), ale w Japonii jest gwiazdorem, w świecie grywa w najważniejszych salach i nic dziwnego, że był głównym solistą na japońskim tournée NOSPR z Marin Alsop. Koncert z 10 września w Osace, gdzie właśnie odbywa się EXPO, został nagrany i będzie wydany na płycie.

Nie trzeba dodawać, że i na EXPO w tym roku Chopin rządzi – odbył się tam nawet w polskim pawilonie organizowany z NIFC Tydzień Chopina, którego największą atrakcją obok fortepianowych recitali była wystawa z dwoma rękopisami kompozytora, do której ustawiano się w wielkiej kolejce, a na popowego Chopina – koncert „Czułe struny" Natalii Kukulskiej na wolnym powietrzu – przyszło 10 tys. osób. Piosenkarce towarzyszyła orkiestra Filharmonii Narodowej, która ponadto pod batutą Anny Sułkowskiej-Migoń wystąpiła m.in. z koncertami Chopina w sześciu miastach Japonii. W tym kraju już od dawna obecny w popkulturze jest nie tylko Chopin, ale i Konkurs Chopinowski, że przypomnimy choćby mangę „Forest of Piano", która ukazywała się w odcinkach w latach 1998–2015 (z przerwami), a w 2007 r. została zekranizowana jako anime (jest na Netfliksie).

W Polsce Chopin też jest powszechnie obecny, ale wciąż trwa zdejmowanie go z piedestału, na którym stoi jako dobro narodowe. W nowym filmie Michała Kwiecińskiego „Chopin, Chopin!", na który wydano aż 70 mln zł, Chopin, a raczej grający go Eryk Kulm, z błazeńską miną i w kapeluszu à la Willy Wonka, kaszle krwią więcej niż Janusz Olejniczak w „Błękitnej nucie" Andrzeja Żuławskiego, ale za to jest człowiekiem imprezowym, co przemawia do dzisiejszej publiczności (wywiad z Erykiem Kulmem obok). Podobne wrażenia można odnieść z profesjonalnie zrobionej przez ArtBox Experience i NIFC (pracowano nad nią dwa lata) wystawy immersyjnej „Romantyczny Chopin" w warszawskiej Fabryce Norblina. „Nie wiedziałam, że Chopin wiódł tak rozrywkowe życie. To doświadczenie go dla mnie odczarowało" – zatytułowała swoją relację autorka z gazeta.pl.

Chopin trafił ostatnio do literatury popularnej („Impresario Chopina" Jacka Koprowicza, „Przerwana gra" – kryminał Wojciecha Nerkowskiego rozgrywający się podczas konkursu), ale wychodzą też kolejne biografie (m.in. autorstwa Alana Walkera). A sponsorzy zgłaszają się do Instytutu sami. Orlen przejął Strefy Melomana od Totalizatora Sportowego, ale i Hala Koszyki z Fundacją Juliana Cochrana i firmą Sony organizuje Przestrzeń Kibica Konkursu Chopinowskiego (Koszyki grają całe trzy tygodnie, Orlen tylko podczas finałów).

Inną inicjatywę mogli zobaczyć kibice meczu Legia–Jagiellonia z 24 września: zanim się rozpoczął, na płycie stadionu pianistka Julia Łozowska grała krótki kolaż opracowań utworów Chopina z towarzyszeniem pokazu laserowego. Firmowała to Legia, a PKO BP wsparł. Niestety, wydarzenie zagłuszali wrzaskami kibole Jagiellonii, ci z Legii siedzieli cicho. „Dziękujemy wszystkim, przede wszystkim tym, którzy potrafią uszanować nasze polskie dziedzictwo muzyczne" – zabrzmiało z głośników.

Za drzwiami Filharmonii Narodowej od 2 października będzie ciszej. Tu popkultura się kończy, pomijając może stoisko z chopinowskimi gadżetami. Mimo coraz szerszej i głośniejszej otoczki sam konkurs pozostaje tym, czym był.

DOROTA SZWARCMAN

Chopin był świetnym aktorem

Wyjechałem do Francji, zaszyłem się w górskiej samotni. Ćwiczyłem do ostatniego dnia zdjęciowego – mówi aktor Eryk Kulm, odtwórca głównej roli w superprodukcji „Chopin, Chopin!".

JANUSZ WRÓBLEWSKI: **– Michał Kwieciński, producent i reżyser waszego filmu, powiedział mi kiedyś, że Eryk Kulm urodził się, by zagrać Chopina. Zapomniał tylko dodać, że to pan w nim tę myśl zaszczepił.**

ERYK KULM: – Tak, kiedyś po „Filipie" rozmawialiśmy z Michałem przez telefon. On akurat myślał o nowym filmie, ale nie miał jeszcze konkretnego pomysłu. Wtedy wspomniałem mu

eprasa.pl 6b266ec372

Eryk Kulm (ur. 1990 r.) – aktor filmowy i telewizyjny. Pochodzi z artystycznej rodziny. Jego ojciec Eryk Kulm senior był muzykiem jazzowym, przez wiele lat występował w Stanach Zjednoczonych. Jego mama Alina Kulm była malarką. Ukończył warszawską Akademię Teatralną w 2016 r., a na czwartym roku debiutował spektaklem „Rewizor" w Teatrze Studio, grał też w innych teatrach warszawskich: Dramatycznym i Kwadrat. Zadebiutował w filmie „Pręgi" z 2004 r. Można go oglądać m.in. w serialach „Klara" u boku Izy Kuny, „Kiedy ślub?" z Marią Dębską, a także w repertuarze takim jak „Teściowie 2" czy „Bokser". Za rolę Wolanda w spektaklu „Mistrz i Małgorzata" został w 2015 r. nagrodzony nagrodą SFP na Międzynarodowym Festiwalu Szkół Teatralnych iTSelF w Warszawie. Za tytułową rolę w „Filipie" (2022 r.) w reż. Michała Kwiecińskiego został uhonorowany Nagrodą im. Zbyszka Cybulskiego oraz Orłem.

© JAROSŁAW SOSIŃSKI

o Chopinie. Odpowiedział: „Dlaczego by nie spróbować?" – i tak się zaczęło.

W podstawówce uczęszczałem do klasy o profilu muzycznym. Potem było gimnazjum, gdzie też się uczyłem gry na fortepianie. No i Chopin jakoś najlepiej mi wchodził, najbardziej go czułem.

Obudził w panu duszę słowiańską.

Chyba tak. Zawsze wzbudzał we mnie silne emocje. Jakoś tak naciskał te nuty w ciele, które rezonują.

Przerwał pan jednak edukację muzyczną.

Nie chciałem powtarzać drogi mojego ojca, perkusisty jazzowego (grywał m.in. w kwartecie Zbigniewa Namysłowskiego – przyp. red.). Samotne przebywanie w czterech ścianach, wielogodzinne, monotonne ćwiczenia bardzo mnie frustrowały. Lubiłem ruch, działanie.

Aktorstwo wydawało się łatwiejszym sposobem spędzania czasu?

Bardziej pociągającym. Aktorstwo kojarzyło mi się z dynamizmem, brakiem nudy, chwytaniem świeżych rzeczy. I faktycznie, każdy projekt przynosi nowe doświadczenia.

I rozbudza ambicje. Deklarował pan niedawno, że chce zdobyć Oscara. To nie jest próżność?

W kontekście samej nagrody pewnie tak, ale dla mnie Oscar był ekwiwalentem ogólnoświatowego sukcesu, do którego moim zdaniem każdy powinien mieć prawo, niezależnie od miejsca urodzenia.

Siła czy przekora kazały panu kilka razy zdawać do szkoły teatralnej po oblanych egzaminach?

Zdawałem do Warszawy, o której nie marzyłem. Marzyłem o Warszawie Holoubka, nie o szkole, w której Holoubków nie ma. Trafiłem na czas przepychanek politycznych. Edukacja była na drugim planie, liczyło się utrzymanie władzy przez odpowiednich ludzi.

Długo pan nie mógł zasnąć, kiedy się dowiedział, że jednak zagra Chopina?

Poczułem ulgę, że w końcu coś się dzieje. Bez gotowego scenariusza nagraliśmy początkowo teaser, który miał pomóc zebrać pieniądze. Przez rok spokojnie kończyłem wcześniejsze projekty, nie dotykałem w ogóle fortepianu. Przygotowania ruszyły pełną parą w grudniu 2023 r. Na trzy i pół miesiąca wyjechałem do Francji, zaszyłem się w górskiej samotni. Ćwiczyłem do ostatniego dnia zdjęciowego.

Sam pan ćwiczył?

Nie, przez rok pomagał mi wspaniały Kamil Borkowski, pianista, oraz jego pani profesor. Kamil mi powiedział, że gdybym nie miał w dzieciństwie do czynienia z instrumentem, nic by z tego nie wyszło. Na ekranie wszystkie utwory wykonuję sam, w każdym ujęciu są moje palce. Nie zawsze natomiast jest moje audio.

Odkrył pan coś nowego w chopinowskim brzmieniu?

Dla mnie muzyka jest portalem do głębszych emocji, których nie rozumiem. Nie wiem, dlaczego płaczę ani dlaczego się wzruszam. Emocje są abstrakcyjne, nie dotyczą żadnego konkretnego momentu czy historii. To jakaś magia, której nie pojmuję.

Aktorsko to było równie intensywne i intymne doświadczenie jak przy „Filipie"? Tamten film traktował pan jak terapię po śmierci rodziców. Odreagowywał pan żałobę.

Obie te fabuły dotykają jakiegoś absolutu. Jeśli chodzi o dobór środków aktorskich, to w „Chopin, Chopin!" więcej scen opierało się na emocjach wstydliwych. Cały ten film bazuje na kruchości, wrażliwości, nieprzystawalności, smutku, samotności, śmierci, chorobie. W „Filipie" był tylko jeden bardzo trudny moment, w którym grany przeze mnie bohater pęka emocjonalnie. Aż tak mocnego obnażenia w „Chopin, Chopin!" nie ma.

Na przedpremierowym pokazie Kwieciński prosił widzów, by zapomnieli o wizerunku Chopina, jaki w sobie noszą. Panu też przed rozpoczęciem produkcji udzielił takiej rady?

Pamiętam, że na dosyć wczesnym etapie Michał mnie zaskoczył, mówiąc, że mam więcej wspólnego z Chopinem, niż mi się wydaje, że jestem wrażliwszy, niż sądzę. Oczywiście na samej wrażliwości nie da się jeszcze zbudować postaci, to tylko jeden z motorów. Pomogły też lektury. Michał przeczytał mnóstwo książek o Chopinie, ja tylko dwie: najnowszą biografię Alfreda Cortot „Chopin w różnych aspektach" i Adama Zamoyskiego „Chopin. Artysta. Człowiek". Bardzo przydatna okazała się ▶

eprasa.pl 6b266ec372

▶ współpraca z Anią Skorupą, coachem aktorstwa, i wielogodzinne słuchanie muzyki Chopina.

Co z konsultacjami z Januszem Olejniczakiem?

Zdołaliśmy się spotkać dwa razy przed jego śmiercią. Wspaniałym przeżyciem był koncert w Instytucie Chopina. Zapamiętałem lekkość, z jaką dotykał klawiszy. A za drugim razem to ja grałem fragmenty wybranych utworów. Pan Janusz miał sprawdzić, na jakim etapie jest moja nauka. Najważniejszą radą, którą wtedy otrzymałem, było to, żebym grał tak, jak mi wygodnie, bo nie ma jednej drogi dla pianisty.

Zbudowaliście w filmie wywrotowy wizerunek Chopina, stojący w sprzeczności z narodowym mitem.

Bardzo szybko, właściwie od razu, odrzuciliśmy stereotyp smutnego, zafrasowanego, chorowitego melancholika, szukającego natchnienia pod wierzbą. Moim zdaniem Chopin był inny. Pozostawił po sobie teksty, żartobliwe listy, są relacje jego przyjaciół. Jak się próbuje wejść w jego psychikę, także poprzez muzykę, znajdzie się odpowiedzi. Nie ulega wątpliwości, że w kontaktach towarzyskich Chopin melancholikiem nie był. Wewnętrznie pozostawał smutny, ale imprezować kończył o 10 rano. Bawiło go naśladowanie głosów, był wspaniałym aktorem, lubił rozśmieszać.

W najtragiczniejszych momentach, czując bliskość śmierci, pana Chopin delikatnie się uśmiecha. Odwrotnie niż Tom Hulce w „Amadeuszu". To gest głęboko rozumiejącego człowieka.

Cieszę się, że pan to dostrzegł. Taki był plan. Filmowy Filip też uciekał przed śmiercią. Tamta rola była dla mnie szkołą aktorstwa. Pozbyłem się złych nawyków. Zrozumiałem między innymi, że proces jest ważniejszy niż efekt.

Strącając z martyrologicznego pomnika Chopina, wkraczacie na pole minowe, co może wywołać lawinę hejtu. Już słyszałem głosy, że wasz Chopin jest za mało polski.

My tylko uzupełniliśmy obraz Chopina, a nie zmieniliśmy go. Pokazując człowieka z krwi i kości, nadal zostawiliśmy go genialnym, wyjątkowym, niezrozumiałym. Michał świadomie zrezygnował z akcentowania wątku patriotycznego. Odrzucił pomysł, by wrócić do iwaszkiewiczowskiego „Lata w Nohant". Ponieważ we wszystkich filmach poświęconych Chopinowi Nohant było obecne, u nas go nie ma. Nie chcieliśmy, by powstało widowisko, w którym Chopin nieustannie głosi, jak to bardzo tęskni za Polską, chociaż tęsknił – i jest o tym w filmie. Zresztą i tak nie da się wszystkim dogodzić. Ktoś zaraz może się upomnieć, dlaczego naszemu Chopinowi brakuje orlego nosa. A gdybym go miał, to ktoś inny mógłby powiedzieć, że po co go doklejać i że wyglądam idiotycznie. To wszystko jest sprawą gustu, na który nie mamy wpływu jako twórcy.

Spornym tematem jest też stosunek kompozytora do kobiet. Wy stawiacie tezę, że on traktował panie instrumentalnie, a naprawdę kochał tylko swoją muzykę.

Założyliśmy, że miłość Chopina do muzyki jest nieporównywalna z niczym innym. To uczucie było tak czyste i pochłaniające go, że nie starczało miejsca na inne zaangażowanie. Muzyka była jego jedyną formą wyrażania emocji, naprawdę. Wydaje mi się, że język emocji, który Chopin rozwinął w sobie przez kontakt z fortepianem, wywołał w nim jakąś blokadę w kontaktach z innymi ludźmi.

Pan traktuje sztukę podobnie? Ona jest dla pana najważniejsza?

Nie. Liczy się, niestety, człowiek.

Niestety?

Dlatego, że to czasem bardzo słaba inwestycja. Ale tak. Kocham najbardziej ludzi, moich przyjaciół.

Aktorstwo nie sprawia panu przyjemności?

Aktorstwo często – nie mówię o graniu w komediach – polega na budzeniu w sobie negatywnych emocji, gdyż z punktu widzenia odbiorcy one wydają się najciekawsze. Aktor dramatyczny często pracuje na uczuciach, które nie są przyjemne. Czasem to działa oczyszczająco, a czasem odwrotnie.

A techniki wychodzenia z ról? Niektórzy aktorzy strzepują je z siebie jak piórko.

Każde doświadczenie dla mnie pozostawia ślad. Dlatego ten zawód jest tak niebezpieczny.

I co pan z tym zamierza zrobić?

Za późno na odwrót. *(śmiech)* Jasne, że aktorstwo stymuluje też rozwój. Dotykając ciężkich, niewygodnych tematów, takich jak śmierć, można coś przepracować, pójść dalej. Lepiej jednak, kiedy się samemu wcześniej próbuje z tym zmierzyć.

Aktor potrzebuje psychoterapeuty?

Niekoniecznie, ale na pewno musi świadomie pracować nad sobą. Ja nie potrafię skakać z roli w rolę. Szczególnie jeśli rola jest wymagająca. Przestaje się wtedy rozróżniać, co moje, co cudze. Nie słyszy się siebie. Po zdjęciach często wyjeżdżam na dłużej, żeby się zregenerować. Chłonę ludzi, rozmawiam, pomagam, odnajduję, co mnie interesuje, odbudowuję emocje. Byle się nie odkleić od rzeczywistości.

W teatrze pana nie widuję.

Zaczynałem od teatru. Potem przestałem w nim grać, bo nie jestem w stanie komuś dać swoich terminów dwa lata do przodu. Poczucie wolności jest mi niezbędne.

Skoro spełnił pan swoje największe marzenie i zagrał Chopina, jaki ma pan teraz cel?

Konkretnego nie mam. Poza jednym: zagrać kiedyś u Martina Scorsesego. Chciałbym też zobaczyć, jak się robi filmy we Francji, w Ameryce.

Jest pan na dobrej drodze do tego?

To się okaże. „Chopin, Chopin!" został sprzedany do 44 krajów. Ma być pokazywany na zakończenie Wystawy Światowej Expo 2025 w Osace.

Ale nie został polskim kandydatem do Oscara.

Tak, w tym roku nie został, ale być może za rok będzie to możliwe.

Jeśli wygracie festiwal w Gdyni, zweryfikuje pan swoją ocenę?

Nie zależy mi, żeby „Chopin, Chopin!" zgarnął wszystkie nagrody. W ogóle nie o to chodzi. Nagrody nie są miarą wielkości. Rzecz w tym, by pojawiła się duma, że my, Polacy, stworzyliśmy coś wartościowego i możemy się tym chwalić za granicą.

Bezkompromisowość odziedziczył pan po ojcu?

Tak. On mi wpoił poczucie odpowiedzialności za artystyczne wybory. Nie robił niczego dla pieniędzy. Grał tylko jazz. Często mimo przeciwności losu.

Czego jeszcze nauczył się pan od niego?

Wytrwałości w dążeniu do celu i tego, że kiedy naprawdę poświęcisz czemuś czas i się temu w pełni oddasz, wykonasz to dobrze.

Tworzenie to wyrażanie siebie?

Tak, to niezła definicja.

ROZMAWIAŁ JANUSZ WRÓBLEWSKI

eprasa.pl 6b266ec372

VOICE IMPACT AWARD Nagrodzono historie, które budują porozumienie

Czy słowa mogą zmieniać świat? Jako dziennikarze wiemy, że potrafią budzić emocje, inspirować i otwierać przestrzeń do rozmowy. Po to powstał konkurs Voice Impact Award – by opowiedzieć historie, które rezonują z dzisiejszym światem, zachęcają do refleksji i poznania różnych perspektyw.

Inicjatorem konkursu była marka **T-Mobile**, ale od samego początku towarzyszyło jej szerokie wsparcie – od środowiska akademickiego po redakcje najważniejszych mediów w kraju. Także dla „Polityki", jako jednego z partnerów i członków kapituły, było to coś więcej niż współorganizacja wydarzenia. To szansa na wzięcie udziału w wyjątkowym dialogu z przedstawicielami innych tytułów, by wyłonić najlepsze prace. Zgromadzenie w jednym miejscu redaktorów, reporterów i publicystów z odmiennych redakcji sprawiło, że ocena zgłoszonych tekstów stała się prawdziwym spotkaniem doświadczeń i punktów widzenia.

Ich głos ma znaczenie – laureaci konkursu Voice Impact Award

Podczas uroczystej gali będącej zwieńczeniem wielomiesięcznego projektu poznaliśmy nazwiska autorów i autorek tekstów najciekawszych, które zachęcają do refleksji oraz szerokiej dyskusji społecznej. Wyłoniono laureatów w dwóch kategoriach: głównej oraz studenckiej, stworzonej z myślą o tych, którzy dopiero przygotowują się do pracy w zawodzie. Laureaci kategorii głównej to:

- **Aleksandra Wiśniewska**, która zajęła II miejsce za reportaż „Tama wstydu" i otrzymała nagrodę w wysokości 20 tys. zł;
- III miejsce ex aequo przyznano **Magdalenie Frindt** za tekst „Książkowa ciąża", **Katarzynie Gruchot** za reportaż „Opowiedz mi swoją historię, a zrozumiesz moją" – każda z autorek otrzymała 10 tys. zł.

W tym roku nie udało się wyłonić zwycięzcy Voice Impact Award w tej kategorii, dlatego wygraną 30 tys. zł T-Mobile postanowiło przekazać na rzecz Fundacji TV Puls „Pod Dębem" z którą marka od wielu lat wspólnie przeciwdziała wykluczeniu technologicznemu seniorów.

W kategorii studenckiej przyznano łącznie 3 wyróżnienia dla: **Aleksandry Trendak** za materiał pod tytułem „Pląs pokoleń", **Zofii Witczak** za artykuł „Ukraina jest kobietą. Historia Fundacji Czerwony Mak" oraz **Kacpra Koźluka** za „Tak, możemy robić naukę w Polsce". Wyróżnieni otrzymali „zestawy startowe dziennikarza", składające się z iPada Pro 11 M4 oraz rocznej subskrypcji Perplexity Pro.

Historia determinacji w obliczu barier

Prace wszystkich finalistów konkursu będą w kolejnych tygodniach prezentowane na łamach wszystkich mediów zaangażowanych w projekt Voice Impact Award. I to właśnie tekst Kacpra Koźluka, studenta Uniwersytetu Warszawskiego, zostanie opublikowany w serwisie polityka.pl.

„Tak, możemy robić naukę w Polsce" to poruszająca opowieść o młodych badaczach, którzy mimo finansowych i organizacyjnych ograniczeń podejmują się pracy nad innowacyjną terapią celowaną raka wątrobowokomórkowego. Autor z pasją i szczerością pokazuje codzienność zespołu mierzącego się z ogromnymi wyzwaniami – od braku laboratoriów, przez poszukiwanie sponsorów, aż po trudną sztukę komunikowania nauki światu.

Historia Koźluka to coś więcej niż relacja z ambitnego projektu naukowego. To świadectwo przekonania, że nauka w Polsce może być nowoczesna, społecznie istotna i inspirująca dla kolejnych pokoleń. Jego głos doskonale wpisuje się w ideę Voice Impact Award – pokazując, że nawet w najtrudniejszych warunkach warto mówić o swoich marzeniach i przekuwać je w działania. To tekst o przeszkodach i barierach, które w polskim środowisku naukowym trzeba pokonać.

Publikując tekst Kacpra, chcemy oddać głos młodemu pokoleniu, które myśli o przyszłości nie w kategoriach odległych wizji, ale bardzo konkretnych działań, oraz pokazać, że perspektywa oraz zaangażowanie przyszłych dziennikarzy mają znacznie w publicznej debacie.

Tekst „Tak, możemy robić naukę w Polsce" ukaże się w serwisie polityka.pl 15 października br.

Materiał powstał we współpracy z T-Mobile.

eprasa.pl 6b266ec372

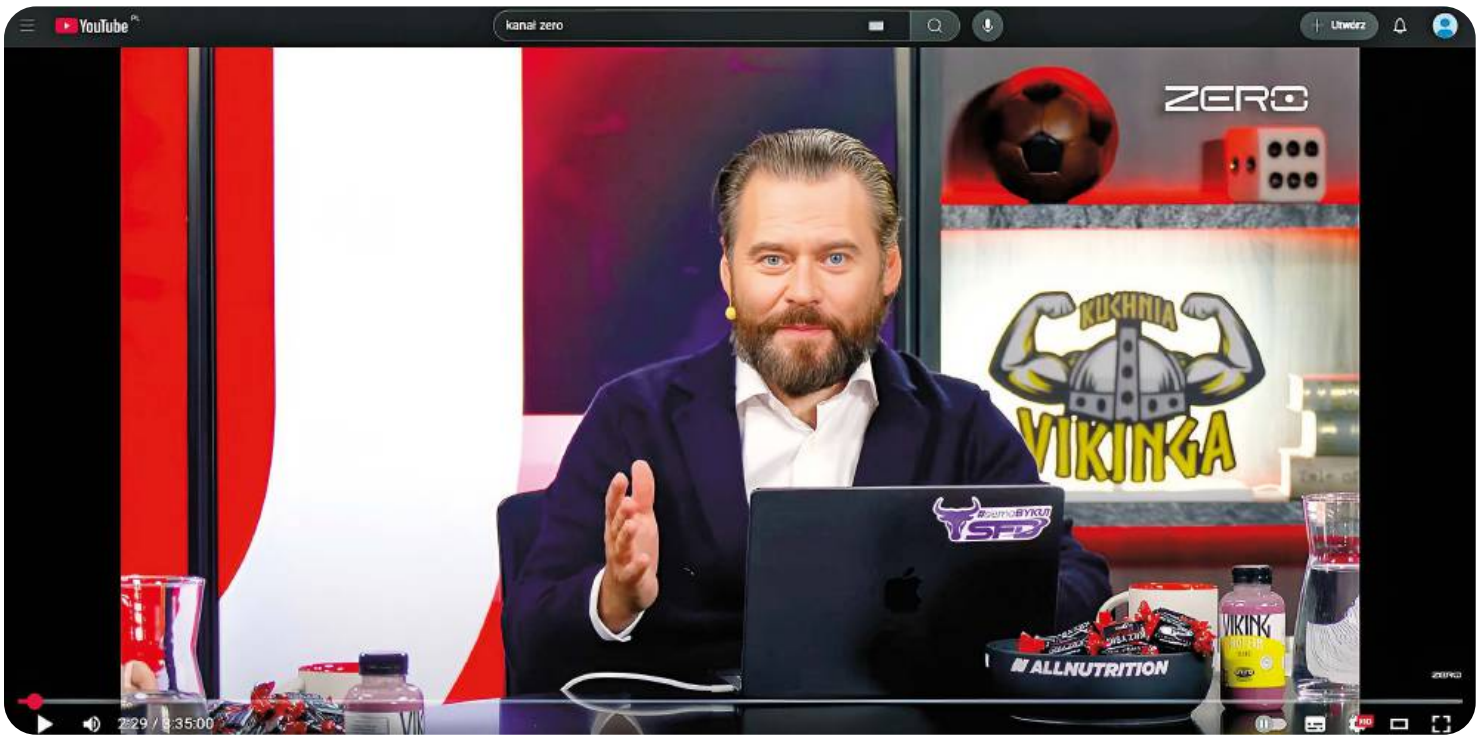

Stan prawoskrętny

Z poprzednim prezydentem na kontrakcie i obecnym na łączach Kanał Zero Krzysztofa Stanowskiego wchodzi w nowy etap, stopniowo stając się zapleczem medialnym prawicy. I politycznym biznesem.

RAFAŁ KALUKIN

Ponad 2 mln subskrypcji na YouTube, kolejni sponsorzy, spektakularne transfery, szykowany portal informacyjny, wreszcie starania o koncesję na tradycyjny kanał telewizyjny. Kanał Zero nie wytraca impetu. Zbudowany od podstaw na relatywnie niewielkich zasobach stał się jednym z najbardziej wpływowych ośrodków medialnych w Polsce.

Jego założyciel i największa gwiazda Krzysztof Stanowski potrafi wywoływać szum wokół siebie i nie przepuszcza żadnej okazji. Najbardziej spektakularny był oczywiście start w prezydenckim wyścigu. Mimo procentowo skromnego wyniku Stanowski odegrał w nim podobną rolę, co Paweł Kukiz dekadę wcześniej. Jego wygłupy przyczyniły się do wywołania antysystemowej fali, która ostatecznie zmiotła Rafała Trzaskowskiego. Nic zresztą nie wskazuje, żeby radykalne prądy miały w najbliższym czasie słabnąć. Kanał Zero wyraźnie teraz stawia na prezydenta Karola Nawrockiego, a jego szef dociska pedał gazu w wojnie z medialnym mainstreamem.

Przede wszystkim eskaluje publiczny konflikt z Dorotą Wysocką-Schnepf. Zaczęło się jeszcze w kampanii, kiedy Stanowski oprotestował udział dziennikarki TVP w głównej debacie telewizyjnej. Sekundowali mu pozostali kandydaci z szeroko rozumianej prawicy, ale to on poszedł najdalej, bezpośrednio ją atakując jako „arcykapłankę propagandy". Publiczna telewizja trochę sama się podłożyła. Trudno wyjaśnić, co kierowało jej decydentami, którzy mając w zanadrzu szerokie grono doświadczonych dziennikarzy, postawili akurat na Wysocką-Schnepf, często

© KANAŁ ZERO

eprasa.pl 6b266ec372

krytykowaną za wyraziste sądy, choć mieszczące się w estetyce opozycyjnych mediów z czasów rządów PiS.

Stanowski wyczuł polityczną wrażliwość splotu władzy z publicznymi mediami. I z premedytacją w to miejsce uderzył, podkreślając antyestablishmentową naturę własnego kanału. Skądinąd miał też sporo racji, kiedy wskazywał, że od wyborczego rozstrzygnięcia zależeć będzie kariera męża dziennikarki, zawodowego dyplomaty. O nominację dla wyznaczonego do kierowania ambasadą w Rzymie Ryszarda Schnepfa toczy się bowiem ostry spór MSZ z Pałacem Prezydenckim.

Tyle że Stanowski poszedł za daleko i użył jako argumentu przeciwko Wysockiej-Schnepf przeszłości jej nieżyjącego teścia. Maksymilian Sznepf był oficerem Ludowego Wojska Polskiego, który tuż po wojnie brał udział w tzw. obławie augustowskiej, wymierzonej w antykomunistyczne podziemie. „Nie jest to pierwszy raz w historii, gdy osoba nazwiskiem Schnepf przepytuje Polaków. Mam nadzieję, że wszyscy wyjdziemy z tego cali i zdrowi" – oświadczył Stanowski.

Cios był tyleż brutalny, co po ludzku podły. Bez najmniejszego związku ze sprawą. W tropieniu „resortowych dzieci" swego czasu celowała „Gazeta Polska", lansując absurdalną teorię „genów zdrady". Tylko że Stanowski do tej pory nie kojarzył się z twardogłowym antykomunizmem analogowej prawicy. Być może zagrał cynicznie, bo tak mu podeszło albo chciał się w tamtym świecie zalegalizować.

Konflikt natychmiast eskalował. Jeszcze w trakcie debaty Wysocka-Schnepf odgryzła się cytatem z Władysława Bartoszewskiego. Stanowski podtrzymywał z kolei napięcie swoimi gawędami w Kanale Zero. W jednej z nich przywołał 15-letniego syna Schnepfów Maximiliana. Z komentarzem, że „teścia się nie wybiera, ale imię po teściu się wybiera".

Później sprawa na parę miesięcy ucichła, ale niedawno wróciła na publiczną agendę za sprawą przedsądowego wezwania do przeproszenia dziennikarki i wypłacenia zadośćuczynienia w wysokości 100 zł. Trafiło ono do Stanowskiego oraz jego najbliższego kompana z Kanału Zero Roberta Mazurka. Wysocka-Schnepf w pierwszej kolejności uzasadniała swoje roszczenie szkodami moralnymi poniesionymi przez syna. Być może przed sądem kiedyś dopnie swego, ale na razie incydent pokazuje, jak trudno jest wygrać ze Stanowskim batalię wizerunkową. Co wynika nie tyle z jego osobistych zdolności i niewątpliwej inteligencji, ile przede wszystkim ze specyfiki medium, które stworzył.

O ile praktycznie jedynym atutem funkcjonującej w ramach tradycyjnej struktury medialnej dziennikarki jest jej osobista rozpoznawalność, o tyle Stanowski dysponuje pokaźnym arsenałem bolesnych ciosów. Wymiennie zarazem pełniąc rozmaite funkcje, posiada unikatową zdolność schodzenia z linii strzału i wydaje się impregnowany na wszelkie zarzuty. Funkcjonuje bowiem w specyficznej domenie, w której nie obowiązują klasyczne dziennikarskie zasady. Widownia wręcz oczekuje od niego łamania kolejnych reguł, które kojarzy z hipokryzją odchodzącego w niebyt starego ładu medialnego. Brak hamulców jest w tym świecie cnotą, źródłem popularności, *last but not least* – dochodów.

To ostatnie ma swoje znaczenie, gdyż ostentacyjnie obnoszący się z bogactwem Stanowski ma komfort eskalowania konfliktu bez obawy, że w razie przegranego procesu istotnie odczuje skutki. Tak samo zresztą niestraszne mu ubytki prestiżowe, bo jeśli nawet będzie zmuszony przeprosić dziennikarkę, z pewnością znajdzie odpowiednią formułę. Czyli taką, która pokaże go w dobrym świetle, a dla oponentki i sądu będzie ośmieszająca. W tym modelu nawet formalną przegraną da się więc przekuć w wizerunkowe zwycięstwo i jeszcze zmonetyzować, bo „przeprosiny" każdy chętnie obejrzy.

Już teraz zakłada maskę szydercy. „Twoje zdrowie, Dorota. Mój poprzedni filmik wygenerował trzy dychy i można za to polatać po świecie" – wznosi toast kieliszkiem aperola na tarasie restauracji w Cannes. Mazurek pozdrawia z jacuzzi: „Dorota, zapraszam cię, bo siedzę tutaj właściwie za twoje. Jakby co, to wbijaj, miejsca jest dużo. Do zobaczenia, to nie koniec serialu".

I sporo w tym wszystkim typowo szowinistycznych obelg, ubliżania „nierozgarniętej babie", która „znowu ujada" i powinna „pier...ć się w łeb". Młoda męska widownia z pewnością to lubi. Ale Stanowski potrafi też płynnie przejść z poziomu chamstwa na poziom patriotycznej troski, kiedy staje się kustoszem pamięci ofiar obławy augustowskiej. Tak więc frywolne nagranie z Lazurowego Wybrzeża kończy się długą listą pomordowanych. A kiedy dziennikarka ośmiela się upomnieć o pamięć o teściu, powołując się na przyznany mu za zasługi wojenne Krzyż Virtuti Militari, Stanowski odpowiada kampanią na rzecz odebrania polskich orderów z okresu PRL. Możemy się już dowiedzieć, że doradca prezydenta Jan Józef Kasprzyk jest jak najbardziej za.

Każda okazja jest zresztą dobra, żeby przywdziać maskę patrioty. W długiej rozmowie Stanowskiego z Maciejem Musiałem pojawia się refleksyjny wątek o dziadku młodego aktora, który za działalność w AK siedział w stalinowskim więzieniu, a potem do końca życia musiał znosić pod domem widok pomnika ku czci sowieckich żołnierzy. „Nie chcę cię wciągać we własne dramy, ale pewna dziennikarka..." – zagaja gospodarz i już wiadomo, o co chodzi. Po wyczerpaniu tematu od razu przechodzą do równie zajmującej kwestii inwestowania w zabytkowe Ferrari.

Ogólnie trudno jednak oprzeć się wrażeniu, że Dorota Wysocka-Schnepf zabrnęła w sytuację, której w sumie nie chciała. Przy takim nagłośnieniu sprawy jej teść zyskał rozgłos jako główny oprawca w obławie augustowskiej, chociaż dowodził niewielkim oddziałem. Podobnie było przed laty ze Stefanem Michnikiem, który z powodu pokrewieństwa z Adamem urósł w antysemickiej propagandzie Grunwaldu, a później antykomunistycznej prawicy, do rangi symbolu stalinowskich zbrodni.

Takie zacieranie ról, modeli narracyjnych i wrażliwości jest dla Kanału Zero typowe. W tradycyjnych mediach obowiązywała dawniej żelazna zasada oddzielenia informacji od komentarza, dzisiaj praktycznie już martwa. Co zresztą w znacznej mierze doprowadziło do głębokiej erozji ich autorytetu, otwierając pole dla nowych mediów internetowych. Tylko że one paradoksalnie poszły znacznie dalej. Tutaj nie obowiązują już żadne ograniczenia. Całkiem zniesiona została granica między dziennikarstwem i błazenadą, kulturą słowa i bluzgiem, misją i biznesem. Liczy się wyłącznie medialna osobowość, a wiarygodność i kompetencje to zapomniane perły z lamusa.

Stanowski może się stać każdym po trochu, zależnie od kaprysu. Choćby nawet politykiem, jak w ostatniej kampanii, co umożliwiło mu nie tylko oficjalne wejście w wyborcze kuluary, ale też unikatową możliwość zareklamowania swojego biznesu. Tym sposobem ukradł całej konkurencji scenę, bo to na jego kanale ▶

eprasa.pl 6b266ec372

▶ najchętniej pokazywali się pozostali kandydaci w intrygującym formacie – ni to debat jeden na jeden z kandydatem Stanowskim, ni to wywiadów z tym samym Stanowskim w roli dziennikarza. Gdyby na taki pomysł wpadł szef poważnego koncernu medialnego, zostałoby to słusznie uznane za kompromitację i skutkowałoby utratą pracy.

Stanowskiemu się upiekło, bo przecież żartował. Już mniejsza o to, czy osobistości medialne powinny sobie dworować z wyborów. Przede wszystkim wpływ mediów na polityczne rozstrzygnięcia powinien pozostać w sferze perswazji. W przypadku Stanowskiego mieliśmy zaś do czynienia z bezpośrednią ingerencją w proces wyborczy, niewątpliwie istotną dla wyniku.

Ale kampania się skończyła i Stanowski powrócił do mimo wszystko chyba priorytetowej roli medialnego przedsiębiorcy, który wymyślił specyficzny model biznesowy. Na YouTube pełno jest wpływowych influencerów, którzy uprawiają własne grządki, podczas gdy założyciel Kanału Zero zrobił nielinearną telewizję z całym bogactwem formatów. Ściągnął pod wspólny parasol sprawdzonych już wcześniej i cieszących się własnymi zasięgami ekspertów z różnych dziedzin, szczególnie w zakresie cenionej przez młodą męską publiczność geopolityki i wojskowości. Ale nie zabrakło też miejsca dla bywalca celebryckiej ścianki Tomasza Kammela, chociaż na szczególną uwagę pewnie zasługują powroty zapomnianych gwiazd. To przypadek niedoszłego premiera Jana Rokity oraz wybitnej reporterki Marii Wiernikowskiej. Swego czasu każde z nich wzięło rozbrat z mainstreamem, a teraz przeżywają renesans popularności.

Niemniej to Stanowski pozostaje najważniejszym influencerem i wizytówką swojego interesu. Każdy jego materiał zasięgami bije na głowę dziennikarsko ambitniejsze treści na kanale i tylko polityczne pogadanki Mazurka potrafią osiągnąć zbliżone poziomy (a pojawiają się również w duecie). Stanowski występuje niekiedy w roli dziennikarza, co nie przeszkadza mu reklamować produktów sponsorów. Prowadząc długie wywiady z wymagającymi niekiedy rozmówcami, nie stara się ukrywać ignorancji. Lubi pytać „tak po ludzku", co pozwala sprowadzić rozmowę na relaksujące tory, stając się odtrutką na koturnowe przekazy dnia sączone przez polityków w tradycyjnych mediach.

Pod tym względem niewątpliwie interesujący był jego wywiad z szefem BBN Sławomirem Cenckiewiczem, który uciekał od prawicowej sztampy. Chociaż w familiarnej atmosferze zabrakło paru ważnych pytań, szczególnie w sprawie udziału gościa w odtajnieniu dokumentów sztabowych w końcówce rządu PiS oraz propagandowego serialu „Reset" autorstwa Cenckiewicza i Michała Rachonia. A już szczególnie dał się Stanowski we wcześniejszej rozmowie owinąć wokół palca Mateuszowi Morawieckiemu, który w sztuce ściemniania jest niedościgłym mistrzem. Któż jednak będzie oceniać kwalifikacje Stanowskiego, który zdobył szlify w dziennikarstwie sportowym, a dzisiaj jest... po prostu Stanem, jak nazywają go fani.

Po wyborach Kanał Zero mocno skręcił w okołopisowskie rejony. Już sam zestaw rozmówców z ostatnich tygodni o tym świadczy, a jeszcze bardziej niezwykła atencja, jaką darzony jest Karol Nawrocki. Ekipa Stanowskiego nie odstępuje go praktycznie na krok, a prezydent odwdzięcza się publicznymi komplementami pod adresem dziennikarki. Czas wreszcie wspomnieć o najbardziej bodaj osobliwym w dziejach III RP debiucie kończącego kadencję prezydenta w nowej roli. Po opuszczeniu pałacu to właśnie u Stanowskiego Andrzej Duda ćwiczy swoje poważne miny, którymi ilustruje opowieść w odcinkach o tym, jak podnosił Polskę z ruin. W trakcie pisania tego tekstu Kanał Zero reklamował wywiad z Jackiem Kurskim, chociaż z drugiej strony zapowiadano też pojawienie się ministra sprawiedliwości Waldemara Żurka.

Kanał Zero od początku był prawoskrętny, chociaż wcześniej – mimo teorii spiskowych o powiązaniach ze środowiskiem Zbigniewa Ziobry – nie wydawał się szczególnie zideologizowany ani upartyjniony. Praktykowano raczej „zdroworozsądkowy" konserwatyzm na „wolnościowym" fundamencie, bliższy umiarkowanej części Konfederacji. Zarazem Stanowski próbował budować markę medium ambitnego, w którym eksperci potrafią godzinami dyskutować o energetyce jądrowej. Teraz takich treści jest już mniej i trudniej się do nich dokopać.

Wszystko przykrywają materiały Stanowskiego i Mazurka, przy czym ten ostatni po latach funkcjonowania w dziennikarskim mainstreamie wrócił do prawicowych korzeni i od jakiegoś czasu specjalizuje się w wyszydzaniu każdego potknięcia strony rządzącej, co na ogół pokrywa się z narracjami Nowogrodzkiej, Krakowskiego Przedmieścia i TV Republika. Mówi się zresztą, że Mazurek tak strzegł swojego wpływu na polityczną linię, aż go zmonopolizował. Na co skupiony na biznesie Stanowski mu pozwolił. Resztę zrobiły algorytmy amerykańskiej platformy, które najchętniej podsuwają użytkownikom skrajnie polaryzujące treści. Bardziej więc opłaca się wyprodukować kilkunastominutowy monolog Mazurka o Tusku albo Sikorskim, niż ściągać ekspertów na parogodzinną dyskusję.

Chociaż – jak słychać w firmie – Stanowski nie planował prawicowego skrętu. Prędzej już zarzuciło go po kampanii, którą zniechęcił do siebie resztki komentariatu z głównego nurtu. Trudniej teraz o gości spoza prawicy, w niektórych redakcjach (np. w Onecie) wprowadzono dziennikarzom odgórne blokady na przyjmowanie zaproszeń do Stanowskiego. On sam co prawda wyżywa się w obrażaniu dziennikarskiego establishmentu, którym szczerze gardzi, ale podobno chciałby wzmocnić swoją bardziej niż skromną liberalno-lewicową flankę. Tyle że nie bardzo wie kim, a podpinanie się pod pisowski ekosystem medialny właściwie już całkiem go alienuje, nawet jeśli działa na nieco innych zasadach niż TV Republika czy wPolsce24. W bańce jednoznacznie prawicowej, ale trochę jeszcze wentylowanej wpływami zewnętrznymi oraz uwagą „normalsów". Co czyni to medium cennym dla prawicy ośrodkiem politycznego wpływu.

Ale niezależnie od stopnia uwikłania jego zasadniczym towarem pewnie już pozostanie populizm. Kanał Zero nie jest od informowania ani chłodnego komentowania, tylko od utwierdzania stereotypu o zakłamanych, śmiesznych bądź głupich elitach. Jak powiada Stanowski, polski rząd to „stado bałwanów", a media głównego nurtu przypominają mu grządkę „głąbów kapuścianych". I w sumie do tego sprowadzają się jego przebieranki. Tylko że mówiąc widzowi: „Nie ufajcie nikomu, ufajcie sami sobie", podcina gałąź nie tylko oponentom, lecz na dłuższą metę także samemu sobie.

RAFAŁ KALUKIN

eprasa.pl 6b266ec372

Wolny transfer

Powołanie niemal jednogłośne przez prawą i lewą stronę parlamentu Mariusza Haładyja na nowego prezesa NIK wywołało spore zaskoczenie. Tym bardziej że tak naprawdę niewiele o nim wiadomo.

© JACEK DOMIŃSKI/REPORTER

ANNA DĄBROWSKA, VIOLETTA KRASNOWSKA

Na pierwszym w historii przesłuchaniu publicznym kandydatów na prezesa Najwyższej Izby Kontroli, 8 września w Sejmie, dziesięć dni po swoich 47. urodzinach, przedstawił się tak: „Nazywam się Mariusz Haładyj, jestem prezesem Prokuratorii Generalnej, radcą prawnym i urzędnikiem państwowym". Zaznaczył, że: „Ze względu na duże zainteresowanie trochę stresu mi towarzyszy, chciałbym więc użyć słów Boba Paisleya, legendarnego brytyjskiego menedżera piłkarskiego, który powiedział: »Mam nadzieję, że drużyny, które zbuduję, pozwolą mi przezwyciężyć brak słów«". Ale to była nadmierna skromność, bo słów mu nie brakowało.

A rozpoczął od multimedialnej prezentacji. „Pierwsze pięć lat mojego życia zawodowego to praca jako kontrolera, najpierw trzy lata w NIK, później dwa lata w Ministerstwie Finansów i ostatni rok jako naczelnik wydziału współpracującego z urzędami kontroli skarbowej" – wyliczał. „Pracowałem w zespołach kontrolnych, ujawniając poważne nieprawidłowości związane z wykonywaniem zobowiązań prywatyzacyjnych wartych kilka miliardów złotych, sprzedażą nieruchomości w centrum Warszawy wartych też kilkaset milionów złotych, nieprawidłowości w udzieleniu wielesetmilionowej pomocy publicznej w jednej ze stref ekonomicznych. Znam więc warsztat kontrolerski od strony praktycznej" – podkreślał.

Pochodzi z Krasnegostawu na Lubelszczyźnie; po skończeniu prawa na KUL i studiów podyplomowych z prawa spółek na UW zrobił aplikację radcowską w Warszawie. Po studiach w 2002 r. praktykował w kancelarii adwokackiej, a już rok później trafił do NIK. Aplikację kontrolerską skończył 20 lat temu. Wtedy też w NIK poznał Macieja Berka, który – jak można usłyszeć w kancelarii premiera – wymyślił Haładyja na nowego prezesa Izby. Berek, minister nadzoru nad wdrażaniem polityki rządu, jest dziś jednym z najbliższych ludzi premiera Tuska.

Gra zespołowa

Przez trzy lata w NIK Haładyj przeszedł od inspektora do specjalisty kontroli państwowej. W 2006 r. trafił do Ministerstwa Finansów, a dwa lata później, już za pierwszych rządów PO-PSL – na kilka lat do resortu gospodarki. Zmieniały się tabliczki z nazwami ministerstw, rządy i ministrowie, ale każdy chciał mieć Haładyja u siebie. Resortem gospodarki kierował wówczas prezes PSL Waldemar Pawlak, a w 2012 r. zastąpił go wicepremier Janusz Piechociński, który awansował Haładyja na wiceministra. – *Rzadko w życiu spotyka się tej klasy pracoholika, który jest niezwykle kompetentny, konsekwentny, a jednocześnie szanuje i słucha ludzi* – chwali go Piechociński. – *Stworzył w swoich departamentach kapitalny klimat dialogu i nie chodziło tylko o jakieś wizerunkowe rytuały, on faktycznie umiał wypracowywać z ludźmi nowatorskie rozwiązania służące gospodarce* – dodaje.

Na publicznym przesłuchaniu Haładyj wspominał, że pracując w rządzie, pisał projekty ustaw ułatwiających prowadzenie działalności gospodarczej ▶

eprasa.pl 6b266ec372

▶ i znoszących bariery administracyjne. I wówczas można było usłyszeć, że zawsze stawiał na grę zespołową.

W sejmowych stenogramach z posiedzenia komisji z 2015 r. znajdujemy taką jego wypowiedź z końcówki rządów PO-PSL: „Mogę tutaj tylko złożyć podziękowania pracownikom ministerstwa, bo pracowali w sposób dość niestandardowy, w sensie: nie od 8 do 16, i nie od poniedziałku do piątku, tylko dalece wykraczając poza te ramy". On podobno od lat sam przekracza te ramy.

Swoją dalszą pracę, już dla władzy PiS, kwituje teraz: „Pomimo zmiany rządu otrzymałem możliwość kontynuowania prac nad tymi projektami legislacyjnymi i przez 11 lat pracy w ministerstwie byłem odpowiedzialny za przygotowanie może nawet kilku tysięcy zmian poprawiających otoczenie prawne przedsiębiorców".

Nowa drużyna

W 2015 r., po zwycięstwie PiS w wyborach, Ministerstwo Gospodarki przemianowano na resort rozwoju; na jego czele stanął Mateusz Morawiecki. Haładyj jako jedyny członek rządu PO-PSL utrzymał stanowisko wiceministra. – *Kiedy podczas dwugodzinnej rozmowy przekazywałem resort Mateuszowi Morawieckiemu, wskazywałem, że byłoby dobrze, gdyby w kluczowych obszarach zachował ciągłość, i że wybitne kompetencje Mariusza Haładyja będą tu bardzo przydatne* – wspomina dziś Janusz Piechociński. – *Miał dokąd odejść, choćby do NIK, bo był urlopowanym pracownikiem Izby, uznał jednak, że bardziej przyda się w ministerstwie* – dodaje. Były szef PSL docenia Haładyja za wielki wkład do tzw. czwartej ustawy deregulacyjnej. Z kolei przedstawiciele rządu PiS – za wiele inicjatyw związanych ze Strategią na rzecz Odpowiedzialnego Biznesu.

Kiedy szefową resortu po Mateuszu Morawieckim została Jadwiga Emilewicz, to Haładyj przeprowadził m.in. pakiet tzw. stu zmian dla firm i przeforsował nowe prawo zamówień publicznych. – *Może dla niektórych drobiazgowość Mariusza i powracanie do tematów, dopóki nie miał pewności, że są dopracowane do perfekcji, bywały uciążliwe. Dla mnie jednak była to ogromna zaleta – dawał gwarancję jakości i bezpieczeństwa* – wspomina Emilewicz. Podkreśla też, że ceniła go za niezwykle wysokie standardy moralne. – *Ludzie byli gotowi pracować z nim w wymiarze przekraczającym ich standardowe godziny pracy, ponieważ widzieli, jak sam dużo od siebie wymaga, że jest po prostu uczciwy i wewnętrznie spójny.*

Podczas przesłuchania publicznego Haładyj przyznał, że miał niedosyt, bo z przyjętych rozwiązań legislacyjnych administracja korzystała bardzo powściągliwie. „Stąd gdy pojawiła się możliwość po odejściu poprzednika, wystartowałem w konkursie na prezesa Prokuratorii Generalnej" – wspominał.

Ładnie powiedziane, tyle że wówczas (w 2019 r.) żadnego konkursu na taką funkcję nie było – w każdym razie jawnego. Po prostu ogłoszono, że premier Morawiecki mianował Mariusza Haładyja na stanowisko prezesa Prokuratorii Generalnej. I to wypomina mu się teraz: – *W czasach, gdy PiS wycinał w pień nie swoich ludzi we wszystkich instytucjach, on został powołany przez Morawieckiego na prezesa Prokuratorii Generalnej!?* – pyta retorycznie jeden z naszych rozmówców. Mimo to w 2024 r. Donald Tusk pozostawił go na stanowisku.

Pressing

Prokuratoria Generalna, choć niewielka – bo zatrudnia nieco ponad 200 prawników – i usytuowana z dala od medialnego zainteresowania, w kamienicy przy ul. Hożej w Warszawie, to ważna instytucja. Jej zadaniem jest ochrona praw i interesów majątkowych państwa. W ubiegłym roku prowadziła np. ok. 600 spraw sądowych GDDKiA oraz 70 – PKP PLK SA. Zdarza się, że tylko jeden taki przypadek obejmuje kilkadziesiąt roszczeń o wartości kilkuset milionów złotych.

Z urzędu Prokuratoria bierze na siebie sprawy ciężkiej wagi – kiedy wartość przedmiotu sporu przekracza 5 mln zł. Ale też włącza się tam, gdzie wskaże premier, bez względu na to, o jaką sumę chodzi. Prawnicy Prokuratorii są bardzo cenieni, wygrywają ponad 90 proc. spraw. – *Gdy wchodzą na salę sądową, to wiadomo, że łatwo nie będzie* – mówi jeden z adwokatów specjalizujących się w sprawach gospodarczych. Obecnie Prokuratoria prowadzi ok. 9 tys. spraw o wartości ponad 85 mld zł.

Maciej Berek chwali Haładyja za to, że szanując prawo, dąży do znajdywania optymalnych rozwiązań. – *W administracji był strach przed zawieraniem ugód, urzędnicy twierdzili, że muszą mieć wyroki sądowe, bo czują się wtedy bezpieczni. Haładyj zmienił to myślenie, dając im opinie Prokuratorii i biorąc na siebie dużą odpowiedzialność za wypracowane ugody, zamiast prowadzić latami sądowe batalie. Mariusz Haładyj umie wyważyć, co przy zachowaniu prawa przyniesie państwu pożytek, i bardzo go za to cenię* – mówi. Bo Prokuratoria dostała trzy lata temu nowe zadania: wydawanie opinii prawnych dla rządzących. Tych powstaje kilkaset w ciągu roku.

O tym, że decyzje rządowe były za PiS konsultowane z prezesem Haładyjem, świadczą choćby tzw. maile Dworczyka z marca 2021 r. Ludzie z otoczenia Morawieckiego i on sam dopytywali, czy Skarb Państwa w związku z pandemią będzie musiał wypłacać odszkodowania przedsiębiorcom. Haładyj tłumaczył, jak prawnie wygląda sytuacja z „pozwami covidowymi", i radził, co należy zrobić: „Teraz więc ważne jest, żeby TK wydał swoje orzeczenie, zanim wyroki zaczną zapadać".

Stąd podniosły się obecnie głosy oburzenia: jak to jest z tą nieskazitelnością urzędniczą Haładyja, skoro zalecał „prawny myk" z wykorzystaniem Trybunału Konstytucyjnego, któremu szefowała politycznie zależna Julia Przyłębska? Jego stronnicy twierdzą jednak, że chronił Skarb Państwa.

Opinie Prokuratorii Generalnej nie są informacją publiczną. Donald Tusk, chcąc wyciszyć spekulacje, że Haładyj to „ukryta opcja pisowska", stwierdził, że niektóre jego opinie nie były po myśli rządu Morawieckiego. Że dzięki nim było możliwe m.in. postawienie zarzutów Morawieckiemu w związku z wyborami kopertowymi – bo Haładyj pisał, że nie będą legalne – a także ochrona niezależnych mediów w Polsce (dzięki uwagom Prokuratorii w sprawie tzw. lex TVN).

Kontratak

Tymczasem ustępujący prezes NIK Marian Banaś rzutem na taśmę przeszedł do kontrofensywy. Jego doradca Andrzej Voigt tuż przed zaprzysiężeniem Haładyja na prezesa Izby złożył zawiadomienie u ministra sprawiedliwości, prokuratora generalnego Waldemara Żurka. Jak podała „Rzeczpospolita", dokument dotyczy możliwego współudziału prezesa Prokuratorii Generalnej Mariusza Haładyja w popełnieniu przestępstwa. Chodzi o związek z „nielegalnym przekazaniem 551,3 mln zł na rzecz rozwoju Polskiego Holdingu Hotelowego ze względu na wydanie pozytywnej opinii prawnej przez Prokuratorię Generalną dla Skarbu Państwa reprezentowanego przez Kancelarię Prezesa Rady Ministrów i później Ministerstwo

eprasa.pl 6b266ec372

Donald Tusk, chcąc wyciszyć spekulacje, że Haładyj to „ukryta opcja pisowska", stwierdził, że niektóre jego opinie nie były po myśli rządu Morawieckiego.

Aktywów Państwowych". W uzasadnieniu do zawiadomienia napisano wprost, że ma ono na celu zablokowanie zaprzysiężenia: „Mając na względzie ewidentny konflikt interesu w zakresie »kto kogo będzie teraz kontrolował« (...), wnioskujemy o wstrzymanie zaprzysiężenia przez Sejm RP Pana Mariusza Haładyja na Prezesa NIK do czasu prawnego wyjaśnienia tego jednoznacznie niezgodnego z prawem działania".

Niczego to nie zmieniło. Politycznie komentowano to tak, że gdyby okazało się, że Haładyj popełnił przestępstwo, wtedy po prostu ruszy procedura pozbawienia go immunitetu.

Pojawiły się też głosy, że może należało wybrać Banasia na kolejną kadencję – bo doskonale wie, jakie nieprawidłowości kontrolerzy NIK znaleźli za czasów rządów PiS, i nie trzeba byłoby czekać, aż nowy prezes się w nich rozezna. Nie ma też na razie następcy Haładyja w tak ważnej dla państwa instytucji, jaką jest Prokuratoria Generalna. Ale Sejm zdecydował inaczej. I to przeważającą większością – aż 421 posłów podniosło rękę za Haładyjem, a potem Senat prawie jednogłośnie ten wybór zaakceptował. W kręgach premiera można usłyszeć, że nie było już na co czekać i najwyższy czas posprzątać „Republikę Banasiową", jak do niedawna nazywano NIK.

W środę Mariusz Haładyj został zaprzysiężony na prezesa. Po słowach ślubowania dodał: „Tak mi dopomóż Bóg", co jest oczywiste dla jego znajomych, bo Haładyjowi bliskie są konserwatywne wartości – choć jeśli chodzi o poglądy gospodarcze, plasuje się raczej na liberalnym skrzydle. Z Sejmu wraz z marszałkiem Hołownią pojechał do siedziby NIK przy ul. Filtrowej. Mariana Banasia nie było. Przed wejściem czekał na niego Jacek Kozłowski, były wojewoda mazowiecki, kiedyś PO, dziś sekretarz Polski 2050, który w grudniu 2023 r. został wiceprezesem NIK. I on jest dziś wskazywany jako patron Haładyja.

Wokół jego kandydatury narosły zresztą polityczne teorie, także te spiskowe. Jedna głosi, że to efekt narady liderów koalicji 15 października, podczas której Hołownia miał wskazać kilka instytucji, które chce dla siebie, w tym właśnie NIK, i kategorycznie oświadczyć, że jeśli tego nie dostanie, to wyjdzie z rządu. Inna mówi, że to efekt lipcowej kolacji Kaczyńskiego z Hołownią w mieszkaniu Adama Bielana – co miałoby potwierdzać nagłe wycofanie kandydatury partyjnego działacza PiS Tadeusza Dziuby. Dobrze zorientowany polityk z okolic Nowogrodzkiej przekonuje, że Jarosław Kaczyński zorientował się, że ma w partii buntowników, którzy autentycznie uznali, że lepszym kandydatem na szefa NIK będzie Haładyj – był przecież w rządzie PiS – niż druh prezesa od czasów PC Dziuba. – *Prezes nieustannie powtarza, że najważniejsza jest teraz jedność w obozie, bo zaprowadzi nas do zwycięstwa. Nie mógł dopuścić do rozłamu w partii w sprawie wyboru prezesa NIK* – tłumaczy.

Trening

Mariusz Haładyj w Sejmie nazwał NIK „strażnikiem finansów publicznych". Mówił: „Zadaniem NIK powinno być identyfikowanie słabości instytucjonalnych państwa i wskazywanie, co i jak poprawić, żeby do określonych błędów nie dochodziło. Do tego prosta ocena legalności nie wystarczy, można bowiem działać zgodnie z prawem, ale nieskutecznie i nieracjonalnie".

Maciej Berek myśli podobnie i podkreśla, że nie chodzi o to, aby NIK zrobił kilkaset kontroli rocznie, ale o to, by po nich faktycznie coś zostało – nie tylko ładnie wydane raporty, które zdobią półki. – *Wierzę, że Mariusz Haładyj ze swoim myśleniem o państwie i doświadczeniem zmieni filozofię działania NIK, i to z wielkim pożytkiem dla naszego państwa* – mówi.

W opowieściach o nowym prezesie NIK – i to przedstawicieli każdej z politycznych stron – najczęściej pada określenie „państwowiec". Nasi rozmówcy podkreślają, że Haładyj miał wiele okazji, aby iść na rynek prywatny i zarabiać krocie. – *Ale on, tak jak jego żona Barbara potrzebują wielkich wyzwań i poczucia, że uczestniczą w czymś, co jest naprawdę ważne, choć bywa wykańczające. Taką skalę wyzwań, które przynosi administracja publiczna, trudno znaleźć na rynku* – opowiada znajomy pary.

Odkąd Haładyj przeszedł do Prokuratorii, nie może narzekać na zarobki. Z jego ostatniego oświadczenia majątkowego wynika, że w 2024 r. zarobił blisko 600 tys. zł, czyli znacznie więcej niż jako wiceminister. Zarobki szefa NIK – ok. 20 tys. zł brutto miesięcznie – to pogorszenie dla jego portfela. Barbara Haładyj, prawniczka, od ponad 20 lat jest zatrudniona na etacie w MSZ z pensją ok. 150 tys. zł brutto rocznie. Rok temu została zastępczynią rzecznika dyscyplinarnego w Okręgowej Izbie Radców Prawnych w Warszawie. I tu o jej kompetencjach współpracownicy wypowiadają się w superlatywach. Niedawno Haładyjowie spłacili kredyt na dom o pow. 141 m kw., położony na obrzeżach Warszawy na 400-metrowej działce, w którym mieszkają z trójką dzieci. – *Rodzina jest dla niego bardzo ważna i poświęca jej każdą wolną chwilę, choć znajduje też czas na swoją kolarską pasję* – mówi znajomy prezesa NIK.

Haładyj obiecywał w parlamencie: „Jeśli mnie wybierzecie, nie przekroczę granic między profesjonalizmem, bezstronnością i niezależnością a polityką". W politycznej wojnie polsko-polskiej to nie lada wyzwanie. Podobno w swoich gabinetach zawsze miał piłkę do koszykówki, którą rzucał o ścianę, aby rozładować napięcie. Teraz będzie miał chyba jeszcze więcej okazji, aby trenować rzuty.

ANNA DĄBROWSKA, VIOLETTA KRASNOWSKA

© JACEK DOMIŃSKI/REPORTER

eprasa.pl 6b266ec372

Z piątku na sobotę

Reportaż uczestniczący z nocnego picia w Warszawie

MARCIN KOŁODZIEJCZYK

Rodion poświęca się, że pójdzie do Żaby, jak mu każdy bliknie po parę złotych. W ciszy i ciemni pod mostem Świętokrzyskim świecą ekrany telefonów, każdy blika Rodionowi, ile może, a dziewczyny przeważnie dają gotówkę. Nagle robi się jasnoniebiesko, bo załącza się ten migający neon z żaglówkami, warszawską syrenką i facetem, którego nazwisko trudno odczytać. Pewnie jakiś bohater, dosłownie nikogo to nie interesuje. Potem znów zapada ciemność pod mostem, a Rodion idzie po alko do Żaby, niedaleko.

Żaby i Kerfy (Carrefour) są jak jasne porty i skrzynki kontaktowe warszawskich nocy pod gołym niebem. Można spotkać ciekawe osoby, które też kupują. W ciepłe miesiące wygląda to tak: ekspedientka z Żaby, w wieku matki dorastających dzieci, ma oczy jak rzeźba z granitu, wszystko z przemęczenia psychicznego. Kolejka młodych wije się po sklepie, jak do pradawnego mięsnego, z tym że w historycznym niuansie nikt się już nie orientuje oprócz Zgredzia. Młodzież w kolejce wygląda pięknie i młodo, z tego powodu ekspedientka nie tylko sprzedaje towar i filuje, czy nie kradną asortymentu, ale także sprawdza dokumenty, ponieważ „osobom do lat 18 alkoholu nie sprzedaje się". A oni akurat czasem zapomnieli z domu tej dokumentacji i żeby się nie żreć z babą, zwyczajnie proszą Zgredzia (zawsze jakiś się kręci na podsklepiu), żeby im nakupił alko na swą dorosłą twarz. – *Pan tyle wypije sam?* – pyta z przekąsem żabiarka, bo przecież wie, co tu się wyrabia, a Zgredzio patrzy błękitnym okiem (niezapominajka w spirytusie) i gada z aktorskim urażeniem: – *No jak nie?* No i właśnie to są te ciekawe osoby, zaprasza się je później na schodki, by ubarwiały noce opowieściami ze swoich małych ojczyzn i całych światów, które zakwitną pod wpływem spożycia.

1 Dziewczyny – kolczyk wszędzie i sylwestrowe makijaże, chłopaki – fryzury „brokuł" na żeloodżywkę. Zajęci są rozmową o imprezach byłych i przyszłych, i kto gdzie i kiedy najdalej zwymiotował, a kogo trzeba było rano wieźć uberem, kłaść na wycieraczkę u rodziców, tam dzwonić do drzwi i uciekać. Osobne historie są o samochodach – kto gdzie się ścigał albo czym przytarł o krawężnik i mur. Z kolei idą umysłowe rolki o złych patokobietach i patomężczyznach (zawsze pato, nieudane

eprasa.pl 6b266ec372

Schody pod mostem Świętokrzyskim

związki). Z tym że jak udane związki, to człowiek siedzi z *matchem* przed Netflixem i wypada z życia alko na mieście – nie wiadomo, co gorsze, co lepsze. Stoją klienci w zbitych grupkach, dzieci i tzw. w socjologii młodzi dorośli, i zdarza się, że butelka leci im z rąk na podłogę, na co cała Żaba reaguje, jęcząc. Tyle dobrego się zmarnowało, tyle dobrego. Idzie pomoc z zaplecza sprzątać szkło, a zapach niewypitego bije pod sufit.

Tym razem trochę inaczej, bo Rodion wraca z Żaby z wieloma markami alkoholi w torbie i mówi, że nie było tej ekspedientki, tylko za kasą młody chłopak o imieniu też Rodion, jak wynikało z plakietki na piersi. Pogadali sobie po ukraińsku i sprzedawca wyraził ulgę, że dziś jakoś jakby luźniej wśród klienteli. „Nowy kot", mówi się od razu na schodkach ze śmiechem. Gówno wie, mówi się, żałując go, jeszcze się zetknie z prawdą, jeszcze zobaczy. Fakty rzeczywiście sprzysięgają się przeciw Rodionowi sprzedawcy, bo gołym okiem widać, jakie rzesze ludzkie wylewają się z metra/autobusu i walą prosto pod most Świętokrzyski, gdzie wciąż ten neon za miejskie pieniądze na niebiesko błyska i gaśnie do ciemna. „Dzielnica Wisła", mówi neon, gdy akurat świeci, a oni blikają sobie kasę, czyli robią zrzutki na alko i gastro.

2 Już przybyli chłopcy spod Warszawy na nocne występy – prężą muskuły na pobliskiej miejskiej siłowni za free. Niektórzy mają taki tekst podrywowy, że każą dziewczynom kopać się z całej siły w kaloryfery na brzuchu. Równe dziewczyny kumplary kopią ich z miejsca, nie dając się długo prosić, a te z lepszych liceów (wnosząc po stroju) kopią dopiero po pierwszym/drugim drinku. Zadaniem kaloryfera jest wytrzymać tak dobrze, by nawet jedno drgnienie nie zmieniło wyrazu twarzy kopanemu. Inteligentne dziewczyny lubią towarzystwo mężczyzn, którzy nie zagrażają im intelektualnie. Może kaloryferek się dosiądzie, napije z nami? – *Chamonix?* – mówi jakby z francuska. Chwali się dumnie: – *Dwa fikołki w uberze, kuhuhurwa*. I poprawia się, bo widzi ładne dziewczyny, i już zamiast *chamonix* mówi: – Czemu nie? A Rodion, jak szedł z Żaby, to spotkał jeszcze parę osób i też je ze sobą wziął na schodki dla kolorytu. Są to: Niemiec (milczący), drugi Niemiec (turecki), Ukrainiec i jakiś gość podający się za pijanego Anglika. Ten ostatni wnosi do puli ciekawą opowieść: najpierw zgubił swoich *stags on tour in Warsaw* (desant wieczoru kawalerskiego), a potem na dodatek utopił iPhone'a, korzystając z toi toia, którym ktoś z zewnątrz akurat intensywnie zabujał. I jest bezbronny w tej Warszawie jak chihuahua poza torebką swej pani (konkretnie tak mówi).

I raz, i dwa, i trzy. Niesie się ostre męskie chuchanie, bo nie tylko piwo grejpfrutowe się tu pije. A potem szkło leci do przygotowanych przez miasto beczek po ropie, ale rzadko kto trafia, więc z biegiem nocy szkło chrzęści pod butami silniej i silniej. – *Może po buszku?* – ktoś proponuje, mając na myśli zwyczajnego lolka. W ogóle, tak dla przypomnienia, te schodki pod mostem Świętokrzyskim w stolicy to te legendarne, o których zostawienie w spokoju prosił raper Mata, kiedy był młody, czyli jakieś pięć lat temu („jebane młotki, zostawcie nasze schodki, my tu tylko pijemy to piwo i palimy lolki, no sorki, że byliśmy trochę głośni, nananananana"). Podmiot liryczny utworu prosił miasto stołeczne (domyślnie) o odjeb... się od enklawy młodzieżowej wolności. Trudno powiedzieć, czy faktycznie przystano na to wezwanie, raczej chyba nie do końca. Od piątku wieczór stoją sobie tu i ówdzie radiowozy na migających kogutach, jak jakieś owczarki pilnujące stad ludzi pięknych, młodych i pijanych.

Zgredzio zagaja, że zaraz Trzaskowski zabroni alkoholu na całym mieście i skończy się *freestyle* piątkowo-niedzielnych nocy. Parę trzeźwiejszych dziewczyn patrzy na Zgredzia badawczo. Może pies w przebraniu? Albo zboczeniec? No w każdym razie pada takie znamienne pytanie z ust młodej Polki: – *Że kto zabroni?* – *Prezydent* – mówi zbity z tropu Zgredzio. Konsternacja osuwa się w ciszę, a następnie sięga jeszcze głębiej, gdy młodzież zaczyna wyjaśniać po angielsku dwóm Niemcom i Anglikowi, że Nawrocki chce zakazać picia w mieście i co to w ogóle za skandal, porąbało go? Domniemany Anglik, który posiał komórkę na zawsze tam, zajarza zrozumieniem. – *The boxer guy* – wykrzykuje i wykonuje kilka uników pięściarskiej walki z cieniem.

3 Najpierw idzie zapach. Taki ciężki i duszący, że trudno w nim oddychać. A to tylko nowo przybyłe na schodki dziewczyny zajrzały po drodze do perfumerii, gdzie się wypsikały darmówkami i pomalowały się w martwe białe maski z krwawą kreską ust. Droga była długa, pół miasta, więc wstępowały także do Żab i Kerfów, kupowały tam alko na dowód osobisty prawilnej (pełnoletniej) koleżanki, która leży w domu chora, ale pożyczyła dokumenty psiapsiom. Próbowały owijać buteleczki papierem z torebek od hot dogów (jak robią na amerykańskich filmach ▶

© FILIP NAUMIENKO/REPORTER

eprasa.pl 6b266ec372

▶ od półwiecza), ale im jakiś lokalny Zgredzio przymilnie wyjaśnił z własnego długiego doświadczenia, że psy już od wielu lat wiedzą, co jest grane z tymi torebkami, i robią ludziom z tego powodu bydło (nieprzyjemności). Więc dziewczyny chowały się za murami kamienic i właziły w ciemność krzaków, by zatankować (wypić).

– *Mordy, ktoś tu ma lolki?* – zagajają te nowo przybyłe, by zaistnieć na *kickstarcie*. Tak się składa, że akurat zapach lolka jako jedyny przebija się ponad perfumy i ciężki zapach rozlanego alko. Nie da się oszukać dorastających warszawskich dziewczyn – jak lolka wyczuły, to muszą go mieć. Dym wzniósł się pod neon. Dobry był lolek, wyluzował i wzmógł elokwencję. Jest masa sztucznie napędzanego śmiechu, którego ciągły przyrost dałoby się wyrazić w procentach.

Rodion mówi, że jak mu blikną kasę, to znowu pójdzie do Żaby. Z tym że wieczór jest w toku i nic już nie działa prędko. Schodki zmeliniają się od nie tak rzadkich aktów wymiotowania na stojąco do Wisły. To uchodzi i nie dziwuje. Jeśli natomiast zapytać w dzień powszedni na jasnej ulicy tego dumnego miasta, to można się dowiedzieć od pozbieranych życiowo licealistek, że schodki pod mostem Świętokrzyskim stały się bardzo pato (od patologii) i już się tam nie chodzi. Z kolei w weekendy jedno i drugie to nieprawda – i licealistki, i prawdziwe pato chętnie tu bywają, by się bratać przy alko. Oj, baczność! Jedzie wzdłuż Wisły psiarnia na wolnym biegu i się patrzy służbowo. Bohaterowie (i bohaterki) chowają szkło za pazuchę. Z tym że chodzi tylko o to, że jakiś czas temu ktoś w pobliżu zamówił nad rzekę gastro (kebągi, chińczyki, pizze na wynos) i w dużych ilościach zjechali się skuterkowi dostawcy o ciemnej karnacji. A następnie wezwali przez komórki kolegów, stanęli dużą grupą na przerwę, zapalili papierosy i zapatrzyli się tęsknie w polską dziewczyńskość ze schodków. No, prawda jest taka – gdzie pojawia się ciemna skóra, tam zawsze, a już szczególnie w rejonach alko, sprzężeniem zwrotnym jest polska husaria męska w niemieckich dresach i obuwiu. Wystawiają na zimno kaloryfery i bicki. Wtedy właśnie podjeżdża radiowóz, Polacy siadają spokojnie, a kurierzy z dalekich krajów zmywają się peletonem na miasto ciężko pracować.

4 Przywiał wiatr nowego zgredka po pięćdziesiątce. Nieźle znany nad warszawską Wisłą egzemplarz, Pan Bogdan. Z marszu czepia się dotychczasowego Zgredzia wyrażeniem: – *Weź nie pierdol*. Bogdan jest ciekawą osobą, każdy tu powie – kupić alko na słupa: proszę; *tutoring*, jak pić, by się nie zalać: proszę. Nawet porady sercowe dla osób świeżo rozstanych z partnerami pod wpływem alkoholowej emocji – również Pan Bogdan. A że Bogdan tak naprawdę łasuje dla kilku złotych wśród pijących (jak się łasuje drobniaki, to nie trzeba oddawać), bo sam jest bardzo potrzebowski, nie stanowi tajemnicy. – *Kochana* – wzdycha z biegiem wieczoru Bogdan do pijanej dziewczyny – *widzisz, jakie niedobre? A Pan Bogdan po prostu musi*. Pan Bogdan po odarciu z legendy jest zwyczajny farmazoniarz, ale tolerowany. Więc teraz tak: Bogdan atakuje Zgredzia mocnym słowem, bo podejrzewa go o nieuprawnione solo przed młodzieżą blikającą mu po złotówce. Jest po północy, Zgredzio, proszony, próbuje uporządkować chaos warszawskiej nocy – szedł, mówi, od Chmielnej, gdzie już na początku wieczoru ktoś pijany dostał w głowę nieznanym narzędziem i trzeba było wzywać i erkę, i policję. Potem mijał pijaną parę z dzieckiem w wózku, która się o tego dzieciaka kłóciła z wrzaskiem w tłumie lepszych pijących (podrestauracyjnych i ogródkowych) na Nowym Świecie. On darł się do niej: „Nie ćwierkaj!". Zgredzio widział festiwal wódczanych szotów i lolków w dopływach Nowego Światu. Nerdów nad półlitrem, zygzakujące dzieci strzygi z gier komputerowych (przebrani), k-popowców (wyznawcy modnego koreańskiego popu), mangowców (wyznawcy japońskiej kreski komiksowej), emogirlsy i elfice ze spiczastymi uszami (doczepionymi). Pijane pary pozujące na chwałę instagramów. Trójce męskie, w których osoby centralne bywały wleczone przez boczne. Słyszał śpiewy pokolenia Zet po alko i szepty naganiaczy wygłaszane legato, bez przecinków: „Number one girls witam może do klubu ze striptizem pięęękne dziewczyny dziewice hello guys welcome sir".

5 Od północy do rana uczucia biorą górę. Sklepy – zwane historycznie monopolami – już zamknięte, ale ciemnoskóre chłopaki na skuterkach przywożą alko na Wisłę z nocnych głębi miasta, nagle można się z nimi dogadać ponad podziałami. Cisi posłańcy robią swoje i znikają. Miga neon pod mostem Świętokrzyskim – od niebieskości do czerni – i odsłania obecnie taki obraz: Rodion pojechał do kogoś na domówkę (impreza w domu, za zaproszeniem), pozostali na schodkach polegują na betonie mimo jesiennego zimna, rzekomy Anglik śpi z głową pomiędzy kolanami i można mu śpiewać. Więc dziewczyny z liceum przestają śpiewać, zainteresowanie Anglikiem spada do sprawdzania tętna co jakiś czas. Niemiecki Turek stanął w grupie innych Turków, mężczyźni rośli i przystojni, i hurtem proponują polskim dziewczynom małżeństwa, bo z tego właśnie znani są Turcy w Warszawie. Trudno odgadnąć zdanie pań w tej sprawie, ponieważ jest już na to za późna noc i zdarza się niektórym, że Wisła płynie w kilku poziomach wzrokowych. Szkło, szkło, szkło na chodnikach. Ubery zbierają świadomych i swoich, nieświadomi i samotni mogą liczyć tylko na przyjaźnie dopiero co poznanych ciekawych osób. Już się leją łzy, już są narzekania na złe życie i braki w więziach międzyludzkich. A gdy zaczyna się wzajemne pokazywanie tatuaży i tłumaczenie ich znaczeń (*ten sobie zrobiłem, jak wszedłem na Rysy; to była twarz mojej pierwszej, ale przerobiłem na Warpiga z Motorhead*), to już wiadomo, że koniec jest blisko.

6 Bogdan wie, kto jest prezydentem Warszawy. Oraz że miała być wieczorna prohibicja, ale nic z tego nie wyszło, bo zabrakło głosów. – *Trzaskoś chciał Warszawę wysuszyć* – mówi, siedząc bez ruchu. Trzaskoś powiedział, że będzie suszył i tak – najpierw Pragę Północ. He, he, jak mówi Bogdan, wyrażając powątpiewanie w takie plany ratusza. Potem milknie, a chłopak obok woła przemęczonym głosem do znajomych, z których została mu już tylko niezbyt znajoma dziewczyna w złym stanie: – *Cisza! Alkoholik będzie prawił!* Pan Bogdan na to uśmiecha się pod wąsem i prawi tak: – *Może i dobrze Trzaskowski chciał? Bo patrz, co się dzieje.*

Wkoło chaos szklanych paciorków i plam na schodkach w tych ciągle, do bólu oczu, na niebiesko migających neonach. Lecz „nic nie jest takie aż proste", jak mówi Bogdan zgred i racjonalizuje świat stołeczny: jak nie kupią butelki w sklepie, to kupią w restauracji, bo teraz bogatą mamy młodzież, albo wcześniej kupią więcej w sklepie, albo wrócą stare dobre meliny, albo rodzicom będą zabierać. – *Nie da się wysuszyć tego miasta* – prawi Bogdan, który aktualnie służy ramionami dwóm spoczywającym na nich głowom młodych dorosłych. Chłopak i dziewczyna śpią. Będą mieli co opowiadać następnym razem.

MARCIN KOŁODZIEJCZYK (W ROLI ZGREDZIA)

eprasa.pl 6b266ec372

© JAKUB ORZECHOWSKI/AGENCJA WYBORCZA.PL

Studenci chwilowi

Naukę na wyższych uczelniach zaczyna właśnie blisko 400 tys. studentów. Co trzeci padnie ofiarą drop-outu, czyli porzuci studia przed dyplomem. Wykruszanie się studentów to spory problem dla uczelni.

ADAM GRZESZAK

Najwięcej studentów wykrusza się na początku. Uczelnie wciąż nie wiedzą, ilu zostanie immatrykulowanych, bo kandydaci zwykle aplikują do kilku szkół wyższych i na wiele kierunków. Nie ma w tej dziedzinie ograniczeń, więc ci ze słabszymi maturami składają wiele aplikacji, bo nie wiedzą, czy ktoś ich przyjmie, a ci z lepszymi, bo nie wiedzą, na co się zdecydować. Także po rozpoczęciu roku akademickiego ruch nie ustaje, bo część przyjętych nie odbiera legitymacji i nie podejmuje nauki; zmienili zdanie w ostatniej chwili. Potem zaczyna się nauka i odpadają kolejni, bo pierwszy rok zwany jest selekcyjnym. W tym czasie wykrusza się średnio 15 proc. studentów, ale są kierunki i uczelnie, gdzie odsiew w pierwszych miesiącach sięga nawet 60–70 proc. – *W naszej uczelni tak się dzieje szczególnie na kierunkach ścisłych, gdzie wymagana jest dobra znajomość matematyki i fizyki. Wiele osób dochodzi do wniosku, że sobie nie poradzi, choć oferujemy dodatkowe zajęcia wyrównawcze* – wyjaśnia Mateusz Michalski z Akademii Nauk Stosowanych w Gnieźnie, koordynator projektu „Anty drop-out ANS Gniezno".

Podobnie jest na innych uczelniach, gdy wyobrażenia studentów zderzają się z rzeczywistością. Kiedy nauka okazuje się za trudna albo niezbyt ciekawa, a życie studenckie nazbyt kosztowne, wiele osób decyduje się na szybki drop-out. Wybór studiów to zwykle pierwsza dorosła decyzja w życiu młodego człowieka, nie wszyscy sobie z tym radzą. Finalnie studia pierwszego stopnia, czyli licencjackie lub inżynierskie, kończy z dyplomem ok. 69 proc. osób, z czego tylko połowa w terminie. Wtedy też następuje kolejna wielka fala drop-outu, bo studenci uznają, że licencjat im wystarczy, i ze studiów magisterskich rezygnują. Jaka część zostaje, by studiować dalej, tego nie wie nawet ELA, czyli ogólnopolski system ▶

eprasa.pl 6b266ec372

▶ monitorowania Ekonomicznych Losów Absolwentów szkół wyższych.

– *Pracodawcy kuszą naszych absolwentów atrakcyjną pracą i wysokimi zarobkami. Przekonują, że inżynier jest dla nich wystarczającą kwalifikacją, nie musi być zaraz magistrem. To dla nas spory problem, bo w ten sposób tracimy wielu zdolnych młodych ludzi, którzy po studiach magisterskich mogliby trafić na studia doktoranckie, a potem zasilić kadrę naukową i dydaktyczną naszej uczelni* – ubolewa Krzysztof Szymański, rzecznik Politechniki Warszawskiej.

Między teorią a praktyką

Łukasz Kuźmiński przez trzy lata studiował na Wydziale Nauk Ekonomicznych Uniwersytetu Warszawskiego na kierunku informatyka i ekonometria. Uzyskał absolutorium i miał napisać pracę licencjacką, ale nie napisał. Studia porzucił. – *Już w liceum myślałem o tym, że kiedyś założę firmę i zajmę się własnym biznesem. Doszedłem więc do wniosku, że studia na ekonomii mogą mi się przydać. I to był błąd* – twierdzi Łukasz. Okazało się, że studiowanie teorii ekonomicznych nie przyda mu się w praktyce, więc zaczął się rozglądać za specjalistycznymi kursami, jakie można znaleźć na UW.

To stosunkowo nowe zjawisko promowane przez UE: uczelnie oferują rozmaite specjalistyczne szkolenia potwierdzane certyfikatami, zwanymi w unijnym języku mikropoświadczeniami. Zapisał się na kurs pisania biznesplanu organizowany, nie wiedzieć czemu, przez Wydział Fizyki UW. Jednak decydujący okazał się kurs nauki języka programowania VBA. To język do tworzenia programów działających w aplikacjach Microsoftu. Na zaliczenie trzeba było wymyślić i napisać jakiś program. Napisał i wkrótce na serwisie oferia.pl, kojarzącym zleceniodawców i wykonawców z różnych branż, poznał pewnego Kanadyjczyka. Ten okazał zainteresowanie i kupił od niego jego program.

– *Kiedy na zaliczeniu wszyscy pokazywali swoje programy, usłyszałem, że mój jest taki sobie, bo mało użyteczny. Powiedziałem wówczas, że już go sprzedałem. To zrobiło wrażenie, kurs zaliczyłem na 5. Potem mój znajomy Kanadyjczyk zamawiał u mnie kolejne programy, a wkrótce znalazłem też pracę programisty. I wsiąkłem. Na pisanie pracy licencjackiej nie miałem już czasu ani ochoty* – wyjaśnia Łukasz. I dodaje: – *Byłem na rozmowach kwalifikacyjnych w wielu firmach i tylko raz usłyszałem pytanie o wykształcenie. Dla nikogo nie było problemem, że nie jestem magistrem. Liczyło się, co już robiłem, w jakich projektach uczestniczyłem, jakie mam certyfikaty.*

Justyny Chmielewskiej, dyrektor w agencji rekrutacyjnej Hays Poland, nie dziwi brak zainteresowania rekruterów formalnymi kwalifikacjami Łukasza. – *W niektórych branżach, takich jak właśnie IT czy marketing, formalne wykształcenie nie ma takiego znaczenia jak konkretne kompetencje i osiągnięcia zawodowe kandydata. Ale to nie jest uniwersalna reguła, bo w wielu innych zawodach wymagane jest formalne wykształcenie i brany jest pod uwagę nie tylko kierunek, ale i którą uczelnię kandydat ukończył. Także awans w strukturach firmy często jest zależny od wykształcenia, a osoby z dyplomem statystycznie zarabiają więcej* – wyjaśnia dyr. Chmielewska. I zachęca do rozwagi i przemyślanych decyzji o drop-oucie, mimo kuszenia przez pracodawców.

Potwierdzają to badania przeprowadzone przez agencję doradztwa personalnego Sedlak & Sedlak. W 2023 r. wynagrodzenie kobiety z dyplomem wyższej uczelni było średnio o 1 tys. zł wyższe niż osoby ze średnim wykształceniem, a w przypadku mężczyzn ta różnica zbliżała się do 2 tys.

W latach 2012–20 ponad 1,3 mln osób przerwało studia i nie wróciło na uczelnię w ciągu roku od skreślenia z listy studentów. To 40 proc. wszystkich studiujących w tym okresie i dużo więcej niż w innych krajach. Z danych Organizacji Współpracy Gospodarczej i Rozwoju (OECD) wynika, że we wszystkich krajach członkowskich średnia to 27–30 proc. Jednak ten wysoki odsetek dropoutowiczów nie zmienia faktu, że pod względem formalnej edukacji jesteśmy w europejskiej czołówce – 31 proc. Polaków w wieku 25–34 lat posiada wykształcenie magisterskie lub wyższe. Problem tylko taki, by ilość przechodziła w jakość. W europejskich rankingach polskie uczelnie lokują się dopiero w drugiej setce. W QS World University Rankings 2025 najwyżej notowane są Uniwersytety Warszawski (96. pozycja) i Jagielloński (122.). W Global Innovation Index, klasyfikującym najbardziej innowacyjne gospodarki, Polska zajmuje 39. pozycję.

Kruchy i wrażliwy

Mamy u nas 352 uczelnie wyższe, z czego 135 to uczelnie publiczne. W minionym roku akademickim studiowało w sumie 1,28 mln osób. Z liczbą studentów wiąże się subwencja budżetowa, jaką otrzymują uczelnie publiczne, dlatego znikający studenci biją uczelnię po kieszeni. I to podwójnie, bo z jednej strony maleją wpływy, a z drugiej rosną problemy z zagospodarowaniem kadry dydaktycznej. Wprawdzie system naliczania subwencji jest dość skomplikowany i różny w przypadku rozmaitych uczelni, ale na łamach Forum Akademickiego wyliczono, że średnio na studenta budżet wydaje ok. 23 tys. zł. W przypadku uczelni prywatnych głównym źródłem pieniędzy jest czesne, które za rok studiów dziennych stacjonarnych waha się od 4 tys. do 72 tys. zł. Także uczelnie publiczne oferują naukę odpłatną. Dlatego każdy znikający student jest realną stratą.

Najniższy odsetek drop-outów cechuje studia z dziedziny nauk medycznych (29 proc.) i sztuki (29 proc.), co jest tłumaczone większą świadomością kandydatów i wcześniejszym przygotowaniem. Podobnie jest z naukami przyrodniczymi. Najchętniej rejterują studenci studiów humanistycznych i nauk ścisłych. Przyczyny są bardzo różne – od intelektualnych, przez ekonomiczne, zdrowotne, po prawne i psychologiczne.

Na te ostatnie zwraca uwagę pełnomocniczka rektora Uniwersytetu Warszawskiego ds. jakości kształcenia dr Agnieszka Janiak-Jasińska, bo UW

ILUSTRACJA PATRYK SROCZYŃSKI

eprasa.pl 6b266ec372

otrząsa się z traumy po niedawnym dramatycznym zabójstwie, jakiego dokonał student na terenie kampusu. Dziś na uniwersytet wkraczają studenci z pokolenia covidowego, którzy część nauki w szkole podstawowej i liceum odbywali w trybie zdalnym. – *Odznaczają się niskimi kompetencjami społecznymi i niezwykłą kruchością psychiczną. Mają słaby kontakt ze sobą, nie znają się i często nie chcą się wzajemnie poznawać. Brakuje relacji rówieśniczych i grup przyjacielskich. W sytuacjach kryzysowych zdani są na samych siebie. Gdy natrafią na jakiś problem na uczelni, związany nawet z banalną sprawą administracyjną czy techniczną, nie wiedzą nawet, kogo zapytać. Dotyczy to zwłaszcza osób spoza Warszawy, które muszą się odnaleźć nie tylko w świecie wielkiej uczelni, ale także wielkiego miasta. To wszystko sprawia, że często porzucają studia* – wyjaśnia dr Janiak-Jasińska, odpowiadająca za realizację programu antydropoutowego „Zostań na UW!".

Uniwersytet dostał na ten program 5 mln zł w ramach organizowanego przez Narodowe Centrum Badań i Rozwoju konkursu „Efektywne zarządzanie uczelnią w celu minimalizowania zjawiska drop-outu". NCBiR w mailu do POLITYKI tak tłumaczy powody zajęcia się problemem: „Wysoki wskaźnik rezygnacji ze studiów negatywnie wpływa na wizerunek i wiarygodność uczelni, a to z kolei – szczególnie w przypadku szkół niepublicznych – przekłada się na ich finanse. W przypadku uczelni publicznych za niepowodzenie edukacyjne płaci pośrednio całe społeczeństwo poprzez nieoptymalne wykorzystanie środków publicznych zainwestowanych w szkolnictwo wyższe. Drop-out można rozpatrywać również jako przejaw marnotrawstwa zasobów edukacyjnych, tj. utraty kwalifikacji i potencjału edukacyjnego wielu osób, które mogłyby wnieść wkład w rozwój kraju oraz utraty szansy przez innych chętnych do podjęcia studiów. To może prowadzić do ogólnego obniżenia potencjału gospodarczego i innowacyjności".

Pieniądze – łącznie 288 mln zł – pochodzą z Funduszy Europejskich dla Rozwoju Społecznego. W sumie dofinansowanie przyznano 69 polskim wyższym uczelniom. Każda zdiagnozowała problem uciekających studentów i opracowała własny scenariusz działań. Wszystkie deklarują, że chcą podnieść komfort studiowania i ogólnie zaopiekować się studentami. Na UW to zaopiekowanie będzie się koncentrowało na wzmocnieniu działającego już Centrum Pomocy Psychologicznej, by każdy student z problemem, zamiast decydować się na drop-out, skorzystał ze wsparcia. Jednocześnie kadra uniwersytecka przejdzie przeszkolenie, jak rozpoznawać u studentów pierwsze objawy problemów, w tym także tych skutkujących drop-outem – by umiejętnie nimi pokierować.

Kosztowne, choć bezpłatne

Nie wszystkim się to podoba. W sieci można znaleźć wiele złośliwych komentarzy, że studentom w głowach się poprzewracało. Edukacja bezstresowa na studiach? Myśmy tak nie mieli, trzeba było zapieprzać, a profesorowie na egzaminach nie mieli litości – piszą w komentarzach.

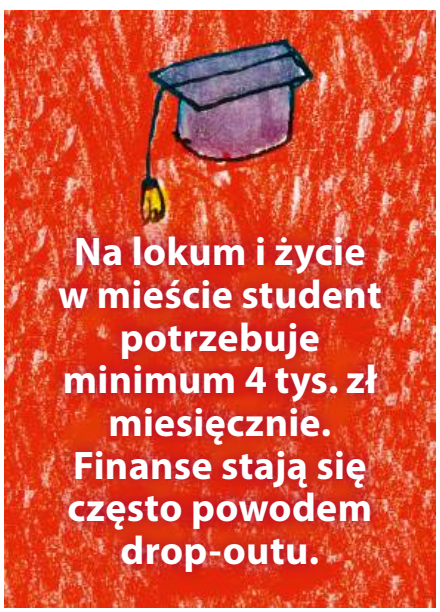

Uniwersytet Warszawski, podobnie jak inne uczelnie, deklaruje zamiar lepszego zaopiekowania się studentami i zapewnienia im większego komfortu studiowania, żeby tylko nie uciekali. W szczególności padają deklaracje uwzględniania faktu, że duża część w trakcie nauki także pracuje. Studiowanie nawet na bezpłatnych studiach kosztuje, zwłaszcza jeśli nie ma się miejsca w państwowym akademiku. Na 1,2 mln studentów mamy w Polsce ok. 100 tys. miejsc w akademikach. Maciej Samcik z portalu „Subiektywnie o finansach" szacuje, że student, który musi sobie sam znaleźć zakwaterowanie i utrzymać się w dużym mieście, potrzebuje minimum 4 tys. zł miesięcznie. Jeśli nie pomogą rodzice, a często nie są w stanie, bywa, że kłopoty finansowe stają się powodem drop-outu. Bo na stypendium za wyniki ktoś, kto walczy o przetrwanie, raczej nie ma co liczyć. Ewentualnie może skorzystać z preferencyjnego kredytu studenckiego. Ale na to decydują się nieliczni. Dlatego, kiedy Sławomir Mentzen w kampanii prezydenckiej stwierdził, że w jego „idealnym świecie studia są płatne", wywołał taką burzę głównie wśród studentów.

W lutym 2021 r. Rada Europejska zatwierdziła rezolucję w sprawie strategicznych ram europejskiej współpracy w dziedzinie kształcenia i szkolenia na rzecz Europejskiego Obszaru Edukacji i poza nim (2021–30). Rezolucja wyznacza unijny cel, zgodnie z którym do 2030 r. odsetek osób w wieku 25–34 lat z wykształceniem wyższym powinien dojść co najmniej do 45 proc. Jednym z celów pośrednich jest walka ze zjawiskiem drop-outu, stąd europejskie pieniądze, które popłynęły do polskich uczelni. Bo polski resort nauki i szkolnictwa wyższego na ten cel przeznacza grosze.

Łukasz Kuźmiński nie żałuje decyzji o drop-oucie, choć musiał się zmierzyć z problemem, z którym zmaga się wielu ludzi w jego sytuacji: z rodzicami. Na początku strasznie go cisnęli, żeby zrobił dyplom, potem odpuścili. – *Trochę ich rozumiem* – przyznaje. – *W ich czasach, kiedy kilka procent społeczeństwa miało wyższe wykształcenie, dyplom był świadectwem przynależności do wyższej klasy społecznej. Ale dzisiaj, kiedy kilkadziesiąt procent Polaków skończyło studia, na nikim nie robi to wrażenia.*

Łukasz może się pocieszyć, że nie on jeden nie skończył studiów. W końcu prezydent Aleksander Kwaśniewski czy marszałek Szymon Hołownia mają za sobą drop-out. Także w wielkim biznesie dropoutowiczów nie brakuje. Steve Jobs, współzałożyciel Apple, porzucił studia po jednym semestrze, a Mark Zuckerberg zrezygnował na drugim roku. Bill Gates, twórca Microsoftu, pożegnał się ze studiami na trzecim roku, Jack Dorsey, współzałożyciel Twittera, podobnie. Daniel Ek, prezes i założyciel Spotify, rozstał się ze szwedzkim Królewskim Instytutem Technologii zaledwie po ośmiu tygodniach.

ADAM GRZESZAK

eprasa.pl 6b266ec372

Którędy do schronu?

Z nieba nam spadły te ruskie drony – mówi jeden z wójtów, któremu po ataku udało się wyszarpać prawie milion złotych na obronę cywilną. Przebudzenie państwa w kwestii ochrony ludności było gwałtowne. Ale spóźnione o lata.

Schron Marysieńka w Rzeszowie.
U góry: **rozważane miejsce schronienia pod warszawskim metrem.**

JULIUSZ ĆWIELUCH, KATARZYNA KACZOROWSKA

Dwa tygodnie po ataku rosyjskich dronów rzeczywiście można odnieść wrażenie, że nic lepszego nie mogło nas spotkać. Dramatycznie opóźniony proces podpisywania wniosków o pieniądze w ramach Programu Ochrony Ludności i Obrony Cywilnej nagle ruszył z kopyta. Choć jeszcze na początku września „Dziennik Gazeta Prawna" donosił, że do samorządów nie trafiły pieniądze z przeznaczonych w tym roku na ten program 2,3 mld zł i trudno powiedzieć, kiedy trafią.

Po ataku udrożniono również prace nad wydrukowaniem 14 mln egzemplarzy „Poradnika bezpieczeństwa". W zasadzie pierwszego porządnie przygotowanego kompendium podstawowej wiedzy o tym, jak się zachować w sytuacjach kryzysowych. Broszurę można już ściągnąć ze strony Komendy Głównej Państwowej Straży Pożarnej. Ale jeszcze w tym roku kompendium ma trafić do każdego domu w Polsce w formie papierowej. Pytanie tylko, czy w czwartym roku wojny za wschodnią granicą to wszystko są objawy sprawczości, czy niemocy państwa?

Alarm alarmem

Lekcja z ataków dronów nie poszła na marne również o tyle, że po kolejnym naruszeniu polskiej przestrzeni powietrznej wreszcie zawyły syreny. Chrzest bojowy systemu alarmowego nastąpił w sobotę 13 września. Tego dnia Centrum Operacji Powietrznych poinformowało wojewodę lubelskiego o kolejnym przekroczeniu polskiej przestrzeni powietrznej przez rosyjski dron. Ok. godz. 17.40 służby wojewody lubelskiego wydały polecenie uruchomienia sygnałów alarmowych w powiatach: chełmskim, krasnostawskim, łęczyńskim, świdnickim i włodawskim. Syreny zawyły o 17.45. Ale nie wszędzie. Dodatkowo okazało się, że mieszkańcy nie wiedzieli, czy to ćwiczenia, czy realne zagrożenie.

eprasa.pl 6b266ec372

W Świdniku w czasie alarmu rozgrywano właśnie trzecioligowy mecz pomiędzy Świdniczanką a Cracovią II. Kiedy zaczęły wyć syreny, do końca spotkania zostało 15 min. Ok. 200 zgromadzonych na meczu kibiców nie wiedziało, jak zareagować, więc nie zareagowali w ogóle. Jak zareagować nie wiedzieli również odpowiedzialni za bezpieczeństwo. Ostatecznie meczu nie przerwano.

W powiecie krasnostawskim wątpliwości, jak się zachować, nie było, bo nie było żadnego alarmu. Po prostu nie było komu odpalić syren. Nie dość, że sobota, to jeszcze późne popołudnie. Janusz Szpak, starosta krasnostawski, prywatnie strażak ochotnik i członek Zarządu Głównego Ochotniczej Straży Pożarnej, przyznaje, że nie tak dawno temu uczestniczył w szkoleniach, jakie organizowano w Szkole Głównej Pożarnictwa. Był zresztą na tym samym kursie co prezydent Warszawy Rafał Trzaskowski. Wiedzę, jak powinien być zorganizowany system, miał. Ale wiedza to jedno, a możliwości to drugie.

– *Przy brakach kadrowych pewnych rzeczy się nie wymyśli z dnia na dzień. I trochę to tak wygląda, że samorządy zostały zostawione same sobie* – mówi otwarcie starosta Szpak. I od razu wyjaśnia, że po nalocie dronów w nocy z 9 na 10 września otrzymał polecenie od wojewody, że wydział zarządzania bezpieczeństwem w starostwie ma pracować 24 godziny na dobę i takie dyżury zostały zorganizowane przez dwóch pracowników komórki zarządzania kryzysowego. Przed tą feralną sobotą, kiedy w powiecie krasnostawskim syreny alarmowe milczały, starosta Szpak spotkał się z burmistrzami, wójtami i pracownikami zarządzania kryzysowego gmin i usłyszał, że u nich syreny trzeba włączać ręcznie, bo system jest analogowy. A o cyfrowych to tylko słyszeli.

– *Od początku wojny w Ukrainie, czyli od lutego 2022 r., były rozmowy, że trzeba się przygotować na zagrożenie, że coś trzeba zrobić. Ale na rozmowach się kończyło, bo warszawka żadnych decyzji nie dawała. Województwo też nie. Dopiero jak te drony wleciały, to się jakieś ruchy zaczęły* – mówi gorzko.

Wojewoda lubelski Krzysztof Komorski na narzekania starosty wyjaśnia: – *W systemie wczesnego alarmowania przeszliśmy z systemu analogowego na w pełni szyfrowany, cyfrowy. Mamy już też do niego łączność zapasową.* Ale tłumaczy, że przez ostatnich kilkadziesiąt lat o obronie cywilnej w Polsce rozmawiało się tylko teoretycznie. I nie da się w rok czy dwa lata nadrobić tego wszystkiego, czego nie robiono przez ostatnie 40.

Łódź, jedna z nielicznych studni miejskich

Tymczasowy schron w Odessie

Podstawowe braki

Te 40 lat to właściwie nie jest przesada. Już w latach 80. zeszłego wieku państwo musiało sobie odpowiedzieć, co jest ważniejsze – armia czy schrony, bo finansowa kołdra okazała się za krótka dla jednego i drugiego. Bez pytania nikogo o zdanie wybrano armię. W 1993 r. podejmowano nieśmiałe próby zatrzymania degradacji zgromadzonej wcześniej substancji ochronnej. Ale za aktami prawnymi nie poszły żadne środki. Samym papierem, na którym drukowano ustawy i rozporządzenia, schronów uratować się nie dało.

To mniej więcej dlatego odbudowa obrony cywilnej idzie tak mozolnie, bo w tle każdego, nawet najdrobniejszego rozporządzenia czają się setki milionów. I lata zaniedbań.

W tegorocznym procesie naboru wniosków do Programu Ochrony Ludności i Obrony Cywilnej trzeba było wdrożyć dwustopniowy proces analizy i akceptacji wniosków, bo niektórych samorządowców poniosła nie tylko fantazja, ale i spryt. Byli tacy, którzy za pieniądze na ochronę ludności chcieli wyremontować swój urząd albo wybudować salę gimnastyczną, tłumacząc, że będzie miejscem schronienia. Takie projekty odrzucano.

– *Jak ktoś chce kupować autobusy miejskie i w ten sposób podreperować budżet, to my oczywiście mówimy nie. Ale jeśli kupi autobusy z funkcją podwójnego zastosowania, w których można będzie np. łatwo i szybko zamontować system do przewozu rannych na noszach, to my oczywiście będziemy na tak* – tłumaczy Wiesław Leśniakiewicz, wiceminister odpowiedzialny w MSWiA za sprawy związane z obroną cywilną. Podobnie zdroworozsądkowo proponuje podchodzić do innych kwestii.

– *W Ukrainie rozstawiają przy przystankach takie tymczasowe schrony z betonu. Przed Iskanderem to nie obroni, ale przed odłamkami już tak. Nie widziałem, żeby u nas ktoś na to wpadł* – mówi jedna z osób oceniających wnioski od samorządowców. Kolejna kwestia to beczkowozy. We wnioskach jest tego sprzętu całkiem sporo. – *A przecież w czasie ataku nikogo się nie* ▶

© MAGA ĆWIELUCH, PATRYK OGORZAŁEK/AGENCJA WYBORCZA, PIOTR KAMIONKA/REPORTER, VIACHESLAV ONYSHCHENKO/SOPA/LIGHTROCKET/GETTY IMAGES

eprasa.pl 6b266ec372

▶ *zmusi, żeby ludziom woził wodę. W miastach trzeba kopać studnie, a nie kupować beczkowozy* – podpowiada nasz rozmówca.

W Warszawie takie myślenie się jednak nie przyjęło. Miasto chwali się, że MPWiK dostało nowe cysterny. To fajnie, ale co dostaną ludzie w mieście, w którym statystycznie na jedno alternatywne źródło wody przypada 18,5 tys. mieszkańców? A w niektórych dzielnicach nawet dwa razy tyle. Na dodatek większość z nich już dawno temu zastąpiła wanny kabinami prysznicowymi. Trudno liczyć, że w razie ataku napełnią sobie wodą brodziki na zapas. Berlin, Budapeszt – gdziekolwiek pojedziesz do większego miasta europejskiego, na ulicach znaleźć można archaiczne, ale ciągle sprawne pompy do wody. Warszawy nawet umierający z pragnienia powstańcy warszawscy nie nauczyli, że trzeba kopać studnie co kilka ulic, bo miasto bez wody umiera.

Czytając między wierszami, we wnioskach samorządowców można jeszcze wyczytać, że ich zaufanie do państwa jest niskie, żeby nie mówić, że zerowe. – *Jak spytałem dyrektora szpitala, na ile dni mają zapas leków, to mi odpowiedział, że na trzy, bo takie są przepisy* – mówi jeden z proszących o anonimowość samorządowców. Z tych samych przepisów wynika, że w szpitalu jest zapas paliwa do generatorów prądu na 12 godzin. – *Jak o tym wiesz, to siłą rzeczy zaczynasz szukać alternatywnych rozwiązań* – dodaje samorządowiec. W pierwszym kwartale tego roku bilans długów placówek medycznych zbliżał się do 25 mld zł. Przy takich obciążeniach rzeczywiście trudno oczekiwać, że dyrektorzy szpitali zaczną spontanicznie gromadzić leki albo paliwo na zapas.

W Polsce od lat sale operacyjne budowane są na piętrach. Zapomniano, że piwnice to nie są miejsca na brudy, tylko dla rannych podczas ataku. W Warszawie do rozbudowy są dwa szpitale. – *Projektujemy je na wzór doświadczeń m.in. z Izraela. Sale operacyjne w podziemiach. Parking podziemny w podwójnej funkcji. Na czas wojny można go będzie łatwo zamienić na sale z pełną infrastrukturą typu prąd, tlen* – wylicza Jarosław Jóźwiak, przewodniczący komisji zdrowia przy Radzie Warszawy. Tyle że to pieśń przyszłości. Bardziej marzenia niż realne plany, bo tych ciągle nie ma ze względu na ślimaczący się proces ustalania warunków technicznych dla tego typu obiektów

Syrena alarmowa w centrum Warszawy

Archaiczny system

Prawda jest taka, że systemu ochrony ludności po prostu nie ma. To zła wiadomość. Dobra jest taka, że zaczyna być tworzony i na szczęście państwo próbuje się podzielić tymi kompetencjami z samorządami. Na szczęście, bo z góry mogą iść przykłady, pieniądze i wytyczne. Ale samo państwo zawsze potrzebuje bardzo dużo czasu, żeby zareagować. A ludzie tam gdzieś na dole mogą tego czasu już nie mieć.

Symbolicznym gestem w zakresie obrony cywilnej było jej całkowite zlikwidowanie przy okazji uchwalania ustawy o obronie ojczyzny. – *Kiedy przyszedłem do ministerstwa, właściwie nie było nawet podstaw prawnych do używania syren alarmowych, bo nie mieliśmy odpowiednich ustaw ani rozporządzeń. Nawet długość i rodzaj dźwięku syreny nie były prawnie określone* – mówi wiceminister Wiesław Leśniakiewicz.

W efekcie system ostrzegania tworzony był właściwie od zera. A pracę nad nim trzeba było zacząć od tego, że do każdej z ponad 15 tys. syren na terenie Polski wysłano komisję złożoną z kilku instytucji. Później musiał powstać z tego raport. A następnie zaczęto szukać rozwiązania, jak z 15 tys. urządzeń zbudować jeden sprawny system, który można będzie odpalać z różnych poziomów dostępu – od centralnego po lokalny. System zdalny i cyfrowy, a jednocześnie odporny na ataki hakerskie i lokalne braki prądu. – *Na dodatek należy go wzmocnić siecią ulicznych głośników, za pomocą których będziemy informować, jakie konkretnie zagrożenie się zbliża i jak mają się zachować mieszkańcy* – tłumaczy minister Leśniakiewicz.

Część specjalistów uważa jednak, że w XXI w. takie systemy załatwia się za pomocą aplikacji w telefonie, a nie miliardów wyrzuconych na pomysły sprzed 100 lat.

Przy okazji przyglądania się systemowi powiadomień alarmowych samorządowcom wydano polecenie zaktualizowania sieci gońców, którzy w razie mobilizacji mają wspierać odpowiednie organy w roznoszeniu m.in. dokumentów mobilizacyjnych. Jak na dziś wygląda ten system, przeciętny Polak się nie dowie. Może to i lepiej. – *U mnie okazało się, że sześciu na ośmiu gońców to już właściwie martwe dusze. Ten chory, tamten stary, a inny już dawno nie żyje. Ale w papierach wszystko się zgadzało* – mówi proszący o anonimowość wójt z południowej Polski. Jak zaczął dzwonić w tej sprawie po kolegach samorządowcach, okazało się, że u nich jest mniej więcej tak samo.

Schrony w ruinie

Zanikają też schrony, których jeszcze w latach 70. zeszłego wieku budowano w Polsce całkiem sporo. Były obowiązkowym elementem każdej budowli użyteczności publicznej. Po 50 latach znów wracamy do tego pomysłu. Od 2026 r. każda nowa szkoła czy szpital muszą mieć schron. Inaczej inwestycja nie dostanie pozwolenia na budowę.

Tyle że zanim te schrony powstaną, miną lata. A jak jest dziś, najlepiej przekonać się samemu. Aplikację Schrony poprzedni rząd odpalał z pełnymi huraoptymizmu zapewnieniami, jak jest świetnie. W obecnej wersji jest jednak opatrzona uwagą, że „część danych zawartych w aplikacji może być już nieaktualna". Konkretnie, już wiadomo, że na 2 tys. schronów, w których dokonano audytu, połowa nie dostała rekomendacji, żeby w ogóle inwestować w ich odtworzenie, tak bardzo są zdewastowane. Pozostałe również są w ruinie, ale przynajmniej mają trwałą konstrukcję, zachowane systemy wentylacyjne czy wyjścia awaryjne, co jest podstawą do ich odtworzenia. Inne poległy, bo w walce o każdy metr do zaparkowania samochodów to właśnie infrastruktura schronowa – czyli tłocznie powietrza, wyjścia awaryjne – była najchętniej likwidowana.

Nikt jeszcze nie obliczył, ile będzie kosztowało odbudowanie infrastruktury schronów w Polsce, ale kwoty szacowane są w miliardach. Co zresztą nie powinno dziwić, bo już w 2010 r. raportowano, że zaledwie 2,3 proc. ludności kraju ma szansę na miejsce w schronie. Kolejne

© ALIAKSANDR VALODZIN/EAST NEWS

eprasa.pl 6b266ec372

2,07 proc. może liczyć na tzw. schronienie. W sprawozdaniu za 2018 r. na miejsce w schronie mogło liczyć 1,29 proc. ludności kraju. O czym ludność się nie dowiedziała. Choć raport nie był tajny, to za czasów PiS po prostu nie zamieszczono dokumentu w sieci.

Aplikacja Schron też nie jest jakoś specjalnie eksponowana. Ale jak już się ją znajdzie, to właściwie dość prosto można wyszukać najbliższe miejsce schronienia. Przynajmniej w aplikacji, bo w rzeczywistości bywa z tym różnie, co testowaliśmy we Wrocławiu na osiedlu zamieszkanym przez ok. 15 tys. ludzi. Według aplikacji dostępnej dla mieszkańców miejsce doraźnego schronienia (MDS) zmieści 800 osób na 1,2 tys. m kw. Pod adresem z aplikacji znajdujemy jednak budynek mieszkalny oddany do użytku ponad 10 lat temu. Brama na posesję zamknięta. Żeby w ogóle dostać się do środka, trzeba było sforsować wideofon. – *O Jezu... Nic nie wiem. Jaki schron? U nas w domu?* – pytała mieszkanka wybranego na chybił trafił lokalu. Metodą dedukcji udało się ustalić, że może chodzić o garaż podziemny. Jaka jest szansa na przetrwanie poważnego ataku w takim miejscu? Teoretyczna.

W ministerstwie sugerują, że może być większa. – *Mamy to, co mamy. I trzeba to sobie uczciwie powiedzieć, że długo nie będziemy mieli więcej. Odporność miejsca schronienia można szybko i względnie tanio podnieść poprzez system podpór i stempli. Wystarczy oznaczyć takie miejsca podparcia jakąś jaskrawą farbą. Zgromadzić potrzebny materiał. A kiedy przyjdzie taka potrzeba, podnieść odporność miejsca na zniszczenia* – mówi wiceminister Leśniakiewicz. I może to się komuś nie podobać, ale przynajmniej władza zaczyna rozmawiać z nami szczerze. Co jest sporą nowością.

Nowością jest również rozporządzenie ministra spraw wewnętrznych i administracji w sprawie warunków technicznych dla budowli ochronnych oraz warunków technicznych ich użytkowania i usytuowania, które na dniach ma wreszcie ujrzeć światło dzienne. W sumie 46 stron plus niemal drugie tyle w załącznikach. Całość napisana takim językiem, że bez doktoratu na politechnice nie zabieraj się nawet do czytania. A jednocześnie jest to jeden z najbardziej oczekiwanych aktów prawnych, bo bez niego wszelkie prace nad schronami – obecnymi i przyszłymi – po prostu nie miały sensu. Ministerstwo pracowało nad tym dokumentem ponad dwa lata. Co jest o tyle zrozumiałe, że nawet bez tego doktoratu widać, że w kwestii budowania schronów będzie piekielnie drogo. Zawory, filtry, atestowane materiały, grodzie, czerpnie powietrza, zabezpieczenia przeciwwybuchowe, siatki na drony. Zawiedzie się każdy, kto oczekiwał, że dostanie prostą informację, że strop ma mieć metr zbrojonego betonu, a ściana pół metra. Na wszystko są wzory i mnożniki. Ale to ból głowy dla samorządowców.

Dla ludzi kluczowe są inne informacje, np. że w „w ukryciu przewidzianym na pobyt osób przez czas nie dłuższy niż 24 godziny miejsca do spania nie są wymagane", a na 50 osób musi być co najmniej jedna umywalka. Z kolei na „każde 75 osób pojemności zapewnia się co najmniej miskę ustępową lub ustęp suchy nieskanalizowany", no i nie mniej niż metr kwadratowy na osobę. Hotele to to nie będą.

JULIUSZ ĆWIELUCH
KATARZYNA KACZOROWSKA

REKLAMA

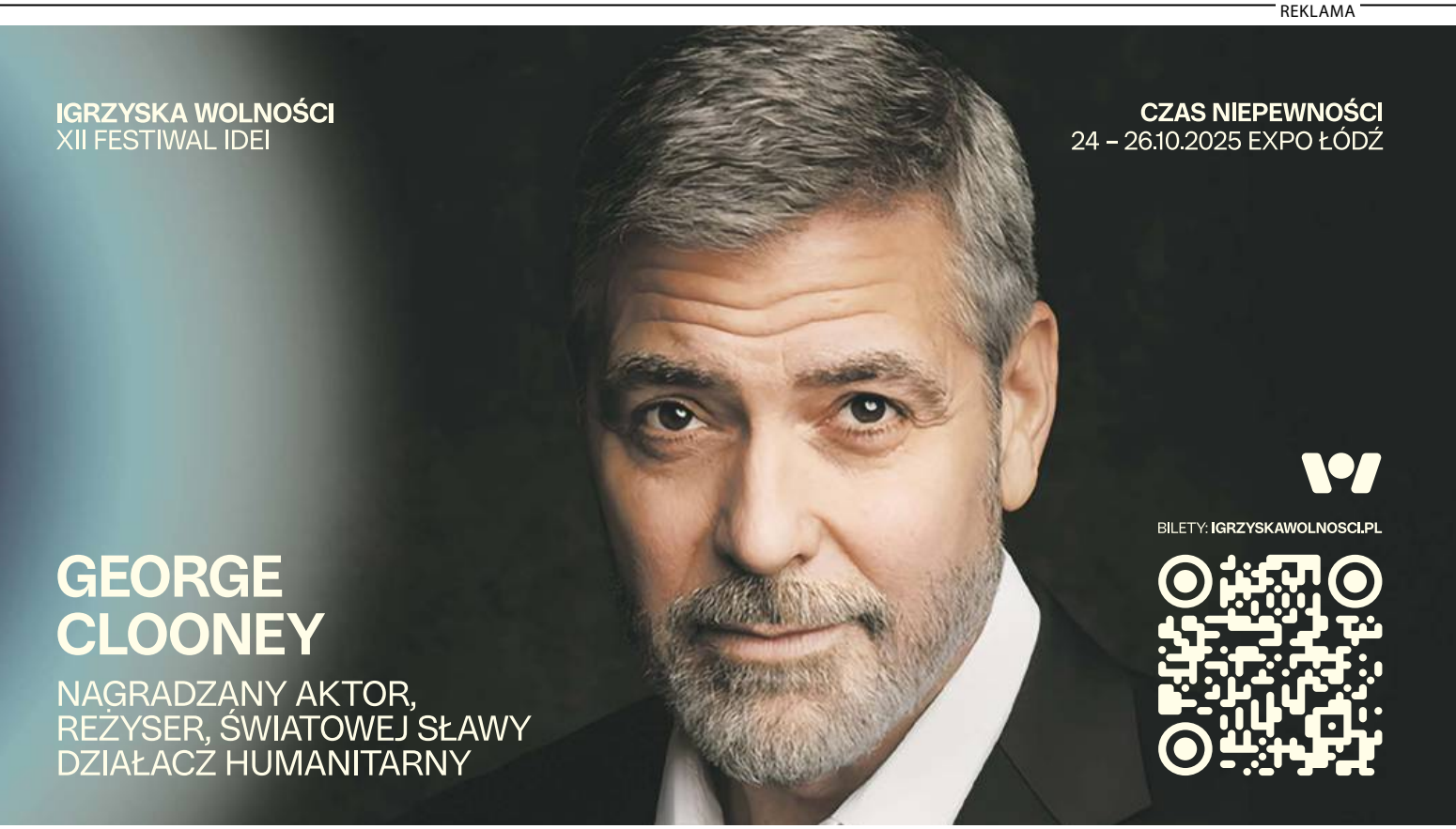

ORGANIZATOR
LIBERTÉ!
PARTNERZY STRATEGICZNI
STRATEGICZNI PATRONI MEDIALNI
AGORA
TVP info
PARTNER PREMIUM PLUS

eprasa.pl 6b266ec372

Jak zamienić złoto w błoto

Opis technologii na przykładzie edukacji zdrowotnej.

JOANNA CIEŚLA

Liceum ogólnokształcące, Warszawa Śródmieście, opowiada Maja, matka drugoklasistki: – *Na pierwszej po wakacjach wywiadówce wychowawczyni córki podała każdemu z rodziców plik standardowych dokumentów do podpisu: zgody na samodzielny powrót dziecka do domu itd. W tym stosie z rozdzielnika znalazłam też druczek rezygnacji z zajęć edukacji zdrowotnej.* Nauczycielka, opowiada Maja, nie skomentowała tematu ani słowem, więc kobieta zapytała, o co chodzi z tą rezygnacją. – *„Oczywiście nie muszą państwo jej składać, zajęcia będą – usłyszeliśmy. – Ale są nieobowiązkowe, chyba podobne do biologii. No i zaplanowane na piątek po południu”.* Druki natychmiast wypełniła cała klasa.

Szkoła podstawowa, gmina podmiejska, Mazowsze, opowiada Aneta, matka czwartoklasisty: – *Dyrektorka wysłała nam przez Vulcan informacje o edukacji zdrowotnej, na zebraniach też rozmawialiśmy o tym przedmiocie.* Wszystko brzmiało dobrze poza doborem nauczycielki. – *Niektórzy się skarżą, że pani, która miałaby uczyć EZ, jest niemiła i krzyczy na dzieci.* Ale Aneta pani nie zna, stwierdziła, że da jej szansę. – *Niestety, przed 25 września, kiedy mijał urzędowy czas na rezygnację z zajęć, lekcje nie odbyły się ani razu.* Aneta uznała, że nie będzie ryzykować, wysłała rezygnację.

***

Według MEN wprowadzona do szkół z początkiem września, w miejsce wychowania do życia w rodzinie, edukacja zdrowotna to sukces. Członkinie kierownictwa resortu w tych kategoriach mówiły o nowym przedmiocie jeszcze w ubiegłym tygodniu, gdy z szacunków wynikało, że w skali kraju co najmniej połowa uczniów wypisze się z nieobowiązkowych zajęć.

Jeśli faktycznie mamy do czynienia z sukcesem, to jest on raczej osobliwy. Zasługi w jego osiągnięciu z pewnością ma episkopat, w specjalnym liście grożący niemalże piekłem rodzinom, których dzieci wezmą udział w nowych zajęciach. Rolę odegrała też polityczna prawica, z prezydentem Karolem Nawrockim, który w mediach społecznościowych ogłosił, że swojego syna na EZ nie puści. W głównej mierze za status nowego przedmiotu odpowiadają jednak resort edukacji i rząd. Edukacja zdrowotna jest tym, czego dzieci i młodzież dziś szczególnie potrzebują od szkół. Tym bardziej warto prześledzić, dlaczego skorzysta z niej tylko ułamek uczniów.

Przygotuj złoto

Kto choć przejrzy liczącą ponad 40 stron podstawę programową edukacji zdrowotnej, przygotowaną dla klas IV–VIII podstawówek i dla szkół średnich, na ogół kończy lekturę z uznaniem. Co jest kłopotem choćby dla posłów PiS, przeciwnych nowemu przedmiotowi, a torturowanych przez dziennikarzy cytatami: „»Uczeń analizuje, jaki wpływ na obraz ciała mają media społecznościowe« – co w tym wymaganiu budzi pana niepokój?” i pytaniami o wyjaśniane w podstawie powszechnie używane pojęcia jak „okres”, „owulacja” czy „polucja”.

© JACEK DOMIŃSKI/REPORTER

eprasa.pl 6b266ec372

Ministra edukacji narodowej Barbara Nowacka. Jeszcze na początku września jej resort mówił o sukcesie…

Pomysłodawcą nowego przedmiotu i przewodniczącym zespołu opracowującego podstawę jest prof. dr hab. Zbigniew Izdebski. Uczestniczył też w tworzeniu zrębów poprzedzającego edukację zdrowotną wychowania do życia w rodzinie. Najczęściej przedstawiany jest jako seksuolog, choć faktycznie jest także pedagogiem, był m.in. dziekanem Wydziału Nauk Pedagogicznych, Socjologii i Nauk o Zdrowiu na Uniwersytecie Zielonogórskim i szefem Rady Naukowej Dyscypliny Pedagogika na UW. – *Od lat rozmawiałem z kolejnymi ministrami o tym, że należy wprowadzić do szkół przedmiot poświęcony edukacji zdrowotnej. Przedstawiałem gotowe programy przygotowane przez moich współpracowników. W upowszechnianie tej idei była też zaangażowana prof. Barbara Woynarowska z naszej Katedry z UW. Korzystałem również z argumentów Rzecznika Praw Pacjenta, który także podkreślał, że zapewnienie uczniom rzetelnej wiedzy o zdrowiu jest obowiązkiem państwa. Wszystkie te rozmowy kończyły się zapewnieniami „Tak, to bardzo ważne" i nic za tym nie szło* – relacjonuje profesor. Dlatego, jak mówi, docenia odwagę obecnej szefowej MEN Barbary Nowackiej, która zdecydowała o wprowadzeniu nowego interdyscyplinarnego przedmiotu.

Autorów podstawy, oprócz MEN, wyznaczyły resorty zdrowia i sportu. W zespole pracowały więc konsultantki krajowe ds. medycyny rodzinnej oraz ds. psychiatrii dzieci i młodzieży, nauczycielka wychowania do życia w rodzinie, profesorowie AWF, specjalista leczenia uzależnień oraz ekspertka z Instytutu Badań Edukacyjnych. Prof. Izdebski przyznaje, że docierały do niego sugestie, by zrezygnować z wątków edukacji seksualnej. – *Ale jak moglibyśmy to zrobić? Ta sfera zdrowia człowieka jest ważną częścią jego ogólnej kondycji, bez względu na to, czy ktoś utrzymuje aktywność seksualną, czy nie.*

Tematy z tego obszaru, w różnych ujęciach w kolejnych klasach, stanowią mniej niż 10 proc. treści przedmiotu, bo składa się on łącznie z 11 działów. Jest też m.in. odżywianie, zdrowie środowiskowe, internet, profilaktyka uzależnień. Jest system ochrony zdrowia, ale są też podstawy psychologii i wiedza o tym, jak odróżnić od siebie różne nurty psychoterapii. Zdrowie seksualne mieści się w dziale ósmym. Dzieci w podstawówce będą omawiać m.in. zagadnienie autonomii cielesnej oraz to, jak o nią dbać. W ramach innych działów mają np. uczyć się o tym, co sprawdzają badania diagnostyczne, analizować etykiety produktów spożywczych i dyskutować o świadomych wyborach konsumenckich.

Można sądzić, że w kraju, w którym 14 proc. dzieci zaczyna pić alkohol przed 14. urodzinami, co czwarte ma nadwagę lub otyłość, a co trzecie – zwolnienie z WF, wiele przestrzeni do kontrowersji tu nie ma. Pojawiały się co prawda takie głosy jak prof. Antoniego Buchały, prezesa Katolickiego Stowarzyszenia Wychowawców i szefa prezydenckiej rady ds. rodziny, grzmiącego, że ujęte w podstawie pojęcie dobrostanu jeszcze niedawno dotyczyło hodowli zwierząt, a w odniesieniu do ludzi niepokoi, bo troska o dobrostan może prowadzić do zatracenia pamięci i tożsamości. Ale takie obawy nawet na prawicy stanowiły raczej egzotyczny margines. Pomijając wątek seksu, o którym za chwilę, można uznać, że na tym etapie prac udało się uzyskać złoto.

Pierwszy krok prowadzący do aktualnego statusu EZ zdaniem wieloletnich obserwatorów oświaty nastąpił przy ustalaniu nazwy nowego przedmiotu. Według oficjalnych uzasadnień hasło „edukacja zdrowotna" dobrze oddaje wspomniany szeroki zakres programu. Jednak faktycznie nowe treści, jak profilaktyka zdrowotna czy bezpieczeństwo cyfrowe, można byłoby wprowadzić do szkół, zachowując szyld wychowania do życia w rodzinie (zwanego WdŻ). Skasowanie zajęć z „rodziną" w nazwie utwierdziło podejrzliwych wobec zmian w przekonaniu, że idą one w niewłaściwym kierunku. Chociaż faktycznie o rodzinie dzieci mają się uczyć tyle samo co dotychczas; powinny omawiać jej funkcje, prawa i obowiązki dziecka oraz rodziców, sposoby dbania o więzi. Ale trzeba przyznać, że wypadł wymóg wymieniania argumentów za inicjacją seksualną dopiero w małżeństwie.

I chciej, i bój się

Zanim jeszcze powstał program, jesienią 2024 r. nowy przedmiot wywołał nerwowe pobudzenie prawicy i protesty przeciwko przewidywanej deprawacji dzieci. Szef MON i prezes PSL Władysław Kosiniak-Kamysz w połowie stycznia oświadczył, wbrew wcześniejszym zapowiedziom ministry edukacji, że EZ będzie przedmiotem nieobowiązkowym. Nowacka odpowiedziała, że „ktoś pomylił MON z MEN". Po czym jednak potwierdziła, że obowiązku chodzenia na nowe lekcje nie będzie.

Oficjalnie tłumaczono, że nowy przedmiot nie powinien być przyczyną awantur w szkołach. Ale wiadomo było, że po stronie rządowej nabierają rumieńców pomysły przymilania się prawicy w perspektywie wyborów prezydenckich. Gdyby przedmiot po prostu wprowadzono, tak jak PiS wprowadził też budzący kontrowersje HiT, awantury ucichłyby prędzej. Polityczna mądrość nakazała jednak umożliwić rodzicom wypisanie dzieci z nowych zajęć. I temu głównie zawdzięczamy ich połowiczny sukces/porażkę.

***

Ponadpodstawowa szkoła artystyczna, Poznań. Opowiada Anna, matka trzecioklasistki: – *Prowadząca edukację zdrowotną nauczycielka zapowiedziała, że klasa będzie głosować nad tematami, które na lekcjach ma opracować. A na omawianie działu ósmego kto nie chce, może w ogóle nie przychodzić.* ▶

eprasa.pl 6b266ec372

▶ Paliwo rozgrzewające emocje wokół EZ wyczerpałoby się też szybciej, gdyby rząd i resort edukacji nie poszły na zwarcie z Kościołem. Także w połowie stycznia Barbara Nowacka wydała rozporządzenie ograniczające naukę religii do jednej lekcji w tygodniu. Płomień sprzeciwu w episkopacie wybuchł z nową mocą. Prezydium KEP przestrzegło, że zajęcia z edukacji zdrowotnej „otwierają drogę do tego, aby dziewczęta identyfikowały się jako chłopcy, a chłopcy jako dziewczęta", a nawet do „podjęcia operacji »zmiany płci«" (bo w podstawie jest pojęcie „tożsamość płciowa"). W trosce „o wychowanie i zbawienie" duchowni wzywali, by nie wyrażać zgody na udział dzieci „w tych demoralizujących zajęciach". W sierpniu apel powtórzono.

Wątek poboczny: fundamentaliści

Z ówczesnych sondaży można jednak wnosić, że wezwania te miały ograniczoną skuteczność. W badaniu IBRiS dla „Rzeczpospolitej" 27 proc. Polaków przyznało, że obawia się prowadzonej w ramach EZ nadmiernej seksualizacji dzieci. W późniejszym o kilka miesięcy sondażu SW Research dla Onetu „systemowej deprawacji" młodych Polek i Polaków na lekcjach spodziewało się tylko 22 proc. pytanych.

W mediach wspominano o spektakularnych gestach całych gmin, głównie na Podhalu. W Czarnym Dunajcu rodzice masowo wypisywali uczniów z edukacji zdrowotnej, za to wnioskowali o dodatkowe katechezy (za 700 tys. zł z budżetu samorządu). Jednak, jak podsumowywał pod koniec ubiegłego tygodnia Artur Pasek, wicekurator oświaty w Małopolsce, rezygnacje z zajęć w dużej skali składano tylko w ok. 5 proc. ze 183 gmin na tym terenie.

W części szkół zresztą EZ wzięli na siebie katecheci, jak Ewa, z dwutysięcznego miasteczka w województwie warmińsko-mazurskim. Do 2024 r. uczyła też WdŻ. – *I dla dyrekcji, i dla mnie było jasne, że automatycznie przejmę ten nowy przedmiot. Wiem, że Kościół jest przeciwko, ale co zrobić, trzeba to jakoś przeczekać. Nawet nasz proboszcz tak mówi. Ja jestem profesjonalistką i rozdzielam role. Starsi uczniowie już nieraz mnie zaczepiali po lekcjach: „Pani Ewo, czy masturbacja to grzech?". Zawsze mówiłam: „Jak przyjdziesz na religię, to ci powiem, że tak, a jak przyjdziesz na WdŻ, to będziemy rozmawiać inaczej".* Poczuła się dotknięta, gdy jedna z mam, jej była uczennica, zapowiedziała, że wypisze córkę z EZ, bo się boi seksualizacji. „No wiesz, Basiu, jak możesz? – odpisała przez Librus. – Przecież to ja prowadzę te zajęcia. A z dziećmi o wszystkim trzeba umieć rozmawiać".

Temperatura wypowiedzi polityków i działaczy oraz forma niektórych materiałów zniechęcających do nowego przedmiotu wydają się więcej mówić o kondycji ich autorów niż o czymkolwiek innym. – *Niech pani wypisuje! Będą pani dziecko uczyć samogwałtu!* – przekonywała uczestniczka protestu „Stop edukacji zdrowotnej", organizowanego na początku września przez Konfederację Korony Polskiej przed Szkołą Podstawową nr 366 im. Jana Pawła II przy ul. Strumykowej na warszawskiej Białołęce. – *Ale kto? Pani od biologii?* – dopytywała jedna z matek. – *Nie wiem* – ucinała działaczka i niezrażona ciągnęła: – *A starsze dzieci na tych lekcjach mają sprawdzać swoje preferencje. Wie pani: preferencje. No, jak to robić? Będą ich zabierać do kącików, żeby ustalali, co im się podoba.*

Inna zaangażowana w walkę z EZ organizacja, Koalicja na rzecz Ochrony Polskiej Szkoły (KROPS), dystrybuowała ulotki ze zdjęciami kilkulatków, np. dziewczynki malującej otwarte usta obłą szminką.

Faktycznie z „seksualizacją" jest tak, że uczniowie starszych klas podstawówek mają się uczyć rozpoznawać jej elementy, podobnie jak presję na podjęcie aktywności seksualnej, obecną m.in. w social mediach. I jak się przed tym chronić. Słowo „masturbacja" nie pada w podstawie ani razu. Przewidziane do omówienia są jednak takie pojęcia jak „mimowolne erekcje", a w szkole średniej – „partnerska norma seksualna".

Niemniej w świetle badań społecznych lęk przed demonem deprawacji wydaje się raczej faktem polityczno-medialnym o znaczeniu symbolicznym niż szerokim zjawiskiem, które podważyło zainteresowanie EZ. Co zadziałało silniej?

O kontekst się nie martw

Według sondażu na stronie internetowej magazynu ZNP „Głos" wśród prowadzących EZ najwięcej jest dotychczasowych nauczycieli WdŻ (39 proc.), biologów (21 proc.) i wuefistów (17 proc.). Te grupy (a także szkolni psychologowie) dostały uprawnienia do nauczania nowego przedmiotu. Inni nauczyciele mogą się przygotować na bezpłatnych studiach podyplomowych; 580 miejsc w całym kraju dość szybko zostało zajętych.

Jednak praktycy mówią, że przydałoby się lepiej rozłożone wsparcie. Ani podręcznik, ani poradnik metodyczny dla nauczycieli na razie nie zostały przez MEN dopuszczone do użytku (na decyzję czeka książka wydawnictwa Operon). Ewa, była nauczycielka WdŻ ze szkoły w Warmińsko-Mazurskiem, ściągnęła sobie materiały z rządowej Zintegrowanej Platformy Edukacyjnej. – *Kłopot w tym, że one są bardzo ogólne, nie ma tam scenariuszy lekcji czy kart pracy. Żeby przełożyć to na zarys zajęć, muszę poświęcić kilka godzin* – tłumaczy. Może kupić przydatne pomoce, ale w połowie ubiegłego tygodnia wyglądało na to, że z jej zajęć też wypisze się część uczniów, obie klasy ósme.

Kulminacyjnym punktem awantury, pięć dni przed ostatecznym terminem na decyzje, kto chodzi, a kto nie, okazała się deklaracja prezydenta Karola Nawrockiego. W serwisie X poinformował, że wspólnie z żoną postanowili wypisać 15-letniego syna z zajęć: „Pod niewinnie brzmiącą nazwą tego przedmiotu próbuje się przemycać do polskich szkół ideologię i politykę, a na to nie może być zgody. (...) To my, rodzice, mamy prawo do decyzji w sprawie edukacji naszych dzieci i to jest ten moment, kiedy z tego prawa warto skorzystać". Posypały się złośliwe komentarze o logice tej decyzji podjętej przez mężczyznę silnie uzależnionego od snusów i kobietę doświadczoną nastoletnim macierzyństwem. A jednak to publiczne wotum nieufności wpisuje się w rzeczywistą społeczną emocję. Nawet ci, którzy nie obawiają się „ideologizacji" dzieci, przez lata stracili wiarę, że mogą od szkoły otrzymać coś sensownego i wartościowego.

Pełne dane o tym, ilu uczniów zrezygnowało, a ilu zostało na zajęciach edukacji zdrowotnej, MEN poda w połowie października. Pod koniec września wyglądało na to, że pustki będą przede wszystkim w szkołach średnich, w podstawówkach zainteresowanie było trochę większe. Przygotowując się na porażkę, ministerstwo zapowiedziało, że ten pierwszy rok EZ traktuje eksperymentalnie. Za rok wszystko ma być gotowe i obowiązkowe. Ma być.

JOANNA CIEŚLA

eprasa.pl 6b266ec372

RYSZARDA SOCHA

Dar zabiera

Czy 40-letni „Dar Młodzieży” zostanie zastąpiony przez nowy „narodowy” żaglowiec? Rząd obiecuje nawet dwa żaglowce – za miliard złotych. To absurd – mówią eksperci. Propagandowe nadymanie żagli.

Zaczęło się 28 marca 2019 r. podczas powrotu „Daru Młodzieży” z Rejsu Niepodległości, zorganizowanego, aby uczcić setną rocznicę przywrócenia Polsce bytu państwowego. Żaglowiec Uniwersytetu Morskiego w Gdyni spędził wtedy ponad 10 miesięcy w podróży dookoła świata. Odwiedził 23 porty, w tym Panamę podczas 34. Światowych Dni Młodzieży. Jego załogę przyjął tam papież Franciszek. Powrót statku do portu w Gdyni był paradny – w asyście okrętów Marynarki Wojennej i innych jednostek. Podczas powitania Marek Gróbarczyk, wtedy minister gospodarki morskiej i żeglugi śródlądowej w rządzie PiS, ogłosił program budowy nowego żaglowca – następcy „Daru Młodzieży”. Zapowiedział też „wielki narodowy konkurs na wybór nazwy” dla tej jednostki.

Stanęło na słowach. Teraz do sprawy wraca rząd Donalda Tuska. W maju podczas 11. Międzynarodowego Kongresu Morskiego w Szczecinie sam premier zapowiedział budowę następcy „Daru Młodzieży”. I niedawno na stronie rządowej pojawił się projekt uchwały Rady Ministrów dotyczący ustanowienia wieloletniego programu „Budowa statków szkolno-badawczych dla uczelni morskich”. Państwo przymierza się do sfinansowania budowy nie jednego, lecz dwóch statków: jednostki szkolno-badawczej dla Politechniki Morskiej w Szczecinie (PMS) oraz nowego żaglowca szkolnego dla Uniwersytetu Morskiego w Gdyni (UMG). Miałyby powstać do 2029 r. Całkowity koszt inwestycji szacowany jest na 976 mln zł. Planowany termin przyjęcia projektu: trzeci kwartał 2025 r.

Z wiatrem i pod wiatr

Imponująca hojność, zważywszy, że nie tak dawno przez media przetoczyła się burza o parę milionów na utrzymanie statku badawczego „Oceania”, któremu Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego wstrzymało finansowanie. „Oceania” jest żaglowcem Instytutu Oceanologii PAN, największej polskiej placówki badawczej zajmującej się fizyką, chemią, biologią i ekologią morza. Statek ma dużą dzielność morską, nieograniczony zasięg żeglugi i może przebywać nieprzerwanie na morzu (bez uzupełniania zapasów itp.) 30 dni. Wyposażony w laboratoria i inne niezbędne urządzenia uczestniczy w wielu międzynarodowych programach badawczych. W tym tych związanych z jakże dziś ważnymi kwestiami zmian klimatycznych. ▶

© MICHAŁ CZACHAROWSKI/FORUM

eprasa.pl 6b266ec372

▶ Jesienią 2024 r. IO PAN alarmował: „Trudno nam pojąć decyzję polskiego Rządu, który po 35 latach dobrej roboty odcina kluczowe źródło finansowania dla tej jednostki. Dzięki »Oceanii« do Polski trafiają pieniądze na badania oceanograficzne z UE, Norweskiego Mechanizmu Finansowego i bilateralnych umów – średnio kilka milionów złotych rocznie – ale to pieniądze na badania, a nie na utrzymanie statku". Badacze morza tłumaczyli, że brak rządowej dotacji będzie skutkował złomowaniem statku i zerwaniem bieżących projektów naukowych, a także wieloletniej współpracy z placówkami naukowymi w Polsce i na całym świecie. Dopiero po nagłośnieniu sprawy pieniądze na „Oceanię" się znalazły.

Jednak uczelnie morskie to inny resort i inny portfel. Podlegają Ministerstwu Infrastruktury, które wchłonęło wykreowany przez PiS resort gospodarki morskiej i żeglugi śródlądowej. Prof. Jan Marcin Węsławski, dyrektor IO PAN, choć uzyskał środki na utrzymanie „Oceanii", ma powody do niepokoju. Program budowy statków dla uczelni morskich stawia pod znakiem zapytania trwające od kilku lat zabiegi jego instytutu oraz dwóch innych instytutów PAN, które wspólnie z Państwowym Instytutem Geologicznym starają się o jeden duży nowy statek badawczy. Mieli w tej sprawie deklaracje ministrów i jak na razie nic. – *Statek ma obsługiwać logistycznie dwie polskie stacje badawcze, prowadzić badania oceanograficzne i geologiczno-środowiskowe na polskiej koncesji pod Azorami – wszystko na Atlantyku* – objaśnia dyrektor IO PAN. – *Plan podziału zadań, czasu i szczegóły jednostki są od dawna ustalone. Nie ma decyzji o finansowaniu (ok. 350 mln zł). Tymczasem dwie szkoły morskie, które kształcą bardzo dobrą kadrę, ale na obce bandery (nie mamy własnych statków), dostają taki prezent.*

Prof. Węsławski dotyka fundamentalnej kwestii, przemilczanej w dyskursie publicznym. Polskie statki od lat pływają głównie pod obcymi banderami. Z powodów fiskalnych polscy armatorzy musieli przeflagować swoją i tak kurczącą się flotę, by sprostać światowej konkurencji. Co więcej, absolwenci polskich uczelni morskich nie garną się do pracy na ich statkach. – *Przychodzą do nas tylko nieliczni* – relacjonuje Krzysztof Gogol związany z Polską Żeglugą Morską, największym polskim armatorem (48 masowców i 3 promy). – *Większość uważa, że na statkach innego typu niż masowce znajdzie pracę lepiej płatną.*

Zatem PŻM za zgodą związków zawodowych zatrudnia marynarzy z Bułgarii, Rumunii, Ukrainy, a także z Azji (np. Filipin i Indonezji). A polscy podatnicy finansują kształcenie morskich kadr dla krajów znacznie zamożniejszych od Polski, o lepiej rozwiniętej żegludze. Rocznie wypuszczają na ich potrzeby trzy setki wilków morskich z dyplomami magistra inżyniera.

Dla polskich podatników to droga bajka. Same wydatki eksploatacyjne (bez obowiązkowych remontów) na „Nawigatora XXI", statek szkoleniowo-badawczy Politechniki Morskiej w Szczecinie, to 7–8 mln zł rocznie. Tymczasem prof. Adam Weintrit, rektor Uniwersytetu Morskiego w Gdyni, domagając się w miejsce „Daru Młodzieży" nowego statku dla gdyńskiej uczelni, argumentuje: „Obecność żaglowca na międzynarodowych wodach to także znakomita promocja polskiego szkolnictwa morskiego w świecie". Tylko jaki z tej promocji pożytek? Dobre samopoczucie, że inni cenią sobie naszych oficerów?

Seniorzy trzymają się mocno

– *Żaglowiec potrzebny nam jak dziura w moście* – nie przebiera w słowach szef IO PAN. – *A „Dar Młodzieży" wcale nie jest stary, wystarczy sprawdzić metryki innych żaglowców na świecie. Plus oczywiście do niczego się nie przyda w szkoleniu nowoczesnych marynarzy. Świetnie wygląda na obrazku i można opowiadać bajki o hartowaniu charakterów. Tymczasem prawdziwą wizytówką nowoczesnego kraju morskiego jest statek badawczy, który bierze udział w międzynarodowej kooperacji badań morskich plus utrzymuje polską infrastrukturę polarną. To jest realna dyplomacja naukowa poważana na świecie.*

Przyjdzie jeszcze pora na ten wątek. Na razie pozostańmy przy statkach szkolnych. – *Ten projekt nie jest wyrazem potrzeb, wynika raczej z siły lobby uczelni morskich* – ocenia zamiar budowy nowego żaglowca Marek Błuś, kapitan żeglugi wielkiej, ekspert w sprawach żeglugi. – *„Dar Młodzieży" jest młody. Średnia wieku dużych żaglowców szkolnych w Europie wynosi ok. 100 lat; najstarszy, norweski „Statsraad Lehmkul" został zbudowany w 1914 r.*

Dorzuca inne przykłady: „Juan Sebastian de Elcano" w 1928 r. (marynarka wojenna Hiszpanii), „Amerigo Vespucci" w 1931 r. (marynarka wojenna Włoch), „Christian Radich" w 1937 r. (cywilny, Norwegia), „Eagle" w 1937 r. (Straż Wybrzeża USA), „Sagres" w 1937 r. (marynarka wojenna Portugalii), „Mircea" w 1938 r. (marynarka wojenna Rumunii). – *Ich popularność, siła oddziaływania wynikają m.in. z ich wieku* – podkreśla Błuś.

Szczególnie interesujący jest „Statsraad Lehmkul". Bliźniaczo podobny do „Daru Pomorza" i niewiele od niego młodszy. „Dar Pomorza", zbudowany w 1909 r., został odesłany na emeryturę, a właściwie na posadę statku-muzeum w 1982 r., w wieku 73 lat. Alfred Naskręt, współzałożyciel prywatnej policealnej Szkoły Morskiej w Gdyni, która działa od 1998 r., był na tym żaglowcu oficerem w czasie, kiedy zastanawiano się nad następcą. Pamięta, że zanim zapadła ostateczna decyzja, było dużo wątpliwości. Powstały dwie ekspertyzy – całkowicie sprzeczne. Z jednej wynikało, że warto stary żaglowiec remontować i wtedy jeszcze długo da się nim pływać. Druga brzmiała: trzeba budować.

Ponieważ jako statek-muzeum „Dar Pomorza" pozostaje na wodzie, musi przechodzić regularne przeglądy klasyfikacyjne. Tylko w mniejszym zakresie, bo bez prawa pływania. Na przykład w tym roku nurek badał stan kadłuba pod wodą. – *Blachy trzymają się dzielnie* – relacjonuje Arleta Gałązka, kustoszka żaglowca-muzeum.

„Dar Młodzieży", zbudowany w 1982 r., w dużej mierze za pieniądze ze zbiórki społecznej, ma 43 lata, 30 lat mniej niż poprzednik, gdy przekształcono go w muzeum. Tymczasem rektor gdyńskiej uczelni opowiada w mediach, że „Dar Młodzieży" „dogorywa", „się sypie i niedługo po prostu stanie się niebezpieczny, a przecież w rejsy wysyłamy na nim prawie dwustu młodych ludzi. Nie możemy ryzykować ich zdrowia". Podkreśla, że żaglowiec był budowany w Stoczni Gdańskiej w dobie stanu wojennego, w okresie kryzysowym, więc z byle czego. Że jest mało prawdopodobne, by bez remontu pomyślnie przeszedł badania niezbędne do odnowienia świadectwa klasy.

Z życia ambasadorów

Zatem dlaczego nie remont? Uczelnia przywołuje przykład żaglowca szkolnego niemieckiej marynarki wojennej „Gorch Fock" (24 lata starszy od „Daru Młodzieży"). Jego remont kosztował 10 mln euro. Czy to kwota porażająca? Ministerstwo Infrastruktury szacuje remont „Daru"

eprasa.pl 6b266ec372

Statek badawczy „Oceania" Instytutu Oceanologii PAN. Z trudem udało się wywalczyć środki na jego utrzymanie.

na 100 mln zł. Twierdzi, że zapewni on statkowi maksymalnie 10–15 lat pływania, a nowa jednostka popływa co najmniej 40 lat.

– *Praktyka z innymi statkami szkolnymi pokazuje, że po remoncie kapitalnym służą kolejne 40 lat, więc warto remontować* – mówi Marek Błuś. Podkreśla, że statki szkolne ani fizycznie, ani moralnie nie zużywają się w takim tempie jak statki transportowe. – *Jeśli już upieramy się przy posiadaniu żaglowca szkolnego, to należy „Dar Młodzieży" wyremontować i nadal nim pływać.*

100 mln zł to nie 400 mln zł, na które obecnie szacowana jest budowa nowego statku. Przy czym jeszcze rok temu rektor Weintrit określał ten koszt na 200–250 mln zł. Strach pomyśleć, co będzie dalej. Wymyślony przez PiS przekop Mierzei Wiślanej miał kosztować 880 mln zł, wyszło 2 mld zł, a i na tym nie koniec.

Przede wszystkim kondycja „Daru Młodzieży" nie może być tak zła, jak się ją opisuje, skoro po wybudowaniu nowej jednostki jego działalność ma być wygaszana stopniowo i mowa o „perspektywie wieloletniej". W informacji Ministerstwa Infrastruktury czytamy: „Do czasu wyłączenia z użytku będzie on służył jako wsparcie w szkoleniu kadr morskich UMG. Ponadto (...) jako były ambasador Polski będzie mógł być wykorzystywany do organizacji wydarzeń związanych z szeroko rozumianą gospodarką morską oraz dalszej promocji Polski na arenie międzynarodowej. W perspektywie wieloletniej rozważane jest utworzenie na Darze Młodzieży muzeum – wzorem poprzednika, Daru Pomorza".

Zatem uniwersytet miałby przez czas bliżej nieokreślony oba żaglowce, a podatnicy – podwójne wydatki na ich utrzymanie. Zdecydowana większość uczelni morskich w ogóle nie posiada żaglowców szkoleniowych. To kwestia prestiżu, a nie obligu. Absolwenci uczelni, którzy odbywali praktyki pod żaglami, najczęściej wspominają je jako wspaniałą przygodę, która do umiejętności zawodowych niewiele wniosła. – *Nawigacji można się dziś nauczyć na symulatorach, a reszta to sprawa praktyk u armatorów, na ich statkach. Według mnie to lepsze niż wożenie się na żaglowcu* – stwierdza wspomniany już Alfred Naskręt, współzałożyciel prywatnej Szkoły Morskiej w Gdyni. Ona też przygotowuje oficerów, tyle że bez dyplomu magistra, który w karierze na morzu jest ozdobnikiem.

Jednak o co chodzi z tym „ambasadorem Polski" – określeniem użytym przez ministerstwo? To mocny argument, który przemawia za remontami tego rodzaju wielkich żaglowców jak „Dar Pomorza". Są znane miłośnikom morza. Uczestniczą w rozmaitych regatach, zdobywają w nich trofea, odbywają spektakularne rejsy dookoła świata, uświetniają różne ważne wydarzenia, jak choćby wspomniane Światowe Dni Młodzieży czy stulecie odzyskania niepodległości przez Polskę, goszczą na swoim pokładzie ważne osobistości – królów, prezydentów, premierów. Obrastają legendą, stają się częścią dziedzictwa, zyskują wartość niematerialną. Nie za bardzo wypada coś takiego sprzedawać, a tym bardziej złomować.

Mocarstwowe zapędy

Tego rodzaju komplikacja towarzysząca obu „Darom" nie dotyczy „Nawigatora XXI" należącego do Politechniki Morskiej w Szczecinie. Ten zbudowany ze składek darczyńców statek szkolno-badawczy (oddany do eksploatacji w 1998 r.) nie ma jeszcze 30 lat. I uczelnia nie planuje jego wycofania z żeglugi. Chce mieć do dyspozycji dwa statki. Tłumaczy to tym, że zamierza „zwiększyć skalę kształcenia nawet do 240 studentów rocznie oraz wprowadzić praktyki z użyciem nowoczesnych systemów napędowych, cyfrowych układów nawigacyjnych i zautomatyzowanych laboratoriów badawczych". No i chce wykorzystywać nową jednostkę (koszt szacowany na 650 mln zł) do szerokiego spektrum badań, które nigdy nie były jej domeną. Wymienia m.in. takie dziedziny, jak badania środowiska morskiego i oceanograficzne, geologia morska i górnictwo głębokomorskie, badania związane z budową i monitoringiem farm wiatrowych. Mowa nawet o „polityce polarnej", obsłudze polskich stacji arktycznych i antarktycznych, udziale w globalnych projektach klimatycznych i polarnych.

Gdynię mają nieść żagle, a Szczecin teatr swój widzi ogromny. Obiecany politechnice nowy statek miałby obsługiwać projekty wielu instytucji naukowych, zasłużonych, o ogromnym dorobku. Widać, że koncept statku dla Szczecina, wspierany przez wiceministra infrastruktury Arkadiusza Marchewkę, m.in. konsumuje plany wspomnianych wcześniej instytutów PAN oraz PIG.

– *Szkoły morskie nic nie będą badać, bo nie są od tego i nie mają kadry* – stwierdza prof. Węsławski. – *Mogą wozić badaczy za pieniądze, jak robi to „Horyzont"* (statek Uniwersytetu Morskiego – przyp. RS). *Ale to nie uczyni z nich statków badawczych, tak jak tramwaj wiozący profesorów na politechnikę nie jest tramwajem naukowym. Dramat i puste gesty zamiast poważnego działania.*

Widać, jak lobbing morskich uczelni spycha do kąta poważne placówki badawcze. Jak pragmatyzm zabija wizja czegoś, co pod żaglami będzie pięknie wyglądać. I może stanie się jednym z pomników sprawstwa. Tylko czy o takie sprawstwo chodzi?

Nim klamka zapadnie, przydałby się poważny dyskurs. Ale nie jesteśmy narodem morskim, mającym jakie takie rozeznanie w tych kwestiach. Stąd szerokiej opinii publicznej łatwo wcisnąć morski kit. Zwłaszcza że część środowisk znających tę dość specjalistyczną problematykę po cichu krytykuje, ale milczy, by nikomu się nie narazić. A część wychwala pomysł pod niebiosa, bo widzi w nim docenienie morskiej branży albo szansę na udział w konsumpcji tortu wartego miliard złotych. A może finalnie i więcej.

RYSZARDA SOCHA

© ANITA WALCZEWSKA/EAST NEWS

eprasa.pl 6b266ec372

Pora na euro

Prof. **Marek Belka**, były premier, były prezes NBP, twórca „podatku Belki", o tym, na co nas nie stać.

eprasa.pl 6b266ec372

JOANNA SOLSKA: **— Da się rządzić bez ustaw?**

MAREK BELKA: — Nawet ja nie byłem w takiej sytuacji, choć jako szef rządu nie miałem za sobą większości sejmowej. Były problemy z przeforsowaniem bardziej ambitnych ustaw, ale mimo wszystko jakoś to działało. Da się więc dużo zrobić, ale czy to można nazwać rządzeniem?

Premier zamierza niektóre weta obejść rozporządzeniami. Weto ustawy wiatrakowej obejdzie rozbudową wiatraków już istniejących. Prezydent zapowiedział jednak, że nie zgodzi się na żadne przepisy, które podnoszą podatki, czyli nawet na podniesienie akcyzy na alkohol ani na podatek bankowy. Jednocześnie zarówno prezydent, jak i Prawo i Sprawiedliwość alarmują, że rząd zadłuża Polskę.

Polskę zadłużyła dzisiejsza opozycja. Tegoroczny budżet jest przecież budżetem Morawieckiego, nowy rząd nie miał czasu, żeby go zmienić. Realizował budżet PiS. Sławomir Dudek z Instytutu Finansów Publicznych, gdzie jestem w radzie naukowej, twierdzi, że wykonanie tego budżetu oznacza wzrost długu państwa do 2 bln zł. Ówczesny premier doskonale zdawał sobie sprawę, jak niebezpiecznie wzrasta zadłużenie państwa. Ważniejsze było wygranie wyborów.

Ale za projekt budżetu na 2026 r. w pełni odpowiada już koalicja 15 października. W czym jest lepszy od poprzedniego? Dziura jest w nim ogromna, ma wynieść 271,7 mld zł, czyli aż 6,5 proc. PKB.

Mimo wszystko ta dziura jest mniejsza niż w 2025 r., kiedy w budżecie zapisano deficyt 288,8 mld zł, czyli aż 6,9 proc. PKB. Obecna ekipa obiecała, że nic, co dane, nie będzie odebrane, realizuje więc te same projekty socjalne co poprzednicy. Nie powiększa jednak wydatków.

A renty wdowie? Babciowe?

No tak, jest też wielki nacisk na wprowadzenie asystencji osobistej dla osób z niepełnosprawnościami, co będzie bardzo kosztowne. Naciskają zresztą sami koalicjanci, którzy chcą się pochwalić wyborcom, że coś dla nich załatwili. Przede wszystkim jednak ponosimy ogromny koszt zbrojeń.

Rząd PiS zamiatał wydatki pod dywan, obok ustawy budżetowej, uchwalanej przez parlament, stworzył alternatywny budżet, który ich nie ujawniał. Nawet ekonomiści nie do końca wiedzieli, na co rządzący wydają poza wiedzą parlamentu. Wiadomo było, że wydatki pozabudżetowe wyniosły aż 300 mld zł. Obecna ekipa robi to samo. Nawet Fundusz Covidowy nie został zlikwidowany. Powstał jeszcze jeden — na obronność.

Jednak rząd wstrzymał się z realizacją obietnicy kosztownej ulgi podatkowej w wysokości 60 tys. zł. I za to też oberwie od prezydenta, bo opozycja wzięła go w dwa ognie. Karol Nawrocki zapowiedział swój projekt ustawy w tej sprawie. Chce zmusić koalicję, żeby go odrzuciła, i pokazać jej wyborcom, że nie spełnia ona własnych obietnic. PiS przez osiem lat przekonywał społeczeństwo, że problem braku pieniędzy nie istnieje, stać nas na wszystko. Ludzie wierzyli, bo w miłe rzeczy chętnie się wierzy. Więc skoro rząd ma pieniądze, to niech nie skąpi. Premier nie może teraz powiedzieć, że to nieprawda, że trzeba iść w stronę ekonomicznej racjonalności, bo musiałby zapomnieć o przyszłych wyborach.

Musi PiS przelicytować?

Wyżej już nie licytuje. Wie, że doprowadziłoby to do katastrofy. Teraz modli się o wyższą inflację.

Wielkim sukcesem tego rządu jest to, że tak szybko udaje się ją zbić. PiS przegrał wybory także z powodu drożyzny.

Więc teraz jako opozycja krzyczy, że drożyzna wynikająca z ogromnego wzrostu cen za poprzedniej władzy to wina Tuska. Dla budżetu państwa tak niska inflacja oznacza jednak niższe niż zaplanowano wpływy do kasy państwa. Wydatki socjalne, m.in. na renty i emerytury, trzeba indeksować według wyższej inflacji ubiegłorocznej, a wpływy są dużo mniejsze. Sytuacja budżetowa się pogarsza. Jednocześnie nic się nie robi, żeby ją poprawić, bo rządzących paraliżuje strach przed następnymi wyborami. Który z koalicjantów poparłby Platformę, gdyby zaproponowała jakieś łagodne ograniczenia wydatków? Podzielona Lewica? Polska 2050, która już się rozpadła? Czy może PSL zainteresowany utrzymaniem status quo w polityce rolnej i szukaniem nowego koalicjanta?

Opozycja krzyczy, że wracają mafie vatowskie. Prezydent, który złożył własny projekt ustawy PIT 0, uważa, że jak się rząd weźmie do roboty i uszczelni podatki, to na ulgi podatkowe na dzieci wystarczy.

Prezydent jeszcze w kampanii wyborczej powiedział, że jego celem jest upadek obecnego rządu. Wszystkie jego weta służą tylko temu, żeby sytuacja gospodarcza się pogarszała i prawica wróciła do władzy szybciej.

Mógłby rozwiązać parlament, gdyby ten nie uchwalił budżetu na przyszły rok. Czy projekt 2026 jest realny?

Jeśli prezydent nie podpisze ustaw o podatku bankowym i akcyzie, możemy zrobić krok w stronę przepaści. Przy wysokiej konsumpcji i szybkim wzroście gospodarczym i tak pewnie w połowie 2026 r. trzeba będzie budżet nowelizować. To jest normalne, ale politycznie kosztowne, zwłaszcza przed wyborami. Opozycja podniesie jazgot, że rząd nie umie rządzić. Prezydent zrobi wszystko, żeby rząd nie miał pola manewru. Koalicji 15 października nie pozostaje nic innego, jak tłumaczyć Polakom, że opozycja wali nie tylko w rząd, ale w nas wszystkich.

A jeśli prezydent nie zawetuje podatku bankowego? Polacy nie są przeciwni jego wprowadzeniu, banki osiągają ogromne, nieuzasadnione zyski. Ale kto go zapłaci — akcjonariusze czy klienci?

Gdyby podatek musieli zapłacić akcjonariusze, to pieniądze w większości pochodziłyby z budżetu państwa i spółek kontrolowanych przez państwo, do państwa należy bowiem większość udziałów w sektorze bankowym, ono je kontroluje. Banki tuczy jednak NBP, nadmiernych zysków napędza im polityka Rady Polityki Pieniężnej. To ona ustala wysokie stopy procentowe, jeśli uważa, że za ich pomocą zwalczy nadmierną inflację. Niby stopy zaczęły być już obniżane, ale ja uważam, że nadal są zbyt wysokie. Z powodu tak wysokich stóp krótkoterminowe lokaty banków w NBP (tzw. overnighty) są oprocentowane tak wysoko, że bankom komercyjnym opłaca się pieniądze lokować w NBP, a kredyty ciągle są bardzo drogie.

Banki nie potrzebują naszych oszczędności, dlatego lokaty oprocentowane są tak nisko. A w czasach rządów PiS, przy kilkunastoprocentowej inflacji, lokaty były najszybszym sposobem na utratę oszczędności życia. Czyli podatek bankowy zapłacą klienci.

Ponieważ jednak stopy będą obniżane, to zyski banków, a więc także wpływy z ewentualnego podatku bankowego, będą coraz mniejsze. Niebezpiecznie wysoki dług naszego państwa ciągle będzie rósł. ▶

© KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI/FORUM

eprasa.pl 6b266ec372

▶ Nie ma szans, żebyśmy przy szybszym wzroście zaczęli z tego długu wyrastać?

Nawet jeśli zamiast 3,4 proc. wzrostu PKB byłoby 3,7 proc., to gospodarka nie przyniesie takich żniw podatkowych, żebyśmy z tego ogromnego zadłużenia zaczęli wychodzić. Szanse na wyrastanie z długu są wtedy, gdy państwo zadłuża się na inwestycje rozwojowe, my przez osiem lat zadłużaliśmy się na wysoką konsumpcję. Dopiero teraz dzięki pieniądzom z KPO inwestujemy w rozwój. Karmiliśmy się złudzeniami i żyliśmy nieźle, pogrążając się w coraz większych długach. Żadna władza nie odważyła się powiedzieć, że nas na coś nie stać.

Mówi się, że mamy irlandzkie podatki i skandynawskie wydatki i nie chcemy tego zmieniać. Polacy nie chcą płacić wyższych podatków. Także „podatek Belki" ma być zlikwidowany. To kolejna obietnica koalicji 15 października.

Minister finansów Andrzej Domański spełnił ją, nie spełniając. Uważam jego pomysł za genialny: polega na tym, że ten mój podatek będą nadal płacić tylko ci, którzy trzymają oszczędności na lokatach bankowych. Natomiast osoby, które ulokują pieniądze – do 100 tys. zł – w funduszach inwestycyjnych lub wprost na giełdzie, podatku Belki nie zapłacą. Czyli obietnica została spełniona.

Minister był związany ze środowiskiem giełdowym, więc stara się giełdzie pomóc.

W bankach, przy ich nadpłynności, na zysk z oszczędności nie liczmy i podatek Belki nie jest tego przyczyną. Ja trzymam oszczędności w obligacjach.

Towarzystwo Ekonomistów Polskich wyliczyło, że już w przyszłym roku zadłużenie państwa, także w owych obligacjach, przekroczy dopuszczalną granicę, określoną w konstytucji na 60 proc. PKB. Co wtedy? Premier i minister finansów zostaną postawieni przed Trybunałem Stanu?

Przewidzieliśmy to, w jednej sprawie wszystkie partie doszły do porozumienia, że ogromny fundusz przeznaczony na obronność nie będzie wliczany do naszego zadłużenia.

To nie znaczy, że pożyczonych na wojsko pieniędzy nie trzeba będzie zwrócić.

Trzeba, ale manipulujemy w ten sposób wielkością zadłużenia. Wydając na obronność każdego roku prawie 5 proc. naszego PKB, udajemy, że o te wydatki dług nam nie rośnie. Chodzi o to, żeby nam się wydawało, że ciągle granicy 60 proc. nie przekroczyliśmy.

Zamiatamy pod dywan. Ale jak długo jeszcze możemy się zadłużać?

Czasem myślę, że tylko kryzys może nami wstrząsnąć i spowoduje, że zaczniemy poważnie rozmawiać o prawdziwych źródłach naszych finansowych problemów.

Jaki kryzys? Przecież przeżyliśmy światowy kryzys finansowy i niczego nas nie nauczył.

Myśmy tego kryzysu w Polsce tak naprawdę nie odczuli.

Za godzinę pracy firmy płaciły 5 zł, a ludzie byli zatrudniani na umowach śmieciowych. To mało? Mamy czekać na kryzys, gdy ZUS nie wypłaci emerytur?

Potrzebujemy zimnego prysznica. W kampanii do europarlamentu palnąłem, że mam nadzieję, iż nowy rząd przestanie przed emerytami rozwijać czerwony dywan, miałem na myśli trzynastki i czternastki, na które nas nie stać. Dotąd na każdym spotkaniu wyborczym musiałem się tłumaczyć z podatku Belki, a potem – że chcę pozbawić pieniędzy emerytów. A przecież te dodatkowe świadczenia, na których wypłatę nie odłożyliśmy w składkach, to niejedyne źródło nadmiernego zadłużenia. Powiedziałem prawdę i w ten sposób przestałem być politykiem, a zostałem emerytem.

Pan jest znany z tego, że lubi „coś palnąć", chciałby pan powiedzieć jeszcze coś niepopularnego?

Tysiąc złotych zarobionych przez Polaka pracującego ma zupełnie inną wartość niż ta sama suma zarobiona przez rolnika. „Miastowy" musi odprowadzić od tego składki na ZUS, na zdrowie i jeszcze podatek, zostanie mu ciut więcej niż połowa. Rolnik – jedynie kilkakrotnie niższą składkę na KRUS. Żadna partia nie odważy się powiedzieć tego głośno, bo przegra wybory. Ja mówię, bo już przegrałem. Wszyscy domagamy się lepszej ochrony zdrowia, ale rolników obdarowano przywilejem niepłacenia za leczenie. Jeszcze?

Proszę.

Pracujących Polaków ubywa. Trzeba zatrudnić legalnie więcej imigrantów, najlepiej z Ukrainy, z nimi się dobrze dogadujemy. Już teraz pracuje u nas ponad milion obcokrajowców, płacą składki na nasze emerytury, a politycy ciągle na nich szczują, bo to się im politycznie opłaci.

Coś jeszcze?

Waluta euro. Weźmy przykład Francji. Jej zadłużenie przekracza 110 proc. PKB. Dług Francji jest wyższy, ale rośnie o wiele wolniej niż nasz. Żeby ten dług rolować, Francja musi pożyczać, ale płaci rynkom o 40 proc. niższe odsetki niż Polska – ona ok. 3 proc., my ponad 5 proc. Bo Francja jest w strefie euro, a my nie. Ale my o przyjęciu euro nie rozmawiamy, to kolejny temat tabu.

W razie kryzysu złoty gwałtownie straci na wartości i ze słabą walutą łatwiej z niego wyjdziemy. To jeden z głównych argumentów prawicy, nie mówiąc o utracie suwerenności.

Myślę, że nasz opór przed wspólną walutą wynika z czego innego. Własna waluta pozwala zachować opcję na wyjście z Unii, z euro byłoby to wręcz niemożliwe. Grecja sobie to przekalkulowała. Deklaracja, że zmierzamy w stronę Eurolandu, oznaczałaby jednak konieczność rozpoczęcia naprawy finansów państwa, trudnej rozmowy o źródłach problemów. Wojna Rosji z Ukrainą powoduje natomiast, że kryzys, którego nasi politycy ciągle się nie boją, nagle stanie się realnością.

Uważa pan, że dzięki euro Estonia, Litwa czy Łotwa mogą czuć się bezpieczniej? Putin nie zawahał się naruszyć terytorium Estonii.

Ale jej nie zaatakował.

Jest nieprzewidywalny.

Atak na kraj będący w strefie euro uderzyłby w cały Euroland. Więc wszyscy członkowie strefy, z Francją, Niemcami i nawet daleką Portugalią i Hiszpanią, byliby zainteresowani, żeby mu pomóc.

Polska obchodzi je mniej? My też jesteśmy w NATO.

Gdyby Polska była w strefie euro, upadek naszej gospodarki z powodu ataku wojennego byłby dla Europy o wiele bardziej bolesny, nie dopuściłaby do niego. Bez euro nasza suwerenność jest bardziej zagrożona. Jest jeszcze jeden poważny argument za euro: wielkie rezerwy, które gromadzi NBP, byłyby nam już niepotrzebne. Można by je przeznaczyć na finansowanie naszej obronności, zadłużenie Polski stałoby się o wiele mniejsze bez księgowych sztuczek. Jak długo jeszcze Polska może się bezkarnie zadłużać? Zacznijmy rozmawiać poważnie albo szykujmy się na poważny kryzys.

ROZMAWIAŁA JOANNA SOLSKA

eprasa.pl 6b266ec372

© SHUTTERSTOCK

Koszyk w sieci

Sklepy internetowe, zwłaszcza te mniejsze, stają dziś przed ogromnym wyzwaniem: jak sprostać rosnącym oczekiwaniom klienta, a przy tym nie wpaść w spiralę długów?

Przez internet zakupy robi ponad trzy czwarte Polaków. Wydawałoby się zatem, że sklepy sprzedające w sieci mają się bardzo dobrze. Przeczą temu dane Krajowego Rejestru Długów, w którego bazach znajduje się już ponad 5 tys. dłużników z branży e-commerce, a łączna wartość ich przeterminowanych zobowiązań przekracza 158 mln zł. Oznacza to, że na jednego dłużnika przypada prawie 31,5 tys. zł długu. Skąd takie kłopoty? Chociaż handel internetowy szybko rośnie, jest to obszar bardzo konkurencyjny. Polskie firmy muszą rywalizować nie tylko między sobą, ale także mierzyć się z potężnymi chińskimi platformami zalewającymi nasz kontynent swoją ofertą.

Pod presją z Azji

Trudno tę rywalizację nazwać uczciwą, skoro azjatyccy gracze nie tylko stawiają na bardzo agresywny, nierzadko wprowadzający w błąd marketing, ale też nie stosują się do wielu europejskich regulacji (np. dyrektywy Omnibus) i ignorują przepisy mające chronić interes konsumentów. Polskie sklepy e-commerce muszą tymczasem mieć się na baczności, bo dużo łatwiej je ukarać niż chińskich potentatów. Ci wciąż korzystają z bezcłowego dostępu do wspólnego rynku. W Unii Europejskiej pojawia się coraz więcej głosów postulujących, aby wzorem Stanów Zjednoczonych ograniczyć dostęp chińskich platform i nałożyć na nie dodatkowe opłaty. Póki jednak to się nie stanie, polscy przedsiębiorcy muszą nauczyć się walczyć z zagranicznymi rywalami, stawiając przede wszystkim na jakość obsługi i błyskawiczne reagowanie na potrzeby klientów.

A oczekiwania konsumentów w sieci nieustannie rosną. Chcemy dzisiaj błyskawicznej dostawy w najwygodniejszy dla nas sposób, opcji darmowych zwrotów i pełnej dostępności towarów o każdej porze. To oznacza rosnące wydatki na logistykę, magazynowanie i obsługę klienta, co mocno obciąża budżety zwłaszcza mniejszych e-sklepów. – *Jeśli sprzedaż nie jest stabilna albo opiera się na sezonowości, to koszty szybko przekraczają przychody. Aby uniknąć kłopotów, przedsiębiorcy z branży e-commerce powinni pamiętać przede wszystkim o utrzymaniu płynności i kontroli wydatków, a w razie opóźnień w zapłacie od kontrahentów – niezwłocznie reagować. Z naszych doświadczeń wynika, że wielu przedsiębiorców zaniedbuje monitoring płatności i egzekwowanie już istniejących zaległości* – wskazuje Jakub Kostecki, prezes zarządu firmy windykacyjnej Kaczmarski Inkasso, która współpracuje z Krajowym Rejestrem Długów. – *Ważna jest weryfikacja kontrahentów, rozsądne skalowanie biznesu i odkładanie rezerw na gorsze czasy. Równie istotna pozostaje terminowa spłata zobowiązań i dbałość o własną wiarygodność finansową, bo obecność w rejestrze dłużników może podważyć budowane latami zaufanie partnerów i dostawców* – dodaje Adam Łącki, prezes Zarządu Krajowego Rejestru Długów Biura Informacji Gospodarczej.

Na zakupowej ścieżce

Oprócz dyscypliny finansowej kluczowe jest dbanie o jakość doświadczenia zakupowego. Pod tym hasłem kryje się bardzo wiele elementów budujących zaufanie klienta wybierającego sklep internetowy. Liczy się nie tylko przejrzystość oferty, ale też jasne określenie zasad. Nie warto ukrywać jakichkolwiek informacji, np. o kosztach i warunkach dostawy. Lepiej od początku jasno o wszystkim informować, bo właśnie uczciwość konsumenci dziś cenią ponad wszystko.

Ogromnym wyzwaniem pozostaje sprawne przeprowadzenie klienta przez cały proces zakupowy. – *Nawet najlepsza oferta czy korzystna cena nie gwarantują jeszcze, że produkt w ogóle trafi do koszyka. A kiedy już się tam znajdzie, o powodzeniu transakcji często decydują ostatnie metry: etap płatności i dostawy. Jeśli klient nie znajdzie w sklepie swojej ulubionej metody płatności, produkt zostaje w koszyku. I nie pomogą późniejsze przypomnienia czy powiadomienia push, bo to nie była pomyłka, tylko świadoma decyzja o rezygnacji. Dlatego tak istotne jest, by małe i średnie firmy projektowały ścieżkę zakupową z myślą o płynności i przewidywalności – tak, aby klient mógł w kilka sekund sfinalizować transakcję w znany sobie sposób* – podkreśla Monika Król, wiceprezeska Polskiego Standardu Płatności, operatora BLIK-a. Szybka i wygodna płatność to szczęśliwy finał zarówno dla klienta, jak i dla sprzedawcy.

PIOTR CYMERMAN

eprasa.pl 6b266ec372

Nagie ceny

ILUSTRACJA **PATRYK SROCZYŃSKI**

Deweloperzy w ogłoszeniach muszą już informować, ile kosztuje każde mieszkanie, ale do stawek transakcyjnych dotrzeć wciąż trudno. W przyszłości ma to zmienić nowy publiczny portal. Tymczasem próbuje ujawniać ceny anonimowy portal o wdzięcznej nazwie Deweloperuch.

CEZARY KOWANDA

Twórcy nie chcą ujawniać swojej tożsamości, ale zapewniają, że nic ich nie łączy z politykami. – *Pomysł wziął się z poczucia bezsilności wobec tego, co robiło Ministerstwo Rozwoju i Technologii, a także główne portale branżowe i deweloperzy. Dostrzegamy ogromną dysproporcję informacyjną między klientami a deweloperami – chcemy to zmienić. Wolimy zachować anonimowość, bo wiemy, że nasz pomysł niekoniecznie będzie się podobać branży nieruchomości w Polsce* – tłumaczy jeden z twórców Deweloperucha.

W jaki sposób Deweloperuch zamierza ujawnić rzeczywiste ceny mieszkań? Chce wykorzystać do tego istniejącą od dawna, ale raczej mało znaną publiczną bazę danych o nazwie Rejestr Cen i Wartości Nieruchomości. Prowadzą go poszczególne starostwa powiatowe, które zbierają u siebie informacje o sprzedaży domów i mieszkań. Dostęp do takich danych może mieć każdy obywatel, ale musi określić, jaka nieruchomość go interesuje, wystąpić z wnioskiem do odpowiedniego powiatu i za to zapłacić. Stawki w przypadku pojedynczego zapytania nie są wysokie (zazwyczaj to niespełna 10 zł), ale już dostęp do dużej liczby transakcji będzie sporo kosztował.

Deweloperuch zaczął zatem publiczną zbiórkę, obiecując, że dane, które uda mu się uzyskać, udostępni potem na swoim portalu – dla wszystkich,

eprasa.pl 6b266ec372

nieodpłatnie i w wygodnej formie graficznej. Na początku twórcy tej inicjatywy chcieli zebrać 25 tys. zł, jednak hojność internautów okazała się ponaddwukrotnie większa. Deweloperuch szuka teraz danych z największych miast wojewódzkich i obiecuje, że już w październiku zaczną się pojawiać na jego stronie. Na razie portal koncentruje się tylko na rynku pierwotnym, a ceny transakcyjne mają dotyczyć ostatnich 12 miesięcy. Inicjatywę podchwycili politycy, zwłaszcza z Polski 2050. Przygotowali projekt ustawy, zgodnie z którą dostęp do informacji z Rejestru Cen i Wartości Nieruchomości byłby bezpłatny.

To właśnie Polska 2050, a zwłaszcza Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz kierująca resortem funduszy i polityki regionalnej, prowadzi od dawna krucjatę przeciw deweloperom. Ta działalność nie pomaga specjalnie partii w notowaniach sondażowych (zazwyczaj jest poniżej 5-procentowego progu), ale przynosi efekty.

11 września zaczęła w pełni działać wymyślona przez Polskę 2050 ustawa, która zmusiła deweloperów do podawania cen ofertowych przy ogłoszeniach dotyczących sprzedaży mieszkań. Teraz wszyscy deweloperzy mają prowadzić strony internetowe (niektórzy ich dotąd nie mieli!), na których znajdą się informacje o oferowanych lokalach. Przy każdym z nich trzeba podać nie tylko bieżącą cenę, ale także poprzednie, jeśli w międzyczasie deweloper je obniżył lub podwyższył. Poza tym klient musi być informowany, czy razem z mieszkaniem trzeba kupić coś jeszcze, np. miejsce postojowe albo komórkę lokatorską. A jeśli tak, to ile będą one kosztować.

Do Urzędu Ochrony Konkurencji i Konsumentów wpłynęło już ponad tysiąc sygnałów o nieprawidłowościach, choć nowe przepisy działają od niedawna. Zdecydowana większość deweloperów stosuje się jednak do tych regulacji. Ale czy powodują one spadek cen ofertowych? – *Są tak naprawdę dwie możliwości. W jednym scenariuszu deweloperzy wręcz podniosą nieco ceny, aby zwiększyć pole do negocjacji z klientem. W drugim – i ten uważam za bardziej prawdopodobny – będą starać się podawać od początku cenę bardziej realną, bo muszą przecież publikować historię jej zmian. Jeśli klient zobaczy, że deweloper kilkakrotnie obniżał już cenę konkretnego mieszkania, będzie liczył na kolejny rabat i twardo negocjował* – ocenia Marek Wielgo, ekspert portalu rynekpierwotny.pl.

Emocje wokół cen mieszkań mają swoje dwa podstawowe źródła. Jedno to z pewnością gwałtowny wzrost cen nieruchomości w ostatnich latach, zwłaszcza w 2023 r., gdy przed wyborami parlamentarnymi PiS zaoferował bardzo atrakcyjne dopłaty do kredytów pod hasłem Bezpiecznego Kredytu 2 proc., czym kompletnie zdestabilizował rynek. Jest jednak i drugi powód nerwowości. To rozrzut między cenami ofertowymi (czyli z ogłoszeń deweloperów, ale także sprzedających na rynku wtórnym) oraz transakcyjnymi (czyli tymi rzeczywiście płaconymi przez kupujących). O ile sam wzrost cen praktycznie zatrzymał ▶

Ile w ogłoszeniach, ile w rzeczywistości

Miasta	Rynek pierwotny			Rynek wtórny		
	Ceny ofertowe [tys. zł]	**Ceny transakcyjne [tys. zł]**	Różnica [proc.]	Ceny ofertowe [tys. zł]	**Ceny transakcyjne [tys. zł]**	Różnica [proc.]
Białystok	11,8	**10,5**	11	10,2	**9,3**	9
Bydgoszcz	10,9	**9,8**	10	8,4	**7,6**	10
Gdańsk	14,4	**13,4**	7	14,4	**12,7**	12
Katowice	12,6	**11,7**	7	9,1	**8,1**	11
Kraków	16,7	**15,7**	6	16,6	**14,9**	10
Lublin	11,3	**10,8**	4	10,7	**9,9**	7
Łódź	11,8	**10,0**	15	9,0	**8,0**	11
Poznań	13,2	**12,5**	5	11,9	**10,5**	12
Rzeszów	10,7	**10,7**	0	11,0	**10,7**	3
Szczecin	13,0	**11,7**	10	9,6	**9,3**	3
Warszawa	17,3	**16,4**	5	18,4	**16,4**	11
Wrocław	15,6	**15,0**	4	13,6	**12,6**	7

Średnia cena za metr kwadratowy mieszkania, dane za II kw. 2025 r. Źródło: NBP

eprasa.pl 6b266ec372

▶ się po wygaśnięciu publicznych dopłat (rządząca koalicja na szczęście nie porozumiała się co do ich wznowienia), o tyle rozrzut między stawkami ofertowymi i transakcyjnymi jeszcze się pogłębił. Ani deweloperzy, ani sprzedający na rynku wtórnym nie chcą ograniczać swoich oczekiwań w ogłoszeniach, ale za to muszą coraz częściej to robić w chwili sprzedaży.

Różnice między tym, co w ogłoszeniach, i tym, co w rzeczywistości, próbuje obliczać Narodowy Bank Polski. Bada sytuację we wszystkich miastach wojewódzkich, chociaż swoje analizy publikuje z pewnym opóźnieniem. Obecnie dostępne są dane NBP za drugi kwartał tego roku. Wynika z nich, że średnio ceny ofertowe są o kilka, a czasem nawet kilkanaście procent wyższe od transakcyjnych. Na rynku pierwotnym największe różnice występują w Łodzi (aż 15 proc.!), a także Szczecinie, Bydgoszczy i Białymstoku. Oznacza to, że we wszystkich tych miastach deweloperzy są najbardziej skłonni do negocjacji z klientami. Natomiast w przypadku rynku wtórnego różnice przekraczające 10 proc. pojawiają się w Gdańsku, Warszawie, Łodzi i Poznaniu.

Jeżeli plany Deweloperucha zostaną zrealizowane, klienci będą mieli dostęp do bieżących cen transakcyjnych na rynku pierwotnym. Pozostanie jednak problem rynku wtórnego. Tu pomoc obiecują znów politycy, a dokładnie rząd.

Do Sejmu trafił projekt ustawy mającej stworzyć portal Dane o Obrocie Mieszkaniami, w skrócie DOM. Historia tego pomysłu jest długa: powstał jeszcze za czasów PiS, ale prace nad ustawą toczyły się bardzo wolno. Udało się je przyspieszyć dopiero niedawno, na fali coraz większych emocji dotyczących cen mieszkań. Portal DOM rzeczywiście może być rewolucją. Ma gromadzić informacje dotyczące wszystkich transakcji – i na rynku pierwotnym, i wtórnym. Co więcej, korzystanie z niego będzie bezpłatne, bo koszty tego narzędzia pokryje Deweloperski Fundusz Gwarancyjny. W tym portalu będzie można wyszukiwać dane nie tylko na poziomie całego miasta czy dzielnicy, ale nawet ulicy czy konkretnego budynku.

Jednak aby zagwarantować anonimowość kupujących i sprzedających, portal DOM poda wyniki uwzględniające przynajmniej sześć transakcji. Oznacza to, że wyszukiwanie danych, np. dla konkretnej kamienicy, może nie przynieść efektu, jeśli w podanym przedziale czasu nie doszło w niej do sprzedaży minimum sześciu mieszkań. W takiej sytuacji trzeba będzie rozszerzyć zakres wyszukiwania np. na całą ulicę czy osiedle. Niestety, na takie narzędzie musimy poczekać około dwóch lat. Portal ma bowiem zacząć działać 20 miesięcy po wejściu w życie ustawy (a ta nie została przecież jeszcze uchwalona), czyli zapewne nie wcześniej niż na jesieni 2027 r.

Nadzieje wiązane z portalem DOM są spore. – *Potrzebujemy łatwego dostępu do cen transakcyjnych, żeby uniknąć błędów. Chodzi tu zarówno o sprzedających, jak i kupujących. Ci pierwsi, np. osoby starsze, gorzej zorientowane w rynku nieruchomości, mają być lepiej zabezpieczeni przed fliperami, którzy skupują mieszkania, by je wyremontować i szybko na nich zarobić. Z kolei kupujący też muszą mieć pełną wiedzę, aby podjąć właściwą decyzję. Wielka szkoda, że taki portal nie działał pod koniec 2023 r., gdy szaleństwo związane z Bezpiecznym Kredytem 2 proc. skłaniało wielu poszukujących mieszkań do przepłacania* – przypomina Bartosz Turek, niezależny analityk rynku nieruchomości.

Uczciwe dane o transakcjach mogłyby ułatwić życie i sprzedającym, i kupującym mieszkania.

Portal DOM być może zdyscyplinuje sprzedających na rynku wtórnym. Dziś powszechną praktyką jest wystawianie mieszkań za cenę bardzo wygórowaną, w nadziei, że znajdzie się chętny. Dopiero z czasem jest ona stopniowo obniżana przez właściciela, który zaczyna zdawać sobie sprawę, jaka jest rzeczywista wartość jego nieruchomości. Twarde dane o transakcjach w okolicy mogą nieco zweryfikować oczekiwania sprzedających już na wstępie, a kupującym oszczędzić czasu. Taką właśnie korzyść przyniosły dotąd nowe wymagania wobec deweloperów. Ceny z powodu jawności nie spadły, ale łatwiej jest porównywać oferty i nie trzeba już za każdym razem zostawiać swoich danych, aby deweloper łaskawie oddzwonił i poinformował, ile chce pieniędzy za swój towar.

O ile portal DOM wydaje się dobrym pomysłem, o tyle trudno oprzeć się wrażeniu, że politycy nie są w stanie koordynować narzędzi, które państwo już ma, więc postanawiają tworzyć kolejny instrument. Dzisiaj bowiem informacje o cenach mieszkań zbierane są już na wiele sposobów, lecz żaden z nich nie jest wystarczająco użyteczny. Mamy NBP, ale tylko dla miast wojewódzkich, dane o średniej cenie za metr kwadratowy podaje również GUS na poziomie powiatów, jednak ze sporym opóźnieniem. Istnieje wspomniany Rejestr Cen i Wartości Nieruchomości, ale bez jednej, centralnej bazy danych, jest wreszcie publiczny portal pod internetowym adresem dane.gov.pl, do którego od niedawna informacje o cenach ofertowych muszą przekazywać deweloperzy. Tyle instytucji zatem lepiej lub gorzej bada rynek nieruchomości, wydając publiczne pieniądze, ale jednego, prostego narzędzia nie ma.

Portal DOM zapewne wypełni tę lukę informacyjną, ale i on będzie miał swoje słabości. – *Powinien zostać uzupełniony o algorytm, który na podstawie ogromnej ilości danych wprowadzonych do tego portalu byłby w stanie oszacować wartość konkretnej nieruchomości, uwzględniając szereg jej cech: np. nasłonecznienie, głośność, standard budynku czy dostęp do komunikacji miejskiej. Skoro tworzymy coś zupełnie nowego, idźmy krok dalej* – zachęca Bartosz Turek. Ale równocześnie podkreśla, że jest mało prawdopodobne, aby politycy odważyli się na taką innowację. Bo wówczas obywatele mogliby się przerazić, że szacunkowa wycena każdej nieruchomości na publicznym portalu – jakkolwiek bardzo użyteczna – to także wstęp do wprowadzenia podatku katastralnego obliczanego od rzeczywistej wartości mieszkania czy domu. A jego wszyscy w Polsce od dawna panicznie się boją, a politycy wszystkich partii przyrzekają, że nigdy go nie wprowadzą.

CEZARY KOWANDA

eprasa.pl 6b266ec372

JANEK KOZA DLA tokfm

Na każdy temat
z każdej strony
tokfm

eprasa.pl 6b266ec372

Dubeltowe ego

ŁUKASZ WÓJCIK

Donald Trump i Beniamin Netanjahu tworzą dziś najważniejszy tandem polityczny na świecie.

Geopolityka ostatnich dziesięcioleci obfitowała w wielkie duety. Charles de Gaulle–Konrad Adenauer, Ronald Reagan–Michaił Gorbaczow, François Mitterrand–Helmut Kohl. Wszystkie te relacje wymykały się prostej analizie politologicznej. Często miały w sobie element irracjonalny, pierwiastek emocji, opierały się na szczególnej więzi międzyludzkiej i zaufaniu. Dzięki temu duety te dokonywały politycznych przełomów, których racjonalni analitycy nie byli w stanie nawet sobie wyobrazić.

Jak pisze w swojej najnowszej książce „The Age of the Strongman" publicysta „Financial Times" Gideon Rachman, mamy dziś potężny kryzys zaufania w polityce międzynarodowej. Umowy są niedotrzymywane, zasady łamane. Odkąd do Białego Domu wrócił Donald Trump, gwałtownie postępuje erozja globalnych instytucji, choćby ONZ, które owo zaufanie miały budować. Trudno też dopatrywać się szczególnych relacji między światowymi liderami. To wymagałoby właśnie zaufania i w przypadku porażki groziłoby kompromitacją, wystawieniem się na pośmiewisko. A dziś w polityce wizerunek odgrywa rolę równie ważną – a może nawet ważniejszą – niż realne osiągnięcia.

W tym hobbesowskim świecie walki wszystkich ze wszystkimi jest jednak duet wyjątkowy. Duet, w którym – obrazowo rzecz biorąc – ogon macha psem, a mimo to pies znosi wszystko cierpliwie z pewną dozą uznania dla ogona. W którym przewaga w doświadczeniu, wyrachowaniu i bezwzględności zderza się z naturalnym instynktem politycznym i inteligencją emocjonalną w służbie skrajnego egocentryzmu.

Relacja między Donaldem Trumpem i Beniaminem Netanjahu, którzy w ostatni poniedziałek mieli już trzeci raz od początku roku spotkać się w Białym Domu, nie ma dziś sobie równych na świecie. W żadnym innym przypadku tak dużej roli nie

eprasa.pl 6b266ec372

odgrywają osobowości liderów, ich piętrowe kalkulacje, urazy i ambicje. W żadnym innym stawka nie jest tak wysoka – zależy od niej los całego Bliskiego Wschodu, a może nawet przyszłości amerykańskiej prawicy.

A poza tym, jak przekonuje amerykański politolog Stephen Walt: – *Żadna inna relacja między wielkimi tego świata nie jest tak nieracjonalna, nieprzewidywalna, a przez to niezdrowo interesująca. Przynajmniej dla tych, którzy nie muszą martwić się jej bezpośrednimi konsekwencjami.*

1 Poniedziałkowe spotkanie tego duetu, które zakończyło się już po zamknięciu numeru POLITYKI, miało dotyczyć wspólnej amerykańsko-izraelskiej odpowiedzi na serię uznań palestyńskiej państwowości podczas zakończonego właśnie Zgromadzenia Ogólnego ONZ. Trump znów stanął tu murem za premierem Izraela i oświadczył, że państwa, które to uczyniły – m.in. Francja i Wielka Brytania – „nagradzają w ten sposób Hamas", co jest zresztą dokładnym cytatem z Netanjahu.

Izraelskie media od kilku dni spekulują, że tą odpowiedzią może być aneksja przynajmniej części Zachodniego Brzegu Jordanu, okupowanego przez Izrael od 1967 r. Ale Izrael nie zrobi tego bez zgody Ameryki. Gdyby ją dostał, byłaby to kliniczna ilustracja irracjonalnej relacji Trump–Netanjahu – widowiskowej i bezpardonowej, ale w swojej istocie samobójczej dla ich obu i w jawny sposób sprzecznej z interesami państw, które reprezentują.

Jest to tym bardziej istotne, że ów model relacji Trump próbuje rozciągać na innych zagranicznych partnerów. Bo nawet odrzucając naiwne psychologizowanie, co akurat w przypadku chaotycznych działań Trumpa nie jest łatwe, trudno nie zauważyć, jak spersonifikowana jest jego polityka zagraniczna. I jak często stosunek Trumpa do konkretnych państw jest uzależniony od jego osobistych relacji z ich przywódcami. A nawet nie tylko przywódcami.

Kilka dni temu doszło do przedziwnej wymiany zdań między Trumpem i australijskim dziennikarzem Johnem Lyonsem. Zapytał on prezydenta USA o zarzut postawiony przez jedną z amerykańskich gazet, że – nie wchodząc w szczegóły – wykorzystuje prezydenckie prerogatywy do zbijania prywatnego majątku. Trump najpierw zaczął się tłumaczyć, ale szybko przerwał, zapytał dziennikarza, jak się nazywa i z jakiego jest kraju. A gdy ten odpowiedział, Trump oświadczył, że tym pytaniem bardzo zaszkodził swojej ojczyźnie i że porozmawia o nim z premierem Australii.

To teraz wyobraźmy sobie, jak wielkie znaczenie dla polityki zagranicznej najpotężniejszego mocarstwa świata mają osobiste relacje Trumpa z liderami innych państw. Jak sympatie tego patologicznego egocentryka przeważają nad różnie pojmowanym, ale przecież definiowalnym w ogólnym zarysie interesem Stanów Zjednoczonych.

Wystarczy wspomnieć, do jakiego kryzysu w relacjach USA–Kanada doprowadziła wyjątkowa antypatia Trumpa do byłego już premiera Justina Trudeau. Nawet w świetle najbardziej ekstrawaganckich ujęć amerykańskiej racji stanu nie sposób uzasadnić tak głębokiego kryzysu z przyjaźnie nastawioną i niezagrażającą Ameryce Kanadą. Mało tego, dobre relacje z sąsiadami, Kanadą i Meksykiem, przez ostatnie 150 lat sprawiały, że Ameryka była geopolityczną wyspą, której bezpośrednio nie zagraża żadne inne mocarstwo. Ale Trump po prostu nie lubił Trudeau i być może przyłączyłby Kanadę do USA, gdyby Kanadyjczyk nie zrezygnował ze stanowiska.

2 Tym bardziej niezrozumiały jest stosunek Trumpa do Netanjahu. W trakcie swojej pierwszej kadencji Amerykanin wykonał wiele przyjaznych gestów pod adresem premiera Izraela: uznał Jerozolimę za stolicę i przeniósł tam ambasadę USA, zamknął biura Organizacji Wyzwolenia Palestyny w Waszyngtonie, uznał suwerenność Izraela nad syryjskimi Wzgórzami Golan oraz poparł plan pokojowy autorstwa swojego zięcia Jareda Kushnera, wyraźnie faworyzujący interesy Izraela.

Wszystkie te punkty – ze sprawą stolicy na czele – przez lata stanowiły ważne argumenty przetargowe dla amerykańskiej dyplomacji w relacjach z Izraelem. A Trump wszystkie je oddał, nie dostając nic w zamian (poza pochwałami i głosami od proizraelskich wyborców w USA). A co zrobił Netanjahu? Uroczyście podziękował, a potem uznał zwycięstwo wyborcze Joe Bidena nad swoim dobroczyńcą w 2020 r., gdy ten walczył jeszcze z „jednym wielkim fałszerstwem". Według wspomnianego już Rachmana Trump miał wtedy powiedzieć o swoim izraelskim faworycie: „Piep... go".

Druga kadencja nie zaczęła się lepiej. Trump jeszcze przed ponownym objęciem urzędu obiecał zakończyć kilka wojen, m.in. tę w Strefie Gazy. Krótko przed inauguracją jego wysłannik Steve Witkoff przyleciał do Izraela z żądaniem natychmiastowego spotkania z Netanjahu w szabat, aby zmusić go do zawieszenia broni z Hamasem. Miał to być ów „czynnik Trumpa", jak zaczęli pisać zwolennicy nowego-starego prezydenta, odnosząc się do nieprzewidywalności. Jednak tej nowej amerykańskiej asertywności wystarczyło tylko na kilka tygodni.

Pierwszy raz Trump nie wytrzymał w czerwcu, gdy mimo tajnych negocjacji z Teheranem Izrael uderzył na irańskie instalacje nuklearne. W pierwszym odruchu wyraźnie poirytowany Amerykanin powiedział, że obie strony „nie wiedzą, co do cholery robią". Szybko jednak zmienił zdanie. Żeby być w zgodzie z Netanjahu, Trump odrzucił nawet raporty amerykańskiego wywiadu, według których Iran nie pracuje nad rozwojem broni jądrowej. A następnie przyłączył się do izraelskich ataków, nazwał Netanjahu „bohaterem wojennym" i zaraz potem dodał, że chyba sam też jest bohaterem wojennym, skoro wysłał nad Iran amerykańskie bombowce.

Drugi raz Trump nie wytrzymał w lipcu, gdy w mediach pojawiły się zdjęcia głodujących dzieci w Gazie, często zestawiane ze słowami Netanjahu, który twierdził, że nikt tam nie głoduje. Trump powiedział, że on jednak widzi „prawdziwy głód". Nie można oczywiście wykluczyć przypływu współczucia, ale chyba równie ważne było to, że zagłodzone dzieci generalnie źle wyglądają w mediach.

3 Wrześniowa sprawa izraelskiego ataku na Katar to był już dyplomatyczny cyrk. Izrael uderzył na to państwo „bez żadnego trybu", oczywiście wbrew prawu międzynarodowemu. A celem byli liderzy Hamasu, którzy właśnie w Dausze mieli debatować nad amerykańską propozycją zawieszenia broni w Strefie Gazy. Katar był w ostatnich latach „bliskowschodnią Szwajcarią", gdzie rozmawiały strony, które nigdzie indziej nie mogłyby się spotkać. Co więcej, kraj ten jest bliskim sojusznikiem USA, jest tam wielka amerykańska baza, a katarskie inwestycje płyną ostatnio do Stanów szerokim strumieniem. ▶

© KOBI GIDEON/GPO/GETTY IMAGES

eprasa.pl 6b266ec372

▶ Trump miał się dowiedzieć o ataku w ostatniej chwili i natychmiast kazał powiadomić Katarczyków. Ale informacja dotarła, gdy spadały już pierwsze izraelskie pociski. Tyle mówi oficjalna wersja. Według tej nieoficjalnej Izrael poinformował Stany Zjednoczone „z dużym wyprzedzeniem" i gdyby Trump chciał powstrzymać atak, miał na to czas, ale nic nie zrobił. Reagując na te informacje, biuro premiera Izraela stwierdziło tylko, że „wersja wydarzeń przedstawiona przez Biały Dom jest prawidłowa". Jeden z izraelskich dyplomatów przyznał w rozmowie z nami, że dla dobra relacji dwustronnych strona izraelska postanowiła, że pomoże Białemu Domowi w tym kłamstwie.

Sprawę pociągnął „Wall Street Journal", który napisał, że Trump jest sfrustrowany nie tylko Katarem, ale też działaniami Netanjahu w Strefie Gazy. I nie może zrozumieć, dlaczego Izraelczyk nie chce negocjować wypuszczenia izraelskich zakładników w zamian za zawieszenie broni. A w reakcji na zbombardowanie Kataru miał nawet powiedzieć w wąskim gronie, że Netanjahu – tu koślawe tłumaczenie z języka niedyplomatycznego – uprawia z nim seks z pozycji dominującej („He's fu... me").

To zaskakujące, że Trump, który lubi dominować w relacjach z innymi liderami, w tym przypadku oddaje stery w ręce Izraelczyka i pozwala mu działać nawet wbrew własnej woli. Tak jak w Strefie Gazy, gdzie decyzje premiera Izraela ewidentnie przedłużają konflikt, nie dając łatwego zwycięstwa Trumpowi i komplikują mu relacje z państwami arabskimi, na których zależy mu z powodów ekonomicznych i geopolitycznych.

– *W tym pierwszym przypadku Trumpowi chodzi o inwestycje, które mają popłynąć z bogatych krajów Zatoki Perskiej i rozruszać amerykańską gospodarkę* – uważa Walt. – *W drugim stawką jest spokój na Bliskim Wschodzie, potrzebny Ameryce, aby mogła skupić się na chińskim zagrożeniu. Spokoju tego nie da się jednak zapewnić wyłącznie za pomocą izraelskiej armii, potrzebna jest współpraca państw arabskich. Z tego punktu widzenia atak na Katar i inne izraelskie działania, w tym te w Strefie Gazy, są w jawnej sprzeczności z amerykańskim interesem.*

4 Jak więc rozumieć fakt, że Trump uważa Netanjahu za swojego jedynego sojusznika w polityce międzynarodowej? Prezydent USA jest przekonany, że bezwarunkowo popierając Izrael, zadowoli miliony swoich wyborców. Niekoniecznie amerykańskich Żydów, bo ci w swojej większości są zwolennikami Demokratów, ale przede wszystkim licznych chrześcijan ewangelikalnych, dla których pomyślność Państwa Izrael jest wypełnieniem bożego planu. Trump dokłada do tego swoją polityczną przekorę i tym bardziej popiera Netanjahu, im bardziej krytykuje go Partia Demokratyczna i amerykańska lewica.

Jest w tym oczywiście element politycznego populizmu, którego reguły Trump bardziej chyba wyczuwa, niż zna. Tylko czy tym razem instynkt go nie zawodzi? Jak pokazują najnowsze sondaże opinii, Amerykanie, i to po obu stronach politycznego konfliktu, mają coraz gorsze zdanie o Izraelu i jego przywódcy. Według sondażu Gallupa z lipca zaledwie 32 proc. Amerykanów popiera obecnie izraelskie działania militarne w Strefie Gazy – to spadek o 10 pkt proc. od września 2024 r. 52 proc. Amerykanów ma obecnie negatywny stosunek do Netanjahu.

Ale nie chodzi tu wyłącznie o wyborców Demokratów – Netanjahu dzieli już nawet ruch MAGA. Jedna z jego liderek, kongresmenka Marjorie Taylor Greene, oświadczyła niedawno: „Nie chcę płacić za ludobójstwo w obcym kraju przeciwko obcemu narodowi w obcej wojnie, z którą nie miałam nic wspólnego". Greene przywołała również cierpienie palestyńskich dzieci i powiedziała, że naród palestyński nie powinien być obwiniany za działania Hamasu. Podobnie konserwatywny komentator Tucker Carlson skrytykował administrację Trumpa za pobłażliwość wobec Izraela i wezwał ją do zaprzestania wspierania tego kraju.

To przesunięcie się amerykańskiej opinii publicznej w stronę bardziej krytyczną wobec działań Netanjahu już w przyszłym roku może Trumpowi poważnie zaszkodzić. W USA odbędą się wtedy tzw. wybory połówkowe (w połowie kadencji prezydenckiej) do Kongresu i chociaż prawdopodobnie ich głównym tematem będą sprawy gospodarcze, zdecydowane poparcie Trumpa dla Netanjahu i jego działań może okazać się obciążeniem – jeśli nie kamieniem u szyi – dla Partii Republikańskiej.

Długofalowe zmiany nastawienia Amerykanów są jeszcze bardziej niebezpieczne dla samego Izraela. Choć nabierają one tempa powoli, trudno będzie je odwrócić. Kiedy wyborcy zmieniają zdanie, polityczne tabu mogą nagle runąć. Nawet dziś niektórzy izraelscy analitycy obawiają się, że Joe Biden mógł być ostatnim instynktownie syjonistycznym prezydentem Ameryki. Izrael wiele więc ryzykuje. W obecnej sytuacji międzynarodowej nagła utrata poparcia ze strony Amerykanów byłaby katastrofą dla tego małego, 10-milionowego kraju położonego w bardzo niebezpiecznym sąsiedztwie.

5 Aby w tym kontekście zrozumieć działania Netanjahu, należy jednak pamiętać, że kampania w Strefie Gazy i kolejne ataki na sąsiadów mają dla niego osobiście wymiar egzystencjalny, co czyni go bardziej skłonnym do podejmowania ryzyka i nieoglądania się nawet na najbliższego sojusznika. W stosunku do Trumpa Izraelczyk regularnie stosuje zasadę „proś o wybaczenie, a nie o pozwolenie". I to działa. Kolejne, niekonsultowane z Waszyngtonem ataki Izraela na sąsiadów, bez względu na ich skuteczność czy sensowność, przynoszą zwyżki poparcia dla Netanjahu i przychylność Trumpa. Dlaczego?

Netanjahu działa wielotorowo. Nie tylko rozmawia z Trumpem w języku zwycięstwa, który tak podoba się Amerykaninowi. Regularnie rozmawia też w języku angielskim z amerykańskimi mediami – omija w ten sposób Waszyngton i dociera do politycznego zaplecza Trumpa oraz do jego wyborców, zachęcając ich do presji na Biały Dom.

Jednak przy wszystkich tych peanach nad talentami interpersonalnymi i komunikacyjnymi Netanjahu, przy jego niewątpliwej bezczelności politycznej i – cokolwiek mówić – silnej osobowości, warto pamiętać, że atak na hamasowców w Katarze zakończył się całkowitą porażką. Żaden z nich nie zginął, życie stracił tylko syn głównego negocjatora, co raczej nie pomoże w rozmowach. Nie pomógł też zapewne międzynarodowemu wizerunkowi Izraela.

Gdyby ta akcja zakończyła się sukcesem, tzn. zginęłaby w nim palestyńska delegacja, to Trump po prostu przypisałby zasługi sobie, nawet jeśli bombardowanie Kataru było zupełnie sprzeczne z amerykańskim interesem. On po prostu lubi zwycięzców. Bez względu na realne skutki tych działań wystarczy, że Netanjahu znów stanie na tle powiewających flag izraelskich i ogłosi kolejne zwycięstwo. Trump to lubi.

ŁUKASZ WÓJCIK

eprasa.pl 6b266ec372

O co tyle Zachodu

Nastaje era wielobiegunowego świata, a jego centrum przesunie się do Azji – przewiduje znawca Chin prof. Bogdan Góralczyk.

© DAVID GRAY/REUTERS/FORUM

JAKUB MAJMUREK: **– Chiny stają się dziś drugim, konkurencyjnym wobec Stanów Zjednoczonych biegunem światowego porządku?**

BOGDAN GÓRALCZYK: – Zajmuję się Chinami od pół wieku i od dawna ostrzegałem, że jest to potęga, z jaką Stany Zjednoczone nigdy nie zmierzyły się w całej swojej historii. Stary porządek międzynarodowy, jaki wyłonił się po upadku ZSRR, oparty na hegemonii USA, już faktycznie nie funkcjonuje. Dawno minęły czasy, gdy prawie wszyscy, w tym Federacja Rosyjska rządzona przez Jelcyna, podporządkowywali się amerykańskiej dominacji. Na razie nie mamy jeszcze żadnego nowego dwubiegunowego podziału, stary ład nie działa, nowy się nie wyłonił, znajdujemy się w geopolitycznym przeciągu. To, co się z niego wyłoni, zależeć będzie w dużej mierze od Chin, Indii i Rosji – bo niezależnie od tego, jak zakończy się wojna w Ukrainie, Rosja pozostanie ważnym ośrodkiem siły, głównie militarnej i nuklearnej.

W kwietniu w „Foreign Affairs" ukazał się artykuł o wymierzonej w Zachód „wywrotowej osi" (*axis of upheaval*), do której autorzy zaliczyli Chiny, Rosję i Iran. Faktycznie ukształtowała się taka oś?

Po pierwsze, nie ma dziś jednego Zachodu, tak jak nie ma jednej Polski. Nawet więzi transatlantyckie – to fenomen Trumpa – trzeszczą w szwach. Chińczycy powiadają, że czas chaosu to czas dobrych okazji. W domyśle – dla nich. Bo w swojej propagandzie prezentują się jako oaza spokoju i stabilności, gdzie w przeciwieństwie do Stanów i Europy Zachodniej nikt nie zabija znanego działacza politycznego – by nawiązać do ostatnich wydarzeń – i nie ma rozruchów na ulicach. Oczywiście my widzimy to inaczej.

Wracając do „wywrotowej osi" – Zbigniew Brzeziński w „Wielkiej szachownicy" już w 1997 r. przestrzegał, że koszmarem dla każdego amerykańskiego stratega będzie współpraca Chin, Rosji, Iranu i Korei Północnej. Dziś jesteśmy tego świadkami, zobaczyliśmy to w Chinach na początku września w trakcie parady z okazji zakończenia wojny z Japonią na placu Tiananmen. Przewodniczący Xi Jinping mówił, że „chiński renesans jest nieodwracalny" – co należy czytać jako sygnał dla Stanów i dla szeroko rozumianego Zachodu, że Chiny się nie będą cofać tam, gdzie w grę wchodzą ich kluczowe interesy.

Na przykład w kwestii Tajwanu?

Tak, ja stoję na stanowisku, że Xi Jinping otrzymał od partii mandat, by sprawując dożywotnio władzę, dokończyć proces zjednoczenia z Tajwanem. Jednocześnie w rywalizacji amerykańsko-chińskiej kluczowy nie jest wcale Tajwan, ale dominacja w nowych technologiach – i Amerykanie to już zrozumieli.

Kiedy porządek oparty na amerykańskiej dominacji zaczął się rozpadać?

To był proces. Wyróżniłbym tu cztery etapy. Pierwszy to wejście Chin do Światowej Organizacji Handlu w 2001 r., zresztą z poręki Amerykanów. Gdy Stany były zajęte wojną z terrorem po atakach 11 września, Chiny rosły gospodarczo w dwucyfrowym tempie rocznie. W 2010 r. wyprzedziły gospodarczo Japonię. Mentalnie to dla Chińczyków był taki przełom, jakim dla Polaków byłoby gospodarcze wyprzedzenie Niemiec.

Drugi przełomowy punkt to kryzys finansowy w 2008 r. W jego następstwie Stany tracą pozycję jedynego mocarstwa ▶

eprasa.pl 6b266ec372

▶ w gospodarce i handlu. Łączy się to ze wzrostem nie tylko Chin, ale także Indii. My w Polsce naprawdę nie doceniamy, jakie znaczenie ma renesans tych dwóch państw, każdego z populacją na poziomie 1,4 mld, reprezentujących jedne z najstarszych cywilizacji, teraz w fazie odrodzenia.

Jednak mimo sukcesów gospodarczych Chin i Indii Stany pozostały kluczowym światowym mocarstwem w poprzedniej dekadzie?

Tak, kluczowym mocarstwem we wszystkich innych dziedzinach, dość spojrzeć na listę noblistów, repertuar dowolnego kina na świecie albo dane dotyczące wydatków na zbrojenia. Natomiast w 2012 r. do władzy w Chinach dochodzi Xi Jinping – i to jest trzeci kluczowy punkt – i stopniowo wprowadza w kraju jedynowładztwo.

Pod jego władzą Chiny zaczynają się zachowywać na arenie międzynarodowej jak mocarstwo – wcześniej odbudowywały swoją potęgę po cichu. Przewodniczący Xi wyznacza serię celów dla Chin, w tym kluczowy cel na stulecie ChRL – do 2049 r. Chiny mają być znów „wielką kwitnącą cywilizacją", i to o „socjalistycznym charakterze", cokolwiek to miałoby znaczyć. Wtedy też rusza chińska Inicjatywa Pasa i Szlaku, wielkich inwestycji infrastrukturalnych i komunikacyjnych mających połączyć Eurazję, jak też inne kontynenty. Chiny zaczynają eksportować także kapitał – głównie w postaci inwestycji w porty, drogi, lotniska itd. Wchodzą z nimi także do Polski.

Eksportują już nie tylko tanie badziewie, ale i najbardziej nowoczesne technologie. Mają dominującą pozycję w produkcji metali ziem rzadkich, rywalizują ze Stanami w takich obszarach jak sztuczna inteligencja, komputery kwantowe, alternatywne źródła energii, nie mówiąc o kosmosie.

Jak reaguje Zachód?

I to jest właśnie czwarty punkt – przebudzenie Zachodu. Ok. 2015 r. amerykańskie ośrodki analityczne i wywiadowcze zaczynają dostrzegać, co się dzieje. Profesor Uniwersytetu Harvarda Graham Allison w książce „Skazani na wojnę?" ukuwa pojęcie „pułapki Tukidydesa", w której konflikt między dotychczasowym hegemonem a doganiającym go nowym mocarstwem może mieć globalne konsekwencje.

W 2017 r. dochodzi do władzy Trump. Chińczycy początkowo próbują się z nim porozumieć. Xi Jinping odwiedza go w Mar-a-Lago, a gdy potem Trump przybywa do Chin, to gospodarze organizują mu wizytę w zasadzie „cesarską". Nie udaje się jednak porozumieć, w marcu 2018 r. Trump zaczyna wojnę celną i handlową z Chinami, która nigdy, także w czasach Bidena, nie została odwołana. W 2019 r. do Stanów dołącza Komisja Europejska.

> W klasycznej chińskiej cywilizacji nie ma czterech kierunków świata, tylko pięć. Piąty jest środek, w środku są Chiny.

Zachód uznaje wtedy Chiny za strategicznego rywala. Zamiast na angażowanie się w Chinach zaczynamy stawiać na strategiczną rywalizację. To kluczowa zmiana. W Stanach panuje w tej kwestii konsens między Demokratami i Republikanami. Ten proces przyspiesza pandemia, która pokazała, jak bardzo kraje zachodnie są zależne od produkcji z Chin – widzieliśmy to też w Polsce, gdzie premier Morawiecki jechał na lotnisko, by odebrać transport chińskich maseczek. Następnie mamy pełnoskalową inwazję Rosji na Ukrainę i ona ostatecznie prowadzi do sytuacji, gdzie w miejsce starego porządku z jednym, amerykańskim hegemonem mamy rywalizację między starą potęgą a gwałtownie rosnącym pretendentem. Bo Chiny wspierają Rosję, bardzo cynicznie wykorzystując jej konflikt z Ukrainą, i nic nie wskazuje, by Europa, a nawet Stany były w stanie jakoś rozdzielić Moskwę i Pekin.

Gdzie w tym wszystkim jest Europa?

Niestety, jeśli chodzi o kluczową rywalizację amerykańsko-chińską w obszarze wysokich technologii, to Europy w ogóle w niej nie ma, o Polsce nie wspominając. Współczesna Europa, czyli Unia Europejska, jest dzieckiem końca historii. Tworzący UE traktat z Maastricht podpisano 8 lutego 1992 r., sześć tygodni po zdjęciu czerwonej flagi z Kremla. Kryteria kopenhaskie z 1993 r., określające warunki akcesji do Unii i jej wewnętrzną architekturę, zawierają zestaw aksjologiczny silnie oparty na prawach człowieka. Unia wyrosła jako mocarstwo aksjologiczne, normatywne, handlowe – co sprawia, że nowa rzeczywistość oparta na twardej sile i rywalizacji mocarstw, jaką wprowadzili Trump i Xi, jest dla niej tak wielkim wyzwaniem. Tym większym, że Trump, próbując wywołać w Stanach rewolucję konserwatywną, podważa demokrację liberalną, fundament Unii.

Europa od upadku ZSRR funkcjonowała pod trzema parasolami. Pierwszy – bezpieczeństwo– zapewniały Stany. Trump to dziś podważa, ale nikt inny niż USA nie zapewni bezpieczeństwa Europie. Europa musi więc walczyć o spoistość NATO, choć Trump nam tego nie ułatwia.

Drugi parasol zapewniały tanie surowce z Rosji budujące konkurencyjność europejskiego przemysłu, głównie niemieckiego. On przestał działać po inwazji Rosji na Ukrainę. Trzecim była współpraca z Chinami, które dostarczały Europie tanich towarów i stanowiły wielki rynek zbytu dla europejskiej produkcji przemysłowej, na czele z niemieckim przemysłem samochodowym. Dziś z tym parasolem też są problemy. Teraz to Chiny zalały światowe rynki swoimi samochodami elektrycznymi, często lepszymi i tańszymi niż europejskie. Stany naciskają, by Europa przyłączyła się do ich rywalizacji gospodarczej z Chinami, ale –przynajmniej w najbliższym czasie – Europa nie może zrezygnować z tej współpracy. Chiny z kolei bardzo chciałyby gospodarczo przyciągnąć do siebie Europę, odsuwając ją w ten sposób od Stanów, ale choć Europa jest tu mocno podzielona, to jej większość patrzy na te próby sceptycznie.

Jak wobec tej globalnej rywalizacji pozycjonują się państwa spoza Zachodu?

Wróćmy do początku września. Równie istotne jak parada z Putinem i Kim Dzong Unem na placu Tiananmen była wizyta premiera Indii Narendry Modiego na wcześniejszym szczycie Szanghajskiej Organizacji Współpracy. Relacje między Chinami i Indiami historycznie pozostawały napięte. Jeszcze w 2017 i 2020 r. mieliśmy starcia zbrojne na chińsko-indyjskiej granicy. Ale Trump nałożył na Indie cła w wysokości 50 proc., co rozwścieczyło Modiego, który pojechał do Chin i został tam oczywiście ciepło przyjęty. I teraz kluczowe pytanie brzmi: czy to taktyczny manewr, czy początek głębszej chińsko-indyjskiej współpracy, a jeśli tak, to jak długo będzie trwała i jak będzie głęboka, czy Trump wepchnie Indie w objęcia Chin? Zapewne na dłuższą metę nie, ale taktycznie tak właśnie jest.

eprasa.pl 6b266ec372

Chiny próbują ustawić się w roli lidera niezachodniego świata?

Od jakiegoś czasu bardzo świadomie angażują się w budowę alternatywnego porządku światowego, oferując nowe rozwiązania instytucjonalne. Najbardziej znany jest oczywiście BRIC, dziś to już nie tylko Brazylia, Rosja, Indie i Chiny, ale w sumie 10 państw, w tym roku dołączyła Indonezja, a Arabia Saudyjska i Nigeria są już praktycznie w przedsionku.

Drugim chińskim instytucjonalnym wyzwaniem dla Zachodu jest Szanghajska Organizacja Współpracy (SOW). Na początku września na ostatnim szczycie w Tiencinie gościło 30 delegacji. Wśród gości był prezydent Turcji Recep Tayyip Erdoğan. Czyli głowa państwa należącego do NATO, z drugą co do wielkości armią w Sojuszu. W 2024 r. do SOW przyjęto jako pełnoprawnego członka Białoruś, a chińscy żołnierze pojawili się na manewrach w Brześciu – na granicy Polski nasilała się wojna hybrydowa, zginął polski żołnierz. Kwestia tej granicy jest dziś ponownie na agendzie, co potwierdziła niedawna wizyta szefa chińskiej dyplomacji w Warszawie.

SOW wyłoniła się w 2001 r. jako forum chińsko-rosyjskiego dialogu, ciało mające rozstrzygnąć spory graniczne. Amerykanie zdefiniowali ją wtedy jako anty-NATO. To się potem zmieniło, gdy przyjęto do niej Indie i Pakistan, będące już wtedy mocarstwami atomowymi. Dziś w obliczu wszystkich geopolitycznych zawirowań Chiny bardzo się starają wzmocnić współpracę największych partnerów w ramach SOW.

Co Chiny mogą zaproponować państwom spoza Zachodu, czego nie może zaoferować im Zachód?

Ofertę handlową i inwestycyjną, która – co kluczowe dla wielu autorytarnych rządów – nie wiąże się z pytaniami o uwarunkowania wewnętrzne: prawa człowieka, demokrację itp.

Administracja Trumpa też chyba nie będzie o to pytać szczególnie dociekliwie.

Nie, Trumpa interesuje to, żeby z każdym krajem zrobić *big deal* wiążący się z wymierną korzyścią finansową dla Ameryki. Ale wobec celnych wojen Trumpa Chiny stają się atrakcyjne jako państwo, które jako jedyne jawnie mu się przeciwstawia. Gdy Trump ogłosił w kwietniu swoją tabelę ceł, Chińczycy odpowiedzieli ograniczeniami eksportu metali ziem rzadkich. Mają tu

Bogdan Góralczyk
(ur. 1954 r.) – prof. nauk społecznych, wykładowca Centrum Europejskiego Uniwersytetu Warszawskiego. Politolog, sinolog, hungarysta. Były ambasador RP w Tajlandii.

praktycznie monopol, a bez nich nie poleci żadne F-16 ani nie ruszy żaden samochód elektryczny. Do wojny celnej dołączyła więc wojna handlowa.

Jakiego nowego ładu międzynarodowego chciałyby Chiny?

Odkąd Xi Jinping doszedł do władzy, a zwłaszcza po 2019 r., Chiny lansują hasło „wspólnoty losów przyszłości całego świata". Czyli – w ich ocenie – wszyscy mamy żyć w konfucjańskim duchu współpracy i harmonii. W tym kontekście w imię otwartych rynków i współpracy przeciwstawiają się Trumpowi. W latach 2021–23 Xi Jinping ogłosił też trzy tzw. inicjatywy globalne: rozwojową, bezpieczeństwa i cywilizacyjną. Są w klasyczny chiński sposób niedoprecyzowane, jest w nich dużo słów i mało treści, a jednocześnie w oczywisty sposób stanowią wyzwanie dla porządku liberalnego. Choćby dlatego, że opierają się na zupełnie innych wartościach: na czele z suwerenną równością wszystkich państw, kładą nacisk na integralność terytorialną, zakładają świat bez „separatyzmów" i „terroryzmu".

Wielu obserwatorów, w tym ja sam, uważa, że to powrót do klasycznej chińskiej koncepcji *tianxia*. Dosłownie znaczy ona „wszystko pod Niebiosami", a metaforycznie oznacza świat, w którego centrum znajduje się cesarz Chin. Bo w klasycznej chińskiej cywilizacji nie ma czterech kierunków świata, tylko pięć. Piąty jest środek, w środku są Chiny, nad nimi jest niebo, a pod niebem panuje Syn Niebios, czyli cesarz – dziś Xi Jinping.

Jak w praktyce miałoby to wyglądać? Chiny mają najwięcej do powiedzenia na świecie, ale każdy autokrata sprawuje „suwerennie równą" władzę na swoim podwórku, granice otwarte dla towarów, ale nie dla idei?

Dokładnie tak. Z tym że ja nie wierzę, żeby po Pax Americana nastała Pax Sinica. Chiny są na to zbyt wsobną cywilizacją. Ich język, kultura, pismo nigdy nie staną się uniwersalne. Przywódca postkolonialnego Singapuru, Chińczyk z pochodzenia i uważny obserwator Chin Lee Kuan Yew mówił, że Chiny będą mocarstwem wielkim, ale nie uniwersalnym, choćby dlatego, że nie posługują się globalnym językiem, jak angielski czy francuski.

Ja też nieustannie powtarzam, że dziś wielkim zagrożeniem dla Chin jest jedynowładztwo Xi Jinpinga. On w dużej mierze rozmontował ograniczenia, jakie wcześniej Deng Xiaoping wbudował w chiński system, a jak pokazuje wiele przykładów w historii, jedynowładztwo rzadko przynosi cokolwiek dobrego, o czym Chiny też się wielokrotnie przekonały, ostatnio w czasach Mao.

Chiny mają swoją ideologię na eksport? Swoją *soft power*?

Nie eksportują dłużej swojej rewolucyjnej ideologii jak za Mao, czego konsekwencje oglądaliśmy w Kambodży Pol Pota. Dziś przedstawiają się przede wszystkim jako mocarstwo najnowocześniejszych technologii, wielkich inwestycji infrastrukturalnych, to ma być ich *soft power*.

Co w takim razie, jeśli nie Pax Sinica, może zastąpić Pax Americana?

Czeka nas jakaś forma wielobiegunowego świata. Pytanie tylko, czy będzie harmonijny, czy nie. Czy powstanie jakiś globalny odpowiednik systemu, jaki ukształtował się w Europie po kongresie wiedeńskim, zdolnego ograniczać konflikty i rozwiązywać je bez gorących wojen; czy czeka nas chaos, zawierucha, konflikty graniczne, wojny między państwami, domowe i rewolucje, bo z tym na ogół wiąże się upadek imperiów.

Rozmawiamy, gdy trwa wojna w Ukrainie. Nie wiemy, kiedy i w jaki sposób się zakończy. A to od tego będzie zależeć nowy porządek bezpieczeństwa europejskiego, a być może euroatlantyckiego. Jeśli z tego przeciągu wyłoni się jakiś uporządkowany ład, to można z dużą pewnością założyć, że nie będzie zdominowany przez Zachód. I to jest największa zmiana, jaka jeszcze przed nami.

W Polsce nie jesteśmy do tego przygotowani. Mamy robiący świetną pracę Ośrodek Studiów Wschodnich, nie mamy podobnej instytucji, która zajmowałaby się Chinami, Indiami, Koreą, krajami ASEAN. A to tam coraz bardziej przesuwa się centrum świata.

ROZMAWIAŁ JAKUB MAJMUREK

© KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI/FORUM

eprasa.pl 6b266ec372

Pierwsza wdowa

Wykorzystując męczeńską sławę męża, Erika Kirk, dawna Miss Arizony, będzie chciała poprowadzić własną krucjatę.

TOMASZ ZALEWSKI
Z WASZYNGTONU

Nie pasuje do stereotypu skrajnej antyfeministki. Woli mówić o „ożywieniu biblijnej kobiecości".

Zapowiadane jako żałobna uroczystość religijna pożegnanie w Arizonie zamordowanego w zamachu lidera prawicowej amerykańskiej młodzieży Charliego Kirka przekształcało się w polityczny wiec za sprawą pomstującego na liberałów Donalda Trumpa i jego pretorianów. I zapisałoby się w kronikach w tak niechlubny sposób, gdyby nie wystąpienie żony Kirka, Eriki, prawdziwej gwiazdy wieczoru. Wdowa po zmarłym przemawiała w tonacji chrześcijańskiej pokory, emanując jednocześnie pewnością siebie, a jej, ogłoszone ze szlochem, przebaczenie mordercy stało się kulminacją wielkiego stadionowego show.

Jednak wyrażona na tej samej uroczystości deklaracja prezydenta, że „nienawidzi" swoich wrogów i nie będzie im pobłażać, mogła wzbudzić podejrzenia, iż w prawicowej Ameryce mamy do czynienia ze swoistym podziałem ról. Tak w każdym razie, w konwencji „złego i dobrego gliny", komentowała wydarzenia na ceremonii Amanda Marcotte z portalu salon. com. Oto samiec alfa, jakim według MAGA powinien być mężczyzna, walczy z wrogami brutalnie, bo inaczej nie można, a kobieta osładza atmosferę, okazując miłość i współczucie.

Kierownictwo Turning Point USA, megaorganizacji młodych konserwatystów założonej przez Kirka, po jego zabójstwie jednogłośnie mianowało Erikę jej przywódczynią. Chciał podobno tej sukcesji sam Charlie. Nowa szefowa zapowiedziała kontynuację misji męża, który przez 18 lat agitował na rzecz konserwatywnych idei w swych programach radiowych, w internecie i na spotkaniach w szkołach i uniwersytetach. Charyzmie Kirka przypisuje się przeciągnięcie na stronę prawicy tysięcy młodych mężczyzn, co przyczyniło się do wygranej Trumpa w wyborach. Erika wyraziła nadzieję, że trafi z jego przesłaniem do młodych kobiet, którym w większości bliżej do Demokratów. Wyruszy w tym celu, jak on, na kampusy. Jakie ma szanse?

Urodziła się 36 lat temu w Ohio. Kiedy miała kilka lat, rodzice się rozwiedli. Matka, Lori Frantzve, długoletnia pracownica General Electric, przeprowadziła się do Arizony, posłała córkę do katolickiej szkoły i wychowywała ją na chłopczycę, od małego wdrażając do samodzielności, uprawiania sportu i zajęć tradycyjnie uważanych za męskie. Na Uniwersytecie stanu Arizona Erika studiowała nauki polityczne i stosunki międzynarodowe, i zrobiła tam stopień bakałarza (BA). Na ewangelikalnym Uniwersytecie Liberty ukończyła prawo z dyplomem magistra (MA) i na tej samej, słynącej z religijnego nauczania uczelni pracuje nad doktoratem ze studiów biblijnych.

W 2012 r. zdobyła tytuł Miss Arizony i chociaż udział w konkursie Miss USA nie był już tak udany, poznała tam współwłaściciela korporacji Miss Universe, Donalda Trumpa. Korona prowincjonalnej piękności stała się trampoliną do wielkiego świata i startu na biznesowym rynku w metropoliach. Założyła firmę Proclaim sprzedającą odzież z motywami religijnymi, występowała jako modelka w telewizyjnych reklamach, pojawiła się w reality tv i pracowała jako agentka handlu nieruchomościami. W 2019 r. poznała

eprasa.pl 6b266ec372

w Nowym Jorku młodszego o pięć lat Charliego Kirka. Umówił się z nią, by zaproponować posadę, ale spotkanie okazało się początkiem romansu. Pobrali się dwa lata później. Ginąc od kuli mordercy, Charlie osierocił ich dwoje dzieci.

Wobec jego tragicznej śmierci rodzinna sukcesja przywództwa TPUSA wydaje się naturalna, ale jaką liderką okaże się Erika, pozostaje niewiadomą. W organizacji były i są kobiety znane od dawna z agitacyjnej działalności w telewizji i internecie, jak Alex Clark czy Candace Owens. Erika Kirk nie wypowiadała się szerzej na tematy najważniejsze dla amerykańskiej prawicy. Wygląda na to, że będzie przede wszystkim eksponować siebie jako przykład ilustrujący ideał kobiety promowany przez jej męża i całą konserwatywną Amerykę.

Kiedy poznała Kirka, zrezygnowała z dalszej zawodowej kariery – a odnosiła sukcesy w biznesie – i całkowicie oddała się roli żony i matki. Nazywała to „ożywieniem biblijnej kobiecości". „Nieprzyjaciel pragnie ci wmówić, że czas ucieka, ale zawsze będziesz mogła robić karierę, a tymczasem dzieci, rodzina, twój mąż, małżeństwo to nie są zasoby odnawialne. Nie odwlekaj na później wiecznego na rzecz doczesnego, nie poświęcaj świętości dla świeckości, bo nie warto" – mówiła w czerwcu na zjeździe młodych liderek.

Było to echo liczącej sobie pół wieku apologii patriarchatu, reakcji na ruch wyzwolenia kobiet. Antyfeministki pod wodzą takich postaci jak nieżyjąca już Phyllis Schlafly czy Peggy Noonan (speechwriterka Ronalda Reagana) odradzały Amerykankom pracę poza domem i przygody z polityką. Na lewicy pojawiły się już głosy ostrzegające, że Kirk, tak jak one, propaguje powrót do modelu kobiety jako kury domowej.

Erika może się jednak okazać trudnym celem ataku. Podkreśla, że nie wzywa kobiet do bezwarunkowego podporządkowania się mężom, bo mają być ich partnerkami i „pomocnicami". Używa nowoczesnego języka. Nie pasuje do stereotypu skrajnej antyfeministki. Budzi – na razie przynajmniej – sympatię. Nie tylko wynikającą ze współczucia po tragedii, lecz i dlatego, że unikała zajadłych i prowokacyjnych wypowiedzi.

Sprzyja jej ogólny klimat nastrojów w Ameryce. Od kilku dziesięcioleci obserwuje się tam znane też z Europy trendy kulturowo-demograficzne. Spada liczba małżeństw i rodzących się w nich dzieci. Przybywa Amerykanów deklarujących, że nie chcą mieć potomstwa. Coraz mniej jest nawet związków partnerskich i seksu w takich relacjach. Coraz więcej ludzi mieszka samotnie. Mężczyźni rzadziej z własnego wyboru niż kobiety – stąd m.in. epidemia narkotyków, depresji, samobójstw i skłonność do przemocy. Tylko dzięki imigracji – ostatnio hamowanej przez Trumpa – ludność USA nie starzeje się tak szybko jak w Europie.

Sytuacja ta mało kogo cieszy. Tym zapewne tłumaczyć można nostalgię za przeszłością oraz niechęć większości Amerykanów do forsowanej przez lewicę wczesnej edukacji o komplikacjach z seksem. A także zahamowanie w ostatnich latach trendu słabnącej religijności, mierzonej frekwencją w kościołach. Dotyczy to zwłaszcza katolicyzmu, wyznania Eriki Kirk i prominentnych polityków prawicy.

Nie musi to oznaczać, że nowa przywódczyni TPUSA będzie z powodzeniem przekonywać młode kobiety do konserwatywnego światopoglądu. Wątpliwe w każdym razie, czy nakłoni je do zmiany myślenia o mężczyznach, małżeństwie, rodzeniu dzieci i aborcji. „Charlie Kirk miał charyzmę, pieniądze, organizację. Oferował studentom fantazję męskiej dominacji. Jego słuchacze nie zaakceptują kobiety w fałszywej roli samca alfa" – pisze Marcotte.

To, co udawało się Charliemu, może się nie udać Erice także z bardziej prozaicznych powodów. Przyczyny kryzysu rodziny w USA są nie tylko kulturowe – również ekonomiczne. Inaczej niż w niezbyt dalekiej przeszłości, gdy w klasach średnich same zarobki mężczyzn wystarczały z reguły na utrzymanie rodziny, współczesne Amerykanki pracują zwykle poza domem z konieczności. W warunkach zglobalizowanego kapitalizmu na luksus ograniczenia się wyłącznie do roli żony i matki stać tylko kobiety z klas najzamożniejszych.

Turning Point USA to ogromna organizacja licząca 250 tys. członków. Jest obecna w licznych college'ach i szkołach średnich we wszystkich 50 stanach. Od początku istnienia zebrała – według oficjalnych danych – ponad 400 mln dol. Po śmierci Kirka jest zasypywana lawiną wniosków o utworzenie nowych jej oddziałów – oznajmił rzecznik TPUSA Andrew Kolvet. Jeśli przesadza, to tylko trochę – każdy masowy ruch aspirujący do rządu dusz wzmacnia się i zyskuje wyznawców, jeśli dorobi się męczennika. Potwierdzają to sygnały w cybersieci. Po zamachu w Utah religijna prawica triumfuje.

Jednak organizacja Eriki Kirk rośnie nie zawsze spontanicznie. W rządzonej przez Republikanów Oklahomie miejscowy superintendent szkół Ryan Walters ogłosił plan otworzenia oddziałów TPUSA we wszystkich stanowych szkołach, aby – jak powiedział „Guardianowi" – ukrócić „lewicową indoktrynację" praktykowaną przez „radykalne związki zawodowe nauczycieli". Komórki organizacji mają zwalczać pedagogikę woke, okłamującą dzieci w sprawie amerykańskiej historii (czytaj: wyciszać zbyt głośne nauczanie o niewolnictwie i segregacji rasowej). A jeśli jakieś szkoły odmówią ich założenia, władze stanu cofną im akredytację. Innymi słowy, oddziały TPUSA mają powstawać obowiązkowo. Ciekawe, czy w ślady Oklahomy pójdą inne stany.

Wzrost solidarności i poparcia dla ruchu Kirka liderzy konserwatywni nagłaśniają jako dowód nowego „religijnego odrodzenia", którego fale powracają co jakiś czas w amerykańskiej historii. Najnowsza jest specyficzna – to fuzja amerykańskiego ewangelikanizmu z ideologią MAGA, nazywana chrześcijańskim nacjonalizmem. Religijna prawica od czasu Moralnej Większości pastora Jerry'ego Falwella dryfuje ku polityce, mieszając język wiary z retoryką patriotyzmu i szukając wsparcia państwa w walce z zarazą liberalizmu. Ewangelikanie podpisali swoisty pakt z diabłem, bo zawarli sojusz z prezydentem, który złamał większość z dziesięciorga przykazań, a niektóre łamie codziennie. Przymierze z Trumpem zmusza do moralnych kompromisów i zaprzeczania zasadom nauki chrześcijańskiej, poprzez np. traktowanie nieudokumentowanych imigrantów jako przestępców.

Erika Kirk, jak powiedział Todd Belt, politolog z Uniwersytetu Waszyngtona, „ku zadowoleniu Republikanów destygmatyzuje połączenie wiary z polityką". Swoim wystąpieniem na uroczystości ku czci męża przywódczyni jego organizacji przykuła uwagę wielu ludzi, także dalekich od Kościoła. Znawcy tematu ostrzegają jednak, że upolitycznienie nigdy nie wychodzi religii na dobre, a i politykę potrafi uczynić bardziej brutalną. ■

© MICHAEL STEWART/WIREIMAGE/GETTY IMAGES, WIN MCNAMEE/GETTY IMAGES

eprasa.pl 6b266ec372

Dopiero niedawno uczeni potwierdzili, że delfiny robią „to", bo lubią

Nauka długo unikała tematu żeńskiego orgazmu. Zwłaszcza u samic należących do innych niż człowiek gatunków. To się zmienia. Powoli.

Anatomia orgazmu

MARTA ALICJA TRZECIAK

Najpierw twierdzono, że w pozaludzkim świecie nie istnieje coś takiego jak żeńska przyjemność z seksu. Przyrodnikom, którzy obserwowali zachowania zwierząt w naturalnym środowisku, coraz trudniej było jednak udawać, że tematu nie ma. Kto widział ekspresję twarzy szympansicy bonobo, gdy uprawia seks lub się masturbuje, ten dwa razy się zastanowi, zanim powie, że nie odczuwa ona przyjemności. Stopniowo przybywało więc obserwacji i danych, ale ich analizą i interpretacją w zasadzie nikt się nie zajmował. Skrótowy opis behawioru seksualnego samic pojawiał się najwyżej na końcu prac naukowych – raczej jako ciekawostka, dodatek do „prawdziwej" nauki, czyli tej sprowadzającej żeński rozród do sumy potomstwa urodzonego, wykarmionego i wypuszczonego w świat. Słowem: uważano, że orgazm samic nie jest wystarczająco ważnym zagadnieniem, by się nim zajmować naukowo.

Łechtaczka delfinów

Pierwsze opisy samic delfinów pochodzą z pism zoologicznych Arystotelesa (IV w. p.n.e.). Uczony zaobserwował, że osobniki żeńskie rodzą młode i karmią je mlekiem, a także są bardzo społeczne. Jego „Historia animalium" zawiera wiele konkluzji dotyczących układów ciała tych zwierząt, nie ma w niej jednak opisów sekcyjnych – tych filozof najprawdopodobniej na waleniach nie przeprowadzał.

Przekroje tkanek delfinów oraz analizy anatomiczne ich narządów zaczęto wykonywać w XVI i XVII w. U osobników żeńskich opisywano macicę oraz – w przypadku ciąży – położenie płodu i łożyska, a także budowę i zawartość gruczołów mlekowych. Pierwsza szczegółowa autopsja, która spełniała

eprasa.pl 6b266ec372

współczesne kryteria badania sekcyjnego, została przeprowadzona na samicy delfina w 1729 r. przez uczonych z The Royal Society. Badacze opisali budowę jajników, jajowodów, macicy i odbytu. Niczego więcej, co byłoby godne uwagi, w tych okolicach nie znaleźli.

Potrzeba było niemal 300 lat, by naukowcy zainteresowali się jeszcze jednym elementem, który znajduje się w obszarze genitalnym. W 2022 r. na łamach „Current Biology" ukazała się publikacja dotycząca delfiniej łechtaczki. Czytając tę pracę, ma się wrażenie, że została napisana kilkaset lat temu – przedstawia bowiem schematy i opisy unerwienia czy ukrwienia, które dla żołądków, płuc, serc tworzono za czasów Wesaliusza. W roku, w którym ukazała się ta publikacja, ludzkość wysłała w kosmos największy i najbardziej zaawansowany teleskop w historii, medycy wydrukowali pacjentce ucho w drukarce 3D, a tymczasem jedno z czołowych czasopism naukowych opublikowało artykuł, którego autorzy ogłaszali: znaleźliśmy dowody na to, że łechtaczka delfinów naprawdę istnieje i działa.

Warto tu dodać, że narząd ten był przez lata pomijany w badaniach bynajmniej nie dlatego, że łatwo go przeoczyć. Autorzy najnowszej pracy piszą, że jest on „duży, dobrze rozwinięty i wyraźny – położony tuż przy wejściu do pochwy". Ma „wydatną żołądź, napletek i dobrze wykształconą tkankę jamistą". Ta ostatnia, kiedy nie jest nabrzmiała, ma pojemność ok. 3,5 ml, czyli jest mniej więcej wielkości winogrona, ale może się znacząco powiększyć podczas erekcji łechtaczki. „Nasze badania anatomiczne ukazują złożony narząd, który wykazuje wiele podobieństw do łechtaczki innych gatunków, o których wiadomo, że odczuwają przyjemność seksualną, w tym człowieka – podsumowują naukowcy. – Analiza sugeruje, że samice delfinów najpewniej odczuwają przyjemność, gdy ich łechtaczka jest stymulowana podczas kopulacji, zachowań homoseksualnych czy masturbacji".

Dlaczego autorzy czuli się w obowiązku nie tylko opisać anatomię łechtaczki, ale też podkreślić, że jest ona narządem w pełni funkcjonalnym? Ponieważ niektórzy badacze w to wątpili, mimo że pozarozrodcze zachowania seksualne obserwowano u samic tych zwierząt już od dawna. Pierwsze wiarygodne doniesienia naukowe na temat delfinic pocierających sobie nawzajem łechtaczki za pomocą dziobów, płetw czy ogonów pochodzą z 1999 r. Dopiero po 23 latach uczeni przeszli od „nie wiadomo, po co one to robią" do „robią to, bo lubią".

Orgazm samic

Skoro zdobywanie wiedzy na temat anatomii i fizjologii podstawowych żeńskich narządów szło tak opornie, to co dopiero prowadzenie badań nad samiczym orgazmem. Biolodzy, zwłaszcza ewolucjoniści, przez wiele lat zamiatali ten temat pod dywan, ponieważ nie pasował im do tabelek rozrodczych i adaptacyjnych. Stwierdzali, że to samczy orgazm ma mieć wartość przystosowawczą, ponieważ (zazwyczaj) towarzyszy mu ejakulacja. Męska przyjemność ma być więc bramą do ewolucji, przekazuje bowiem materiał genetyczny dla przyszłych pokoleń. Czyli: istnieje, bo jest biologicznie wzmacniana.

Dla orgazmu żeńskiego takiego samego wyjaśnienia nie znajdowano. Jeszcze dwie dekady temu wielu badaczy uważało, że jeśli czerpanie przyjemności z seksu jest u samic w ogóle możliwe, to stanowi „produkt uboczny" mechanizmów występujących u samca. Skąd taki pomysł? Na początkowych etapach życia prenatalnego zarodki obojga płci rozwijają się według tego samego planu, a ich narządy rozrodcze pochodzą od tych samych prekursorów. Zarówno łechtaczka, jak i penis rozwijają się z tzw. guzka płciowego. Zatem – zgodnie z pokrętną logiką – męski płód „musi" zostać wyposażony w zdolność do przeżywania orgazmu, ponieważ będzie stał na straży ewolucji. Żeńskie narządy zyskują zaś tę zdolność tylko dlatego, że wywodzą się z tych samych struktur, co penis czy moszna. Tłumacząc prościej: wedle tej hipotezy łechtaczka, czyli jedyny znany narząd, który nie ma innej funkcji poza dostarczaniem przyjemności, powstała, ponieważ samce potrzebują orgazmu do reprodukcji.

W tym rozumowaniu kryje się wiele błędów. Po pierwsze, nie każde zjawisko czy struktura powstaje „po coś". Ewolucja nie działa przez pryzmat celu, lecz skutku. Jeśli nie ma wystarczającej presji, by coś utracić, najpewniej zostanie to zachowane. Na przykład czkawka nie pełni już swojej pierwotnej funkcji adaptacyjnej (u naszych przodków sprzed setek milionów lat „przepuszczała" wodę przez skrzela, a jednocześnie zamykała głośnię, zapobiegając zalaniu płuc), a jednak wciąż każdy jej czasem doświadcza. Po drugie, nie wszystko, co dotyczy genitaliów, musi mieć funkcję rozrodczą. Tak się po prostu składa, że ta okolica jest bardzo dobrze unerwiona, więc niektóre zwierzęta wykorzystują to na swoją korzyść (POLITYKA 43/23). Po trzecie, seks jest formą interakcji i komunikacji. Za jego pomocą można nie tylko się rozmnażać, lecz także testować partnera czy partnerkę: weryfikować jego/jej kompatybilność, kondycję, zaradność. W takim ujęciu orgazm byłby podręcznikowym elementem doboru płciowego – na pewno mniej „bezsensownym" niż strojny pawi ogon czy taniec godowy rajskich ptaków.

Niezależnie jednak od tego, czy żeński orgazm pełni obecnie jakąś funkcję reprodukcyjną, czy też nie, skądś musiał się wziąć. Skąd? Ciekawa propozycja odpowiedzi pojawiła się sześć lat temu.

Podniecenie kotek

Naukowcy z Yale i University of Cincinnati zamieścili w PNAS pracę, w której przedstawiają hipotezę, że ewolucyjne początki orgazmu można streścić hasłem „Nie ma dobrego seksu – nie ma płodności". Inspiracją były badania z udziałem zwierząt, u których występuje tzw. owulacja prowokowana. Polega na tym, że organizm samicy uruchamia proces jajeczkowania tylko wtedy, gdy jej ciało zostanie pobudzone seksualnie.

Takie zjawisko występuje np. u **kotów**. Wyrzut LH, czyli hormonu luteinizującego, powodującego pęknięcie pęcherzyka jajnikowego i uwolnienie komórki jajowej, zachodzą u kotek dopiero po zbliżeniu, i to rzadko jednorazowym. Wielokrotne krycia, zwykle z kilkoma partnerami, skutkują większym i dłużej utrzymującym się skokiem LH. To z kolei zwiększa szansę na owulację i na uwolnienie kilku oocytów z pęcherzyków. Ile dokładnie seksu potrzeba, by doprowadzić do jajeczkowania – to kwestia indywidualna.

Jak wykazali w 2024 r. naukowcy z Uniwersytetu Padewskiego, niektóre kotki są tak pobudliwe, że same bodźce sensoryczne (podniecający zapach, dotknięcie okolic kroczowych ▶

© ALAMY STOCK PHOTO/BE&W, MARK TAYLOR/BE&W

eprasa.pl 6b266ec372

▶ i grzbietowych) uwalniają u nich efektywny wyrzut hormonów. Innym osobniczkom takie subtelne oddziaływania nie wystarczają – potrzebują wielu kopulacji, i to jak najczęściej, bo inaczej LH nie osiągnie u nich odpowiedniego poziomu i spadnie po każdym pojedynczym kryciu tak szybko, że jajniki nie zdążą na niego zareagować – dowiedli zaś badacze z Cornell University. Ustalili także, że przeciętna kotka w rui potrzebuje ok. 2–3 kopulacji na godzinę, by efektywnie jajeczkować.

Jeszcze bardziej wymagające są samice **rosomaków**, u których – jak wykazały badania prowadzone w University of Idaho i Northwest Trek Wildlife Park – owulacja jest uruchamiana wyłącznie po udanym seksie, spełniającym bardzo konkretne wymagania. Aby u partnerki doszło do jajeczkowania, samiec powinien stymulować łechtaczkę i szyjkę macicy, ale nie ścianę pochwy. Ta ostatnia jest bardzo podatna na zranienia i infekcje, dlatego w okresie rui ulega zrogowaceniu, czyli pokrywa się grubym naskórkiem, który zapobiega otarciom. Aby wywołać optymalny efekt, penis samca powinien być więc dość cienki, ale zarazem długi i sztywny. I rzeczywiście taki jest – przez całą jego długość biegnie kość, która utrzymuje narząd w odpowiedniej pozycji. Na samym końcu znajduje się natomiast wydatna i sprężysta żołądź, która podczas seksu kontaktuje się z szyjką macicy partnerki.

Chemia wielbłądów

U niektórych gatunków nie fizyka jest „językiem" seksu. U wielbłądowatych (lamy, alpaki, **wielbłądy**) mechaniczne oddziaływanie, czyli tarcie, nacisk czy poślizg, ma znaczenie drugorzędne. Podobnie jak koty czy rosomaki zwierzęta te jajeczkują dopiero po kopulacji. Kluczowa jest tu jednak nie sama penetracja, lecz wymiana ściśle określonych związków chemicznych. Samice wielbłądów reagują na substancje zawarte w nasieniu partnerów, zwłaszcza na tzw. czynnik beta-NGF. To niezwykłe białko, które – jak dowiodły badania opublikowane kilka lat temu w „Animal Frontiers" i „Reproduction, Fertility and Development" – po kopulacji i ejakulacji dostaje się do żeńskich dróg rodnych, skąd przenika do krwi i dalej do ośrodkowego układu nerwowego samicy. W jej mózgu beta-NGF wpływa bezpośrednio na neurony odpowiedzialne za wydzielanie gonadoliberyny (GnRH) i hormonu luteinizującego (LH), czyli dwóch związków uruchamiających owulację. To oznacza, że komórki nerwowe samicy traktują składnik spermy samca niemal jak neuroprzekaźnik, który inicjuje płodność.

Podobny mechanizm działa u samic koali. Jak wstępnie wykazano w 2004 r. i potwierdzono w 2016 r., stają się one płodne, tylko jeśli wejdą w kontakt ze związkami zawartymi w nasieniu samca. Fizyczna stymulacja genitaliów nie wywołuje u nich żadnego efektu. Ich obojętność na bodźce mechaniczne jest tak daleko posunięta, że do wywołania owulacji penetracja w ogóle nie jest im potrzebna. Kiedy dodano składniki spermy (same związki chemiczne, bez plemników) do surowicy samic, efekt aktywacyjny był u nich taki sam jak po naturalnym kryciu.

Owulacja prowokowana wyjaśnia więc ewolucyjne pochodzenie żeńskiego orgazmu. To rozwiązanie, zdaniem naukowców stosowane kiedyś przez wszystkie samice, przez miliony lat uległo wielu modyfikacjom. Niektóre gatunki nadal uzależniają płodność od udanego seksu. Inne wykorzystują erotyczną przyjemność do innych celów, chociażby społecznych.

Bogactwo tych rozwiązań uczy naukowej pokory i pokazuje, że erotyczna norma może być bardzo odmienna u różnych gatunków. A trzeba podkreślić, że wielbłądy, delfiny, rosomaki czy koale to ssaki, czyli nasi bliscy krewni, których emocje i intencje na poziomie intuicyjnym pojmujemy dość dobrze. Jak wygląda seksualność innych, odległych od nas taksonów? Może być bardziej złożona, niż nam się to wydaje. Trzy lata temu wykazano np., że węże posiadają łechtaczki. Autorki odkrycia – badaczki z University of Adelaide – opublikowały w „Proceedings of The Royal Society B" szczegółowy opis tego narządu wraz z wynikami tomografii komputerowej, która ujawniła obecność dobrze wykształconych ciał jamistych umożliwiających łechtaczce wzwód. Uważają, że jest ona wykorzystywana do swego rodzaju gry wstępnej. Przed kopulacją partnerzy często owijają się wzajemnie i wykonują ciałami pulsujące i/lub ocierające ruchy. Według autorek ich celem jest m.in. stymulacja łechtaczki. Podobne struktury ma też wiele żółwi, jaszczurek, a także kazuary, strusie czy ptaki kiwi.

Seksualność zwierząt

Odkrycie łechtaczek u gadów czy opisanie pettingu delfinic poszerza wiedzę o seksualności samic. Droga przed nauką jeszcze jednak daleka, a kroki, jakie na niej stawia, są bardzo chwiejne. Z jednej strony opisywanie behawioru innych gatunków z pominięciem ich życia erotycznego uniemożliwia zrozumienie motywów, które nimi kierują, i potrzeb, jakie mają. Z drugiej – przypisywanie im ludzkich intencji i przenoszenie na nie ludzkie stany emocjonalne szkodzi nie tylko nauce, ale też samym zwierzętom.

Tymczasem dotychczasowe badania nad seksualnością samic przypominały szukanie ludzkich luster. Zwłaszcza jeśli u jakiegoś gatunku stwierdzono coś, co występuje również u człowieka (np. łechtaczkę, masturbację, grę wstępną). Chcąc dowieść, że łechtaczka delfinów nie jest bezużyteczną atrapą, badacze starali się wykazać, że ma podobny schemat budowy jak u człowieka. Ten sposób postępowania sprawdza się u niektórych taksonów – tych, które są z nami spokrewnione i/lub żyją podobnie jak my. Zdecydowana większość zwierząt na Ziemi ma jednak zupełnie inną budowę czy fizjologię. Czy jeśli w ich okolicach genitalnych nie mają ciał jamistych, to nie mogą odczuwać przyjemności z seksu?

Być może nigdy nie uda się odpowiedzieć na pytanie, czy wielbłądzica dobę po seksie (bo tyle właśnie czasu mija od kopulacji do aktywacji jej neuronów i owulacji) odczuwa w mózgu coś w rodzaju „chemicznego" szczytowania. Albo czy orgazm łechtaczkowy węża jest podobny do ludzkiego. To jednak nie znaczy, że lepiej zrezygnować z badania tego tematu. Jak mawiał Carl Sagan, w nauce chodzi nie tylko o zdobywanie wiedzy, lecz także o stawianie odważnych pytań. Dokładnie tak jak w seksie.

MARTA ALICJA TRZECIAK

© ALAMY STOCK PHOTO/BE&W, DOMINIC BYRNE/ALAMY STOCK PHOTO/BE&W

eprasa.pl 6b266ec372

Spadające odpady

Na niskiej orbicie okołoziemskiej znajdują się setki milionów obiektów. Każdy może się okazać większym lub mniejszym problemem.

OLAF SZEWCZYK

© SHUTTERSTOCK

Był rześki poranek 22 stycznia 1997 r., gdy Lottie Williams, spacerując z przyjaciółmi po parku w Turley, ujrzała na niebie jasny rozbłysk, a chwilę później spadającą gwiazdę. Kronikarze nie odnotowali, jakie pomyślała wtedy życzenie, ale można założyć, że nie prosiła o to, by obiekt spadł prosto na nią. Był to niemal 13-centymetrowy kawałek czegoś, co wyglądało jak wysuszony poczerniały liść, ważący nie więcej niż pusta puszka po napoju. Dzięki dużej powierzchni przy małej wadze przybysz z niebios mógł opadać powoli, a pani Williams nic się nie stało. Przedmiot odbił się od ręki i spoczął w trawie.

Był to wykonany z włókna szklanego fragment drugiego stopnia rakiety Delta II, która dziewięć miesięcy wcześniej wyniosła na orbitę satelitę Sił Powietrznych USA i odtąd okrążała planetę stopniowo coraz niżej. Deformacja i osmalenie to skutek temperatury co najmniej 1,2 tys. st. C, do jakiej został podgrzany w trakcie niekontrolowanego wejścia w atmosferę. Kawałki rakiety opadły na Oklahomę i Teksas.

Lottie miała szczęście, ale prawdziwym fartem może się pochwalić farmer spod Georgetown. Na jego ranczo spadł – zaledwie 50 m od domu – największy fragment rzeczonej rakiety: zbiornik paliwa o masie ćwierci tony.

Znacznie mniej powodów do radości miała załoga frachtowca „Dai Chi Chinei", który 5 czerwca 1969 r. przepływał przez wąską zatokę między wybrzeżem syberyjskiego Kraju Chabarowskiego a wyspą Sachalin. Jakiego trzeba mieć pecha, by statek kosmiczny uderzył w taką łupinę? Pływająca jednostka doznała poważnych uszkodzeń, a pięciu członków załogi zostało ciężko rannych. Szkody prawdopodobnie spowodowała rakieta, nad którą Sowieci stracili kontrolę na wczesnym etapie lotu. Oficjalnie się do niej nie przyznali, ale wysłali dwa okręty, by zebrały szczątki.

Wzrost planowany

Odkąd 4 października 1957 r. na orbitę trafił sztuczny satelita Sputnik 1, robi się na niej coraz ciaśniej. W samym tylko 2024 r. wystrzelono ▶

eprasa.pl 6b266ec372

▶ 263 rakiety (258 z sukcesem). 70 proc. stanowiły rakiety komercyjne. Tendencja jest stała – w 2023 r. było ich 65 proc., a w 2022 – 55 proc. Za ten wzrost odpowiadają głównie satelity komunikacyjne łączone w megakonstelacje, jak przekaźniki Starlink. Aż 95 proc. ze 145 amerykańskich rakiet, które oderwały się od Ziemi w 2024 r., to rakiety firmy SpaceX (138 startów). Większość z nich transportowała satelity, których liczba na orbicie wzrosła w ub.r. o ponad 1,3 tys. i dobija do 6 tys.

Oprócz SpaceX swoje megakonstelacje tworzą m.in. Eutelsat (OneWeb), Amazon (Project Kuiper) oraz chińskie korporacje SSST/Spacesail, Guowang i Shanghai Lanjian Hongqing Technology, które docelowo chcą mieć na orbicie ok. 40 tys. satelitów komunikacyjnych. W 2024 r. liczba sztucznych obiektów na orbicie wzrosła prawdopodobnie o ponad 3 tys. – do ok. 11,5 tys. Jeszcze w 2020 r. było ich 3371.

Oprócz nieczynnych satelitów i ich szczątków okrążają Ziemię części rakiet, kawałki aluminium, płatki farby odpryśniętej po uderzeniach mikrometeroidów lub odklejonej za sprawą promieniowania UV i zmian temperatury, krople chłodziwa z reaktorów rosyjskich satelitów szpiegowskich, a nawet upuszczone przez astronautów śruby i klucze do nich. Na szczęście skrzynka narzędziowa zgubiona w 2008 r. podczas spaceru kosmicznego przez astronautkę Heidemarie Stefanyshyn-Piper rok później spłonęła w atmosferze.

Większość kosmicznych śmieci znajduje się w promieniu 2 tys. km od powierzchni Ziemi, czyli na niskiej orbicie okołoziemskiej (LEO). Najwięcej – w paśmie 750–1 tys. km i na wysokości 1,4 tys. m. Od tego, jak wysoko krąży ten gruz, zależy, jak szybko wejdzie w atmosferę. Jeśli orbituje w odległości powyżej 1 tys. km, może minąć nawet ponad tysiąc lat, zanim spadną na Ziemię lub spłoną po drodze. Śmieci z orbity oddalonej o 800 km będą krążyć przez stulecia. Za to te z pasma poniżej 600 km – przez zaledwie kilka lat. Mogą być mikroskopijne, mierzyć poniżej milimetra lub ważyć kilka ton. Wszystkie stanowią zagrożenie, bo nikt nie ma nad nimi kontroli i nie we wszystkich przypadkach wiadomo, gdzie i kiedy się ich spodziewać. Według obecnych szacunków agencji kosmicznych liczba śmieci o wielkości od 1 mm do 1 cm wynosi ok. 128–300 mln, obiektów w przedziale 1–10 cm – od 900 tys. do miliona, a gruzu o wielkości powyżej 10 cm – od 34 do 36,5 tys. Ostrożnie licząc.

To ilości olbrzymie, a przecież będą rosły. Trudno przewidzieć w jakim tempie, bo każde zderzenie większych obiektów może znacząco je zwiększyć. W ciągu zaledwie dwóch lat, w wyniku dwóch fatalnych kraks w 2007 i 2009 r., liczba orbitalnych odpadów wzrosła o ok. 70 proc.

Zderzenia oczekiwane

Jak wiele chińskich inicjatyw kosmicznych, także ta miała źródło w resentymentach wobec Stanów Zjednoczonych. W 1999 r. w ramach interwencji NATO w Jugosławii Amerykanie zbombardowali, tłumacząc to pomyłką, ambasadę chińską w Belgradzie. Państwo Środka doszło do wniosku, że sobie na to pozwoliły, bo uznały je za słabe, niezdolne do odwetu. Jedną z reakcji była decyzja o rozwijaniu programu gwiezdnych wojen.

11 stycznia 2007 r. Chiny przeprowadziły test rakiety zdolnej niszczyć obiekty orbitalne. Udany. Celem był satelita meteorologiczny FY-1C typu Fengyun o masie 750 kg, oddalony od Ziemi o 865 km. Rakieta balistyczna weszła na jego kurs, lecąc w przeciwnym kierunku, i zderzyła się z celem czołowo, przy prędkości własnej 8 km/s. Energia kolizji i wielkość satelity dały efekt, który przyprawił agencje kosmiczne o potężny ból głowy. Samych tylko najbardziej niebezpiecznych szczątków, o wielkości piłki golfowej i większych, skatalogowano ponad 3 tys., by śledzić ich ruch w przyszłości. Całkowitą liczbę pozostałości po FY-1C oszacowano na ok. 150 tys. W kwietniu 2011 r. szczątki satelity minęły Międzynarodową Stację Kosmiczną (ISS) w odległości zaledwie 6 km.

Czy mogło być gorzej? 10 lutego 2009 r. satelita Iridium 33 z konstelacji obsługującej telefonię zderzył się z rosyjskim satelitą wojskowym Strieła, o nazwie katalogowej Kosmos 2251, nieczynnym od 1995 r. Innymi słowy 560 kg metalu trzepnęło w 950 kg metalu z hiperprędkością 11,7 km/s. Powstało 1,8 tys. odłamków o średnicy ok. 10 cm i większych – plus drobnica. 24 marca 2012 r. jeden z nich minął ISS w odległości 120 m. Sześciu członków załogi stacji schroniło się na ten czas w dwóch kapsułach Sojuz. Środek ostrożności jak najbardziej sensowny – według ekspertów Iridium 33 i Kosmos 2251 miały się minąć bezpiecznie w odległości 584 m. Eksperci generalnie zdają się mocno niedoszacowywać kosmiczne zagrożenia. Dwa lata wcześniej John Campbell z Iridium oceniał prawdopodobieństwo takiej kolizji na jeden do 50 mln.

A ono z każdym rokiem wzrasta, bo masa obiektów, które wynosimy na orbitę, jest większa od masy obiektów wchodzących w atmosferę. Obecnie krąży nad nami ok. 13,5 tys. ton artefaktów. To więcej niż masa wieży Eiffla (ok. 10 tys. ton). Szacuje się, że do 2030 r. na orbitę trafi dodatkowe 100 tys. satelitów. Każdy z nich kiedyś przestanie działać, zamieniając się w kosmiczny złom. Wzrośnie prawdopodobieństwo kolejnych kolizji, w wyniku których fragmentacja doprowadzi do powstania nowej chmury obiektów. Jak bardzo niebezpiecznych?

Apokalipsa przewidziana

Załóżmy, że kosmiczny śmieć o średnicy 1 mm jest kawałkiem aluminium o gęstości 2,7 g/cm sześc. i porusza się z prędkością 7 km/s, typową dla większości obiektów orbitalnych. Przy uderzeniu wyzwoli energię ok. 34,3 J. Wystarczającą, by przebić cienkie elementy satelity czy statku kosmicznego, jak panele słoneczne czy anteny. Specjalnie wzmocnione, m.in. tarczami Whipple'a („kanapka" z dwóch metalowych ekranów oddalonych od siebie o 10 cm, wypełniona tkaniną kevlarową), pomieszczenia ISS pozostaną bezpieczne, ale już zewnętrzne powłoki – niekoniecznie. Uderzenie takiego malucha może pozostawić tyci krater czy mikropęknięcia albo odłupać kawałek farby. A nawet drobny płatek może stanowić zagrożenie. W 1983 r. w trakcie misji STS-7 taka drobinka przebiła okno wahadłowca Challenger, pozostawiając po sobie milimetrowy otwór.

Satelity mają cieńsze osłony niż statki czy stacje kosmiczne i choć ich krytyczne elementy bywają chronione kevlarem lub ceramiką, jednomilimetrowy obiekt może już być dla nich zagrożeniem. Zwłaszcza gdy porusza się z prędkością nie siedmiu, a 15 km/s, co także się zdarza. Wtedy wyzwolona energia to już 159,3 J – porównywalna z energią kuli wystrzelonej z broni lekkiej. Kratery wywołane uderzeniem są głębsze, znacząco wzrasta prawdopodobieństwo powstania mikropęknięć.

Sytuacja wygląda znacznie gorzej w przypadku obiektów o średnicy 1 cm. Przy prędkości 7 km/s uderzenie

eprasa.pl 6b266ec372

wyzwala energię 34,5 kJ – to jak wystrzał z broni ciężkiej lub eksplozja małego ładunku wybuchowego. Taki pocisk może przebić ściany satelitów i statków kosmicznych, doprowadzając do dehermetyzacji i poważnych uszkodzeń. Biorąc pod uwagę, że tarcze Whipple'a zaprojektowano z myślą o kolizjach z obiektami do 1 cm, zapewne wytrzymają uderzenie. Sytuacja nie wygląda już jednak tak różowo, gdy centymetrowy śmieć pędzi z prędkością 15 km/s. Wówczas energia zderzenia (159,1 kJ) wystarczy, by przebić osłony ISS z katastrofalnym skutkiem, zwłaszcza jeśli trafi w elementy krytyczne, jak systemy podtrzymywania życia, elektronika, zbiorniki z paliwem. Jest to niemalże 10-krotność energii kuli wystrzelonej z ciężkiego karabinu snajperskiego.

Skoro takie skutki może wywołać obiekt jednocentymetrowy, nie ma co się zastanawiać, czym skończyłaby się kolizja z przedmiotem 10-centymetrowym i większym. A głównie takie są regularnie śledzone. Sieci obserwacyjne, jak U.S. Space Surveillance Network, skatalogowały do dziś 54 tys. dużych obiektów, z czego 9,3 tys. to aktywne satelity, a reszta – śmieci. Co prawda istnieją radary naziemne zdolne zauważyć nawet 3-milimetrowy kosmiczny złom, ale takiej drobnicy jest zbyt wiele, żeby ją śledzić. Na niskiej orbicie okołoziemskiej nadzoruje się obiekty o wielkości od 5–10 cm w górę, a na geostacjonarnej (ok. 36 tys. km), gdzie zagęszczenie śmieci jest mniejsze o dwa do trzech rzędów wielkości, co najmniej 30-centymetrowe.

Tym, co spędza sen z powiek osobom zaangażowanym w misje kosmiczne, nie jest jednak kolejna kolizja, która – jak zdarzało się dotychczas – jedynie zwiększy liczbę kosmicznych śmieci. Mechanizm znany jako syndrom Kesslera został dobrze zobrazowany w filmie „Grawitacja" (2013). Jak w 1978 r. przewidywał Donald Kessler, po osiągnięciu stanu krytycznej gęstości kosmicznych śmieci jedna kolizja może spowodować reakcję łańcuchową – fragmenty rozbitego satelity zniszczą kolejne obiekty orbitalne, których szczątki z kolei uderzą w te niedotknięte jeszcze kataklizmem itd. W końcu odłamków będzie tyle, że dana orbita stanie się dla każdej misji kosmicznej strefą śmierci.

> Oprócz nieczynnych satelitów i ich szczątków okrążają Ziemię części rakiet, kawałki aluminium, płatki farby, krople chłodziwa, a nawet upuszczone przez astronautów śruby i klucze do nich.

Szacuje się, że stan nasycenia umożliwiający wystąpienie syndromu Kesslera jest już na orbitach 900–1,5 tys. km. Na szczęście na orbicie ISS (ok. 408 km) zagęszczenie śmieci kosmicznych jest zdecydowanie mniejsze. A mimo to co jakiś czas stacja musi zmienić pozycję, by zminimalizować ryzyko kolizji. Co możemy zrobić, by przestrzeń kosmiczną wokół naszej planety uczynić bezpieczną?

Przyszłość niedoszacowana

Najprostsza i najbardziej efektywna jest profilaktyka. Od pewnego czasu próbuje się zmniejszyć prawdopodobieństwo eksplozji, opróżniając po zakończeniu misji zbiorniki z paliwa i gazów, rozładowując baterie, odłączając wytwarzające energię panele fotowoltaiczne. Zgodnie z wytycznymi Inter-Agency Space Debris Coordination Committee (IADC), satelity z niskiej orbity okołoziemskiej powinny być sprowadzane do atmosfery w ciągu maksymalnie 25 lat od rozpoczęcia misji. Dziś wszystkie satelity Starlink i większość pozostałych są wyposażane w silniczki umożliwiające szybką deorbitację. Używane są także żagle oporowe, które zmniejszając prędkość satelity, kierują go coraz niżej. Przy konstruowaniu obiektów, które trafią na orbitę, zwraca się uwagę na ograniczenie elementów mogących odpaść, np. śrub. Olbrzymią zmianą było wprowadzenie rakiet wielokrotnego użytku i zadbanie, aby górne stopnie ulegały deorbitacji lub były przenoszone na wyższe orbity.

Profilaktyka to za mało. Pomysły na aktywne usuwanie orbitalnego złomu obejmują m.in. kosmiczne śmieciarki wykorzystujące magnesy, siatki i harpuny, naziemne lasery spychające cele na niższe orbity, robotyczne chwytaki łapiące większe fragmenty gruzu, by usunąć je z chronionego obszaru. Europejska Agencja Kosmiczna (ESA) zamierza wykorzystać statek z czterema takimi robotycznymi ramionami, by w ramach misji ClearSpace-1 przechwycić satelitę PROBA-1. Planuje się także naprawianie uszkodzonych satelitów, jeśli to tylko będzie możliwe. Zajmie się tym wyspecjalizowany statek konserwatorski.

Wszystko to wydaje się jednak dość rozpaczliwą próbą powstrzymania tsunami workami z piaskiem. Ilość złomu i innych odpadów spadających z nieba będzie tylko rosnąć. 19 lutego br. pokaźne części drugiego stopnia rakiety Falcon 9 zbudowanej przez SpaceX spadły na Polskę w okolicach Poznania.

Czym to się skończy, nikt nie wie. Prognozy opierają się na mocno niepewnych danych. A czy ludziom grozi śmierć niczym grom z jasnego nieba? Tak, według bardzo ostrożnych predykcji prawdopodobieństwo, że w najbliższych latach ktoś zostanie zabity śmieciem z orbity, wynosi 10 proc. I – jak ostrzegają autorzy tej tezy opublikowanej w „Nature Astronomy" – jest to prawdopodobnie wartość mocno niedoszacowana.

OLAF SZEWCZYK

© DOTTED YETI/SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 6b266ec372

Obrona Ksantypy

O tym, co dziś powiedziałby Sokrates, jeśli w ogóle zechciałby z nami rozmawiać, mówi jego biograf, prof. Krzysztof Łapiński.

Prof. **Krzysztof Łapiński** – specjalista od filozofii starożytnej z Wydziału Filozofii Uniwersytetu Warszawskiego. Przełożył m.in. „Rozmyślania: (do siebie samego)" Marka Aureliusza i „Wykłady stoickie" Muzoniusza Rufusa. Autor książki „Najmądrzejszy. Biografia Sokratesa".

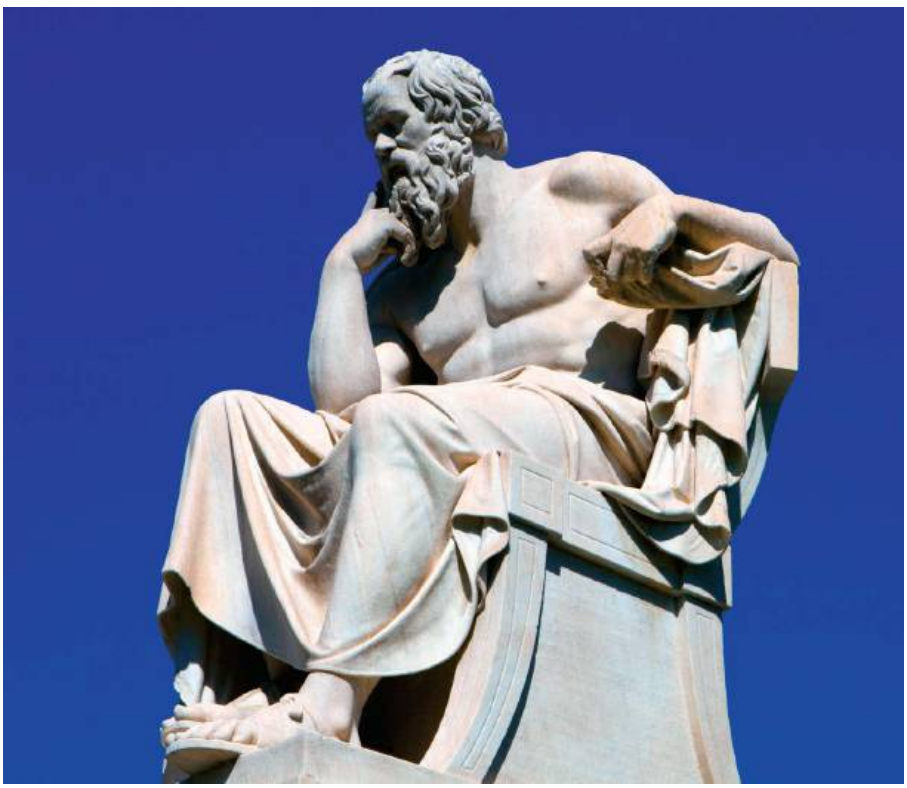

AGNIESZKA KRZEMIŃSKA: **– Książki o Sokratesie wypełniają biblioteki po brzegi. Po co pisać kolejną?**

KRZYSZTOF ŁAPIŃSKI: – Żył w świecie podobnym do naszego – w czasach demagogów, politycznych manipulacji i głębokiej polaryzacji. Autorytetem dla Ateńczyków był wówczas Gorgiasz z Leontinoj, który twierdził, że nie da się poznać prawdy, pozostaje więc operowanie opiniami korzystnymi w danej chwili; uczył, jak panować nad tłumami za pomocą sztuczek argumentacyjnych. Sokrates działał w kontrze do takich retorów. Oni rozmywali znaczenia pojęć, on zaś próbował formułować ścisłe definicje.

Przecież mówił, że nic nie wie.

Raczej uświadamiał sobie, że wszyscy ludzie są w pewnym sensie niekompetentni. Jego poprzednicy, filozofowie przyrody, wygłaszali konkretne tezy o naturze rzeczywistości. Sokrates odrzucał przekonanie, że można wiedzieć wszystko, kładł za to nacisk na dociekanie prawdy. Dzisiaj różne strony sporów politycznych zakrzykują się nawzajem, zamiast wchodzić w rzeczową rozmowę. Wtedy też tak było – sofiści porównywali dyskusję do walki na pięści. Dla Sokratesa była ona jednak wspólnym poszukiwaniem i doświadczeniem dialogu. Przekształcił filozofię w aktywność – nieustanne dążenie do prawdy poprzez stawianie pytań. Po raz pierwszy pokazał, że są one ważniejsze niż odpowiedzi. W XX w. przypomniał to Leszek Kołakowski.

„Wiem, że nic nie wiem" to też paradoks, a Grecy je uwielbiali. Podobny charakter ma maksyma wyroczni delfickiej „poznaj samego siebie", którą mój bohater uczynił punktem odniesienia. Położył nacisk na człowieka jako obiekt namysłu. Jego natarczywe pytania, wynikające z troski o duszę, którą pojmował jako nośnik myśli i cnót, miały porządkować myślenie i postępowanie rozmówcy. Niezbędnym, początkowym etapem tego procesu jest rozbicie w pył stereotypowych prawd.

Jak odróżnić historycznego Sokratesa od tego z Platona i Ksenofonta?

To trudne. Platon i Ksenofont poznali go, gdy był już stary, a opisywali po jego śmierci, opierając się na wspomnieniach. Pragnęli ukazać mistrza w najlepszym świetle. Podobnie zresztą jak całe grono sokratyków, których pisma się nie zachowały. Dlatego szansę na zbliżenie się do historycznego Sokratesa dają nam komedie, zwłaszcza „Chmury" Arystofanesa, które powstały, gdy filozof miał czterdzieści kilka lat.

Tyle że w nich jest karykaturalny: błądzący w tytułowych chmurach sofista zajęty mierzeniem skoku pchły.

Dlatego trzeba zachować ostrożność w interpretacji tej sztuki, zwłaszcza, że „winy" sofistów czy filozofów przyrody niesłusznie przypisywano Sokratesowi. W komediach są jednak powtarzające się, a przez to wiarygodne szczegóły – że wiódł ascetyczny tryb życia, nie dbał o majątek, powierzchowność czy polityczną karierę oraz że nie chciał być zależny od łaski możnych. Przedstawia się go jako kiepskiego mówcę, lecz znakomitego partnera do dyskusji w cztery oczy, co potwierdzają inne źródła.

Ponoć rozmawiał z każdym: z politykami, kurtyzanami czy szewcem Simonem.

Być może to legenda, gdy jednak w latach 70. XX w. w okolicach ateńskiej agory znaleziono fragment kubka z napisem „Należę do Simona", utożsamiono jego właściciela z przyjacielem Sokratesa. Starożytni celowali w wymyślaniu anegdot z życia filozofów. O Sokratesie również plotkowano. Rozpisywano się

© BE&W, ANNA AMAROWICZ

eprasa.pl 6b266ec372

o jego pozamałżeńskich miłostkach (niektórzy zarzucali mu bigamię), głównie o relacjach z urodziwym Alkibiadesem. Słynną brzydotę filozofa podkreślano, by pokazać, że w nieatrakcyjnym ciele może kryć się piękna dusza – i odwrotnie.

Każdy mógł kształtować wizerunek mistrza zgodnie ze swoimi potrzebami?

Najlepiej świadczy o tym różnorodność koncepcji filozoficznych jego następców. Antystenes – protocynik – przejął od Sokratesa przede wszystkim obojętność wobec dóbr materialnych, podchodził jednak do tego bardziej skrajnie. Uczniem Sokratesa był też Arystyp z Cyreny, twórca hedonizmu, szkoły zupełnie obcej jego mistrzowi. Może pociągał go sokratejski nonkonformizm wobec ateńskich dostojników?

Napisał pan biografię Sokratesa, ale także Aten. Skąd ten pomysł?

Lubię o filozofii starożytnej mówić w kontekście, przecież rodziła się i rozwijała w dialogu z ówczesną nauką, medycyną, sztuką, religią, literaturą i polityką. Hegel twierdził, że w przypadku Sokratesa nie da się rozdzielić życia od nauczania. Poszedłem tym tropem i opisuję filozofa na tle zarówno życia ateńskiej ulicy, jak i wielkich wydarzeń historycznych. W tym czasie wzniesiono Partenon, wybuchła wojna peloponeska, w teatrach rozkwit przeżywały komedia i tragedia, do Aten napłynęli artyści i filozofowie. Sokrates to obserwował i w tym uczestniczył.

Wiemy, z jakiej rodziny pochodził?

Przeciętnej. Ojciec był prawdopodobnie kamieniarzem, matka – położną. Byli Ateńczykami, więc i on mógł brać udział w głosowaniach, ubiegać się o urzędy, lecz – jak mówią źródła – nie chciał tego robić. Raz tylko sprawował urząd prytana, czyli należał do grona urzędników, którzy m.in. zwoływali posiedzenia Zgromadzenia Ludowego. Według niektórych przekazów odegrał istotną rolę, gdy po bitwie pod Arginuzami w 406 r. p.n.e. Ateńczycy oskarżyli dowódców, że nie wyłowili z morza ciał poległych. Ponoć optował za tym, by nie sądzić ich razem, tylko pojedynczo. Ze względów formalnych nic więcej nie dało się zrobić. Wściekłe zgromadzenie jednak go nie posłuchało, a żołnierze zostali skazani na śmierć.

Może ten postulat wynikał z własnego doświadczenia, bo Sokrates walczył za Ateny jako hoplita.

Tak, ponoć był bardzo odważny.

Jako wierny swoim ideałom nonkonformista nie zajmował się rodziną. Czy to nie egoizm, zwłaszcza wobec Ksantypy, która jako kobieta nie mogła zarabiać?

Miała powody do gniewu. Ateny były miastem wolności, ale nie dla kobiet. Sokrates szczycił się swoim ubóstwem, a dla Ksantypy oznaczało ono brak środków na utrzymanie synów: Lamproklesa, Sofroniska i Meneksenosa.

Jeszcze niedawno nikt nie odważyłby skrytykować Sokratesa, za to Ksantypę uważa się za sekutnicę.

Staram się pokazać także jej perspektywę: z jednej strony Sokrates i jego filozoficzna misja, z drugiej zamknięcie w sferze prywatnej, troska o codzienne sprawy. Są to dwie, trudne do pogodzenia sfery wartości. Może dzisiaj Ksantypa zostawiłaby Sokratesa, a on – wolny od zobowiązań – mógłby dalej pielęgnować cnoty obywatelskie? Po wojnach perskich Ateny zaczęły dominować nad swoimi sojusznikami i ich eksploatować. Według filozofa Ateńczycy za bardzo zaczęli dbać o dobra materialne, a za mało patrzyli we własne dusze. Twierdził, że jedynie obywatel dbający o cnoty – sprawiedliwość, umiar, odwagę czy mądrość – jest w stanie dobrze dbać o państwo. Gdy wyrocznia w Delfach powiedziała, że to on jest najmądrzejszym z ludzi, zaczął chodzić i namawiać Ateńczyków, by zaczęli wcielać je w życie.

Bogaci mieszkańcy w końcu go osądzili i skazali.

Według Ksenofonta Sokrates był porządnym obywatelem, który łagodnie rozmawiał z ludźmi o kwestiach etycznych, ale ta ugrzeczniona wersja ma oczyścić filozofa z zarzutów. Platon w „Obronie Sokratesa" porównuje go zaś do gza kąsającego wielkiego konia, jakim są Ateny – filozofia ma bowiem wprawiać w niepokój, burząc stereotypowe wyobrażenia o świecie i ludziach. A to może być bolesne i irytujące.

Oskarżono go o bezbożność i sprowadzanie na manowce młodych obywateli. Dlaczego?

Na pewno nie podobało się to, że synowie obywateli, zamiast przejmować rodzinne biznesy, chodzili za Sokratesem i zadawali Ateńczykom niewygodne pytania. Już w „Chmurach" Arystofanes pisał, że filozof deprawuje młodzież, bo jeden z uczniów wraca do domu i bije ojca. Oskarżenie wzmocnił fakt, że jego uczniowie Kritiasz i Alkibiades okazali się zdrajcami: pierwszy stanął na czele prospartańskiej oligarchii Trzydziestu, czyli tyranów, którzy sprawowali krwawe rządy po wojnie peloponeskiej; drugi w trakcie wojny przeszedł na jakiś czas na stronę Sparty.

A bezbożność?

I ten argument wywiedziono z „Chmur", gdzie Sokrates został powiązany z filozofią przyrody, odsuwającą tradycyjnych bogów w cień. Zarzucano mu też wiarę w daimoniona, boski głos wewnętrzny, a więc wprowadzanie nowych bóstw. Oskarżenie, oparte na stereotypach z komedii, przyniosło ćwierć wieku później wyrok śmierci. W więzieniu wypił cykutę, choć uczniowie chcieli zorganizować mu ucieczkę. Do końca jednak chciał żyć zgodnie z głoszonymi przez siebie zasadami.

Karl Jaspers pisał, że w tzw. czasie osiowym (lata 800–200 p.n.e.) w różnych częściach świata pojawiły się przełomowe idee religijno-filozoficzne. Sokrates był jednym z ich twórców, choć nie stworzył religii.

Niewątpliwie miał niezwykłą charyzmę. Fascynował uczniów swoją osobowością i sposobem życia. Platon przez całe życie pozostawał pod jego urokiem: niemal w każdym dialogu Sokrates jest głównym bohaterem, uosobieniem filozofii, kimś, kto pozostaje niewzruszony nawet w obliczu śmierci. Według Kołakowskiego każdy, kto nazywa się filozofem, musi się do Sokratesa odnieść – afirmująco lub krytycznie.

Czyli warto dziś wracać do Sokratesa klasycznego, by lepiej zrozumieć współczesność?

Zdecydowanie. Humanistyka to nieustanny dialog z klasykami. A my coraz bardziej zapominamy o dziedzictwie starożytności, choć wiele problemów, które nas dziś nurtują, przemyślano już dawno. Nasza epoka zbyt często przegląda się już tylko w portalach społecznościowych.

Czy z myśli Sokratesa możemy wyciągnąć coś praktycznego?

Mnóstwo. Na przykład uważne zadawanie pytań – by podążać za rozmówcą, nie narzucając odpowiedzi – w psychoterapii nosi nazwę dialogu sokratejskiego. Dzięki niemu pacjent może zrozumieć, co stanowi fundament jego myśli, emocji i działań.

Jakie pytanie można byłoby dziś zadać Sokratesowi?

Bardziej jestem ciekaw, o co on nas by dziś pytał. Nie wiem też, czy zgodziłby się odpowiadać. Zapytałbym go jednak o to, jak rozmawiać z tymi, którym nie zależy na prowadzeniu dialogu. ■

eprasa.pl 6b266ec372

Demokracja to odstępstwo od normy

O fantazjach narodowej prawicy i nowym techno-faszyzmie opowiada Jason Stanley, filozof z University of Toronto, autor książki „Wymazywanie historii"

Demontaż gwiazdy z radzieckiego obelisku w Kijowie upamiętniającego drugą wojnę światową, 4 listopada 2023 r.

MATEUSZ MAZZINI: **– Czym jest przeszłość?**

JASON STANLEY: – Chce pan odpowiedź z mojej dyscypliny, filozofii, czy z nauk społecznych?

Zacznijmy od filozofii, bo czuję, że w tej rozmowie przyda nam się rygor.

Zatem: przeszłość jest zbiorem wydarzeń, które miały miejsce w konkretnym, zakończonym już czasie.

Socjologia pamięci ma na to pytanie inną odpowiedź. Mówi, że przeszłość nie istnieje, więc jest tym, czym chcesz, żeby była.

Właśnie z tego powodu udzieliłem panu odpowiedzi skoncentrowanej na faktach, nie na interpretacji. Rozumiem ten drugi punkt widzenia, mój ojciec był socjologiem, całe życie kłóciłem się z nim właśnie o takie kwestie definicyjne. Uważam jednak, że musimy być realistami, skupić się na faktach, bo one stanowią fundament demokracji. Jeśli nie ustali się wspólnej bazy faktycznej, nigdy nie ma pewności, czy to, co nazywamy przeszłością, nie jest zestawem mitów, które wzajemnie się ze sobą ścierają.

Oczywiście, jeśli zaczniemy mówić o historii, której uczymy dzieci w szkołach, wtedy to wygląda nieco inaczej. Budujemy

© SERGEI SUPINSKY/AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 6b266ec372

opowieść linearną, jednak z definicji selektywną. A jeśli nie można opowiedzieć wszystkiego, zawsze będą pojawiać się narracje historyczne, które ze sobą rywalizują. One będą się koncentrować na innych wydarzeniach, domagać się, by co innego było przedmiotem badań czy opowieści publicznych. Być może więc musimy się pogodzić z faktem, że walki wokół historii są nieuniknione. Przy czym nie wolno zapominać, że niektóre formy nauczania historii sprzyjają demokracji, a niektóre przeciwnie – są paliwem dla autorytaryzmu.

Wydaje się, że obecnie interpretacja przeszłości jako mitu dominuje nad historią jako faktem.

To nie musi być całkowicie sprzeczne, bo kluczowy jest aspekt omijania pewnych rzeczy w opowieści historycznej. Nawet jeśli przedstawi się obiektywny zapis przeszłości, zbudowany w całości z faktów – czyli coś, co wydaje się poprawne – można wykonać gigantyczną szkodę, omijając ważne kwestie. Dobrym przykładem jest tu Związek Sowiecki. Przez ostatnie lata prowadziłem badania w Ukrainie i nieustannie znajdywałem dowody na to, że np. sowiecka wersja historii całkowicie omijała kwestię żydowską. Sowieci mówili, że naziści przyszli na ziemie ukraińskie i zabili bardzo dużo Ukraińców, ale nie mówili przy tym, ilu z nich było Żydami. Holokaust w tamtej historii nie był osobnym wydarzeniem historycznym, tak jak jest nim na Zachodzie. W rozmowach na ten temat w Polsce czy w Ukrainie spotykam się często ze sporym zdziwieniem, bo klasyczna opowieść o tamtych czasach mówi, że po prostu wszyscy tu cierpieli. Ale to jest przegapienie ważnego elementu, nikt nie wyciąga Żydów ze wspólnego zbioru ofiar. Podobnie jest z Hołodomorem jako osobnym podmiotem historii, często jako taki w ogóle nie istnieje.

Historia to przede wszystkim opowieść o przeszłości. Ona będzie wzmacniać demokrację tylko wtedy, jeśli wytłumaczy ludziom, jaki przeszłość ma wpływ na przyszłość. A dokładniej – jak przezwyciężyć wpływ przeszłości na przyszłość. Demokracja to dla mnie zestaw zbiorowych praktyk, które pchają nas w kierunku większej wolności i równości. W państwie demokratycznym historia jest źródłem wiedzy na temat tego, dlaczego dzisiaj tej równości i wolności nie ma. Powinna tłumaczyć struktury, hierarchie, które dziedziczymy z przeszłości, i pokazać, że możemy je pokonać – tak, abyśmy odegrali rolę we własnym wyzwoleniu, powiększeniu swojej wolności.

Dlaczego dzisiejsi faszyści i zwolennicy autorytaryzmów mają taką obsesję na punkcie przeszłości?

Dlatego, że jeśli popierasz autorytaryzm, masz bardzo konkretną narrację. W takiej wizji jedyne podmioty, które mają sprawczość w historii, to wybitne jednostki, zawsze mężczyźni – nigdy kobiety, na pewno nie zwykli obywatele. Z tego względu w reżimach autorytarnych z nauczania historii eliminuje się opowieści o ruchach społecznych, które zagrażają autorytaryzmom – na przykład wydarzenia z placu Tiananmen w 1989 r., kiedy jednostki zbuntowały się przeciwko strukturze opresji. Chodzi o to, żeby przekazać ludziom, że tylko wielkie postaci mogą wpływać na bieg historii, a zwykli obywatele nic nie są w stanie zrobić. Wszystko zawsze zależy od królów i dyktatorów.

Tylko czy dzisiejsza popularność autorytarnych, jednocześnie bardzo uproszczonych narracji historycznych prawicy, nie jest odpowiedzią na coraz większą złożoność świata? Rzeczywistość robi się skomplikowana, nie ogarniamy jej umysłem, więc idziemy w kierunku czegoś, co jest proste i znajome?

Na pierwszy rzut oka rzeczywiście tak jest. Ale głębsza odpowiedź na to pytanie jest przecząca, bo przecież świat zawsze był złożony. Problem z demokracją jest taki, że jest ona po prostu bardzo trudna. Będąc w niej, trzeba nieustannie rozmawiać o polityce, mierzyć się ze złożonościami, sprzecznościami, to jest wymagający proces.

Kiedy byłem jeszcze profesorem na Yale, uczestniczyłem w pracach nad powołaniem senatu uczelni. Administracja przekonywała nas, wykładowców, że nasz udział w rządzeniu uniwersytetem jest bez sensu, bo będzie zbyt skomplikowany. Dawano nam do zrozumienia, że lepiej, byśmy zajęli się swoimi badaniami, a administracja zrobi za nas wszystko inne. Tylko że to jest absurdalny argument, bo jeśli profesorowie Yale nie są w stanie sami sobą rządzić, to na jakiej podstawie mielibyśmy oczekiwać tego od zwykłych obywateli, którzy przecież w demokracji mają robić właśnie to – rządzić sobą sami. Problem w tym, że ten argument dzisiaj wraca. Wystarczy posłuchać Donalda Trumpa, który mówi kobietom, że nigdy już nie będą musiały głosować. Czas na relaks, po co się męczyć zabawą w demokrację – inni zrobią to za ciebie.

Skoro świat zawsze był złożony, to co się zmieniło? Czy mamy do czynienia z momentem historycznym, w którym ludzie odrzucają proces demokratyczny? Popierają silną egzekutywę, sprawne rządy, niekoniecznie przywiązujące wagę do demokratycznych norm. Widać to w Polsce, po ośmiu latach populistycznej rewolucji PiS.

Pan uważa, że PiS był rządem populistycznym?

Jak najbardziej, w rozumieniu populizmu jako dewastatora niezależnych instytucji.

Rządy PiS nie były populistyczne, tylko autorytarne. Populizm zakłada, że decydują ludzie. W państwie PiS nie decydowali ludzie – władza pod płaszczykiem działania w imieniu ludzi legitymizowała autorytaryzm. Moim zdaniem populizm to bardzo niebezpieczne sformułowanie, bo doprowadza do tego, że coś, co jest autorytaryzmem, uznajemy za demokrację.

To pewnie spór definicyjny, ale nie zmienia meritum mojego pytania. Przez osiem lat mieliśmy w Polsce rząd, który ignorował normy, zasady, proces demokratyczny, ale był skuteczny; przede wszystkim dla swoich wyborców, ale jednak skuteczny. Czy w USA widzimy podobny proces?

Nie do końca. Mimo wszystko na Trumpa przed drugą kadencją zagłosowało bardzo dużo osób z klasy pracującej, słabiej sytuowanych, gorzej zarabiających. Jego sloganem kampanijnym miało być polepszenie ich sytuacji ekonomicznej – tymczasem w ogóle do tego nie dąży. Dotychczas przyznał gigantyczne ulgi podatkowe miliarderom, jego ustawa budżetowa jest najbardziej regresywna w historii naszego kraju. Trump powiększa majątek wyłącznie swojej rodziny i znajomych bogaczy.

Pod względem ekonomicznym – na pewno tak. Ale są też inne aspekty polityki i rządzenia. Obiecywał masowe deportacje, redukcję liczby nielegalnych imigrantów i to robi.

Tu się zgodzę. W tych obszarach Trump „dowozi". W rasizmie, ksenofobii, skrajnie prawicowej retoryce.

To na czym polega zmiana? Skoro demokracja zawsze była trudna, świat zawsze skomplikowany, a ludzie zawsze oczekujący efektów od polityków? Dlaczego faszyzm wraca akurat teraz?

Odwróciłbym to pytanie całkowicie. Dlaczego w ogóle istnieją demokracje? Skąd one się wzięły? Przecież to autorytaryzm ▶

eprasa.pl 6b266ec372

▶ w historii ludzkości był normą, a demokracja jest od niej odstępstwem. To pytanie musimy zadać sobie w kontekście Stanów Zjednoczonych – co się stało, że przeszły na stronę demokratyczną jako państwo? Przecież USA to niesamowicie młoda demokracja...

Jeśli Ameryka jest młodą demokracją, to co powiedzieć o pozostałych?

Ma pan zapewne na myśli Deklarację Niepodległości, która została podpisana 250 lat temu. Z tej perspektywy może się wydawać, że USA to stara demokracja. Ale nasz kraj demokracją tak naprawdę stał się dopiero w 1965 r., kiedy ruch praw obywatelskich zrealizował swoje cele, bo przegłosowany został Voting Rights Act. Takie Niemcy, na przykład, są demokracją dużo dłużej niż USA. Przecież do 1965 r. kilkanaście milionów czarnoskórych Amerykanów nie miało prawa głosu ani pełni praw obywatelskich. Nie mówiąc o naszym ustroju, Kolegium Elektorów, o fakcie, że można zdobyć najwięcej głosów w wyborach prezydenckich i nie wygrać wyborów. Zresztą filozofowie nowej, narodowej prawicy, jak Curtis Yarvin, mówią o USA jako o kraju będącym republiką, a nie demokracją.

Uważam, że musimy zmienić naszą optykę patrzenia na demokrację, na sposób jej definiowania. To niesamowicie trudny ustrój, nic więc dziwnego, że jest on raczej wyjątkiem niż regułą.

Czy era demokratycznej wyjątkowości dobiega końca na naszych oczach?

Tak, ale musimy ten proces zatrzymać. Dlatego wyjeżdżam z USA do Kanady, bo Kanada jest dziś zdrową demokracją. Moim zdaniem tylko państwa, które oferują wielokulturowy, wielorasowy, wieloreligijny model gwarantujący równość obywatelską, mogą nazwać siebie zdrowymi demokracjami. Niewiele jest takich miejsc na świecie. Kanada, Wielka Brytania, Japonia, Korea Południowa, kilka miejsc w Europie. Ale Stany Zjednoczone do tego grona nie należą.

Wracając do pana najnowszej książki – czy możliwe jest stworzenie wspólnoty i jej demokratyczne funkcjonowanie, jeśli w jej ramach nie możemy się zgodzić co do wspólnej, jednolitej wersji opowieści o przeszłości?

Jest to możliwe, choć bardzo zależy od kontekstu. Demokracja wymaga wspólnego rozumienia rzeczywistości. Musimy w niej mieć wspólne fundamenty, ale to nie oznacza, że każdy z nas ma się identyfikować z tą samą narracją czy tradycją historyczną. Po to właśnie są szkoły publiczne – żeby spotykali się w nich ludzie wywodzący się z różnych tradycji, uczyli się wzajemnie różnych perspektyw, własnych historii. Autorytaryzm eliminuje takie zjawiska, dlatego przywódcy autorytarni zwalczają szkolnictwo publiczne. W Stanach z bibliotek usuwane są książki Toni Morrison, na Węgrzech nie uczy się o Imre Kertészu, choć przecież dostał literackiego Nobla.

Tylko jakim cudem ta autorytarna obsesja na temat przeszłości łączy się z futurystycznymi fantazjami nowej prawicy? To jak marsz do przodu z głową skierowaną do tyłu.

Mówi pan o faszystach z dwudziestolecia międzywojennego?

Miałem na myśli dzisiejszą narodową prawicę w USA, ale to ten sam rdzeń ideologiczny.

Całkowicie. Przecież naziści marzyli o wykorzystaniu postępu technologicznego w służbie ich ideologii. Hitler miał obsesję na punkcie rakiet. To nie przypadek, że ma ją też Elon Musk czy że Trump kocha się na ich tle fotografować. Przy czym dziś mamy do czynienia z nieco inną wersją starej ideologii, czyli z techno-faszyzmem. Ludzie tacy jak wspomniany Curtis Yarvin czy inwestorzy Marc Andreessen i Peter Thiel – osoby z potężnym kapitałem finansowym, bliskie wiceprezydentowi J.D. Vance'owi – uważają, że społeczeństwa powinny być zarządzane jak wielkie korporacje. W badaniach, które prowadzę obecnie, poświęcam temu wiele miejsca, bo patrząc na dzisiejszą amerykańską oligarchię, myślę dużo o faszyzmie. W wizji przyszłości, której chcą ci techno-faszyści, tylko wąska grupa ludzi jest naprawdę wolna, a reszta społeczeństwa to podludzie wykonujący pracę poniżej ludzkiej godności. To koncepcja rodem z Imperium Rzymskiego – tylko posiadacze niewolników są wolni, ich słudzy już nie.

W faszyzmie, który nadciąga, jest wiele innych wątków, jak np. fantazje o nieśmiertelności czy przekonanie, że kiedy wszyscy mają takie same prawa i wpływ na rzeczywistość, nikt nie jest prawdziwie wolny – to jest przecież myśl rodem z „Mein Kampf".

Czy liberalizm ponosi winę za ten trend? Mam wrażenie, że liberalni przywódcy całkowicie zaniedbali płaszczyznę historyczną. W Polsce przez lata dominowało przekonanie, że „historię należy zostawić historykom" – i powstała próżnia, w którą wszedł PiS, a potem radykałowie.

To, o czym pan mówi, to zjawisko dość typowe dla krajów Europy Wschodniej po 1989 r. Nie wszędzie tak było, dlatego nie można generalizować.

Niemniej musimy przyznać, że istnieje wiele sposobów, za pomocą których liberalizm umożliwia faszyzm, chociażby poprzez mechanizmy rynkowe sprzyjające całkowitej dominacji. Niby wszystko jest transparentne, każdy ma takie same prawa, ale na koniec zawsze wygrywają ci sami, ustanawiana jest pozycja dominująca. Przy czym nie jestem pewien, czy to jest wina liberalizmu. Jest on ideologią, która pozwala na wiele różnych rozwiązań. Trudno winić ją za to, że ludzie używają liberalnych instrumentów do zaprowadzenia nieliberalnych rządów.

© YALE UNIVERSITY

Jason Stanley (ur. 1969 r.) – amerykański filozof, wykłada na University of Toronto. Zajmuje się propagandą we współczesnych społeczeństwach i nowymi formami faszyzmu. Autor książki „Jak działa faszyzm", pisze m.in. dla „The New York Times". Nakładem Wydawnictwa Krytyki Politycznej ukazała się właśnie jego nowa książka „Wymazywanie historii".

Czy jest zatem coś, co obecne instytucje, ruchy społeczne, nawet zwykli ludzie mogą zrobić, żeby obronić liberalizm przed kroczącym faszyzmem?

Mogą, a właściwie muszą, upowszechniać takie narracje na temat historii, które zawierają w sobie perspektywy wszystkich członków społeczeństwa. To fundament demokracji, bo przecież autorytaryzm czerpie siłę z dzielenia społeczności, nastawiania ich przeciwko sobie, zmuszania do życia w strachu.

Autorytaryzm potrzebuje strachu. Przywódcy muszą cały czas przypominać, że chronią ludzi przed czymś, przed kimś. Kobiety, dzieci, zwykłych ludzi. Stąd biorą się mity o imigrantach gwałcicielach, o katastrofie, którą przyniosą uchodźcy, sprawiający, że nasze kraje stają się dysfunkcyjne, o zagrożeniach dla rodziny ze strony osób LGBT. Progresywna narracja jest kluczowa, bo wszystko rozgrywa się na płaszczyźnie edukacji. Wie pan, Władimir Putin nie przez przypadek mówi, że wojny wygrywają nauczyciele.

ROZMAWIAŁ MATEUSZ MAZZINI

eprasa.pl 6b266ec372

PERSKI DYWAN DZIEJÓW

KUP TERAZ

W sprzedaży

132 strony

Wydanie papierowe – w punktach sprzedaży prasy i na **sklep.polityka.pl**
Wydanie cyfrowe – subskrypcja **polityka.pl/cyfrowa**
Wydanie audio – **sklep.polityka.pl** i **polityka.pl/cyfrowa**
Podkast POLITYKA o historii – **polityka.pl/podkasty**

Na sklep.polityka.pl znajdziesz ponad 60 tytułów z serii Pomocnik Historyczny

eprasa.pl 6b266ec372

Książę Janusz Radziwiłł, portret pędzla Davida Bailly'ego, 1632 r.

Janusz u Karola

Dwudziestolatek ambasadorem Rzeczpospolitej w Londynie? W XVII w. było to możliwe. Zwłaszcza gdy dyplomata nosił nazwisko Radziwiłł.

ANNA KALINOWSKA

W Muzeum Narodowym we Wrocławiu można obejrzeć XVII-wieczny portret bogato ubranego młodego mężczyzny. Ma na sobie krótki kaftan i spodnie uszyte z brokatowej tkaniny, z kołnierzem i mankietami z misternej koronki. Młodzieńcowi przedstawionemu zgodnie z konwencją wczesnobarokowego malarstwa dworskiego zależało, by wyglądać godnie. Co prawda w czasie, gdy pozował artyście, Janusz Radziwiłł był tylko studentem na uniwersytecie w Lejdzie, ale jednocześnie – dziedzicem jednego z najpotężniejszych rodów magnackich w Rzeczpospolitej.

Możliwe, że wiedział już wtedy o zleceniu dyplomatycznym od nowo wybranego polskiego króla Władysława IV Wazy, który w 1632 r. wysłał go jako ambasadora do Hagi, Brukseli i Londynu. Nie mógł za to przypuszczać, że 250 lat później dzięki Henrykowi Sienkiewiczowi zapisze się w polskiej wyobraźni zbiorowej jako zdrajca z „Potopu".

O tym, że to właśnie Januszowi zostanie powierzona misja poinformowania kilku zachodnich dworów o elekcji nowego polskiego władcy, zdecydowały jego pochodzenie i wyznanie. Był synem Krzysztofa Radziwiłła, księcia na Birżach i Dubinkach, przywódcy protestantów i jednego z najbardziej wpływowych polityków w Rzeczpospolitej, który wsparł podczas elekcji kandydaturę najstarszego

eprasa.pl 6b266ec372

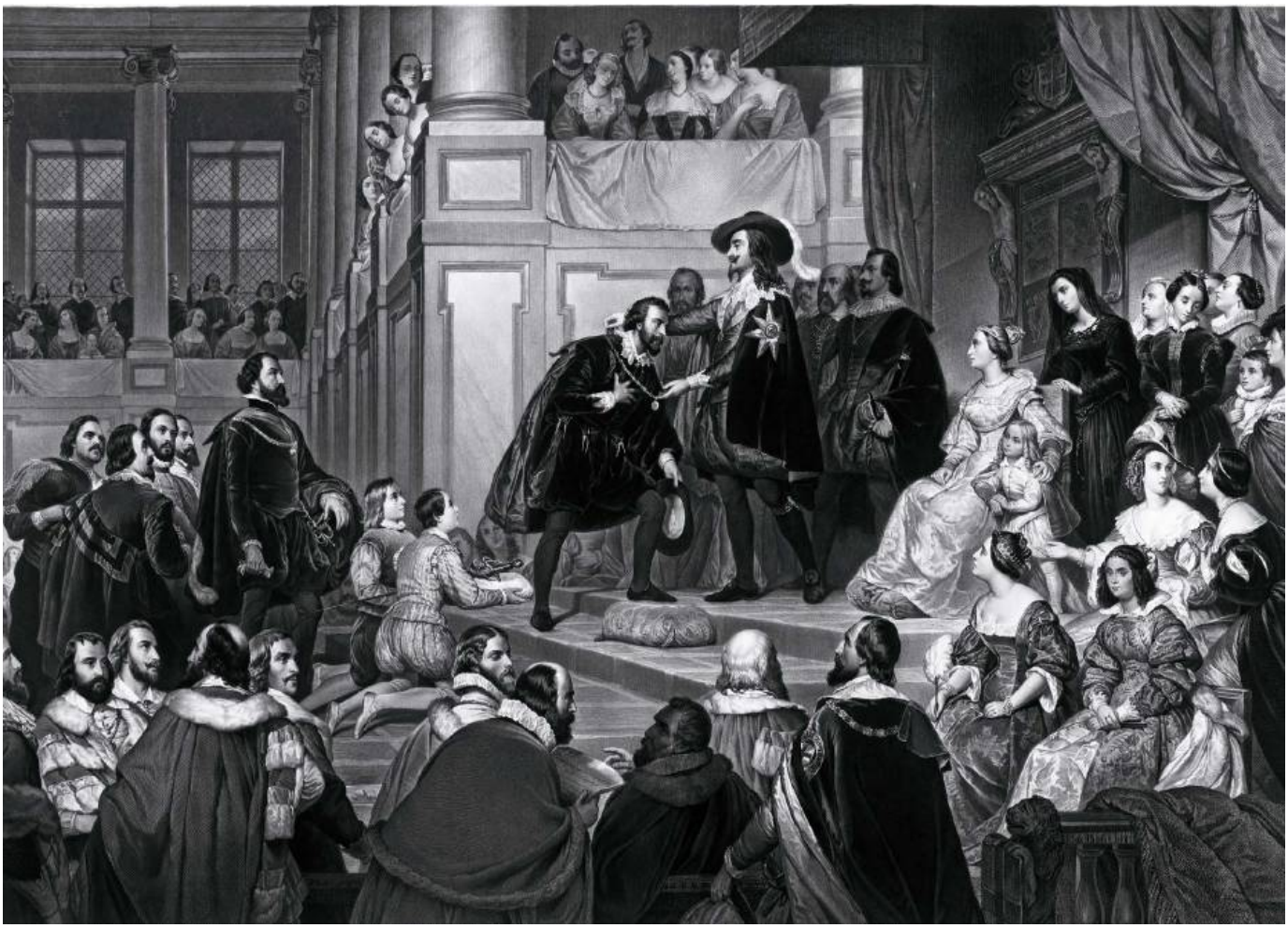

Audiencja na dworze Karola I, tu król dekoruje odznaczeniem Petera Paula Rubensa, obraz z 1850 r.

syna Zygmunta III, królewicza Władysława. Gdy ten został Władysławem IV, odwdzięczył się księciu nominacją senatorską oraz zagraniczną misją dla jego syna.

Dyplomacja Rzeczpospolitej Obojga Narodów funkcjonowała inaczej niż zachodnia. W przeciwieństwie do Zachodu, gdzie monarcha w zasadzie samodzielnie decydował o linii polityki zagranicznej, a co za tym idzie, działaniu dyplomatów, władca Rzeczpospolitej musiał się liczyć ze sporymi formalnymi ograniczeniami. Jego posunięcia na arenie międzynarodowej podlegały kontroli. Teoretycznie król nie mógł wysyłać poselstw zagranicznych bez konsultacji z senatorami i sejmem, ale w praktyce często podejmował takie działania, bo inaczej misja niezbędna do załatwienia ważnych spraw, na których mu zależało, nie doszłaby do skutku.

W takich sytuacjach władca korzystał z zaufanych ludzi lub osób poleconych przez doradców. Wysłanie młodego Radziwiłła na zagraniczne dwory wpisywało się właśnie w taki model działania.

Nie bez znaczenia były kwestie finansowe. Ponieważ w Rzeczpospolitej nie było sprawnego systemu finansowania działalności dyplomatycznej, poseł zwykle sam musiał pokrywać jej koszty, licząc na to, że odzyska je w przyszłości. Januszowi majątek ojca pozwalał na sfinansowanie każdego poselstwa.

Krzysztof Radziwiłł nie ukrywał, że dyplomatyczną nominację syna traktuje jako szansę na wzmocnienie pozycji rodu. Zalecał mu więc, by nie lekceważył możliwości „pozyskania Łaski jakiej Króla Jegomości Angielskiego i utrzymania u niego jakiego Honoru". Zapewne dlatego zdecydował, że młody dyplomata nie powinien działać jedynie według oficjalnych instrukcji przygotowanych przez kancelarię królewską, i sam udzielił mu szczegółowych wskazówek. Wyznaczył trasę (najpierw Zjednoczone Prowincje, potem Bruksela, na koniec Londyn), domagał się regularnych raportów, zalecał zbieranie informacji o ceremoniale obowiązującym na danym dworze i wygłaszanie starannie przygotowanych uroczystych oracji.

Zarówno ojcowskie instrukcje, jak i oficjalne dokumenty niezbędne do pełnienia misji, w tym listy kredencyjne (uwierzytelniające) zawiózł do Zjednoczonych Prowincji Aleksander Przypkowski, bliski współpracownik Krzysztofa Radziwiłła. Czuwał nad przebiegiem podróży Janusza, a w kolejnych latach był zaangażowany w negocjacje w sprawie ewentualnego małżeństwa Władysława IV z siostrzenicą Karola I, księżniczką Elżbietą Wittelsbach. Dlatego pojawiały się przypuszczenia, że misja Janusza w rzeczywistości była wstępem do ich rozpoczęcia. Jeśli tak, to Radziwiłłom, królowi, Przypkowskiemu ▶

© MUZEUM NARODOWE WE WROCŁAWIU, ALAMY/BE&W

eprasa.pl 6b266ec372

▶ i Anglikom udało się zachować dyskrecję, bo źródła na ten temat milczą.

Janusz wyruszył do Londynu przez Hagę, gdzie wystąpił przed Stanami Zjednoczonych Prowincji. Fakt, że polskiego władcę reprezentował protestant, wywołał dobre wrażenie w Holandii, ale już nie w Niderlandach Południowych rządzonych przez Habsburgów.

Tymczasem na angielskim dworze trwały przygotowania do jego przyjazdu, o którym wiedziano z raportów Francisa Gordona reprezentującego Karola I w Rzeczpospolitej. Wyjaśniał w nich, że ojciec polskiego posła był od dawna przyjaźnie nastawiony do Anglii, a biorąc pod uwagę jego pozycję i wpływy, utrzymanie tego stanu mogło się Londynowi opłacać, np. w sprawach handlowych.

Najwyraźniej angielscy dworzanie uznali jego argumenty za przekonujące, ponieważ zdecydowali, by dla Janusza zmienić zasady dotyczące podejmowania obcych dyplomatów. Londyn już od pewnego czasu nie pokrywał kosztów pobytu cudzoziemskich posłów. Ponieważ jednak polski dwór nadal to robił (zapewniał kwatery i utrzymanie ambasadorów, którzy się na nim pojawili), na wieść o przyjeździe Radziwiłła zdecydowano o zapewnieniu pełnego utrzymania dla niego samego i jego orszaku. Do dyspozycji Radziwiłła oddano elegancki dom w sąsiedztwie pałacu Whitehall oraz królewskie karoce, a lord szambelan zadbał o wynajęcie dodatkowych pojazdów, z których korzystać mieli członkowie polskiej misji.

Janusz przybył do Anglii 10 lutego 1633 r. Trzy dni później jego orszak dotarł do Gravesend, gdzie nastąpiło spotkanie z angielskim mistrzem ceremonii sir Johnem Finetem. Następnie obaj udali się Tamizą do Greenwich. Tam rozpoczął się uroczysty wjazd ambasadora do Londynu. Radziwiłł został powitany przez delegację wysoko postawionych osobistości, a następnie w ich towarzystwie na pokładzie królewskiej barki udał się do Westminsteru. Stamtąd w królewskiej karocy przejechał do swojej kwatery. Następnego dnia wyruszył na spotkanie z królem.

Audiencję zorganizowano w Banqueting House, pięknym palladiańskim budynku wzniesionym przez Inigo Jonesa. Można go oglądać do dziś, jest jedyną zachowaną częścią pałacu Whitehall zniszczonego przez ogień pod koniec XVII w. Naprzeciwko Banqueting House 17 lat później Karol I zostanie ścięty. W tym czasie Janusz będzie już głową rodu Radziwiłłów, przywódcą protestantów na Litwie, senatorem Rzeczpospolitej i hetmanem polnym stojącym na czele armii Wielkiego Księstwa Litewskiego.

Karol I oczekiwał go, stojąc na podwyższeniu, a po powitaniu zaprosił księcia, by do niego dołączył. Następnie Radziwiłł wygłosił orację. Przedstawił cele swego poselstwa oraz przypomniał o serdecznych relacjach łączących ojca króla, Jakuba I, z Rzeczpospolitą. W imieniu króla odpowiedział mu sekretarz stanu, sir John Coke. Obaj przemawiali po łacinie. W tym samym języku Radziwiłł zwrócił się do towarzyszącej mężowi królowej Henrietty Marii. Oficjalną uroczystość zakończyło złożenie Karolowi I wyrazu szacunku przez członków towarzyszącego Januszowi orszaku. Natychmiast po publicznej audiencji Radziwiłł na życzenie króla został przeprowadzony do prywatnych apartamentów, gdzie obaj odbyli krótką rozmowę (tym razem po francusku). Nie wiadomo, czego dotyczyła, ale po tym spotkaniu na dworze pojawiła się plotka, że dyplomata poinformował króla o domniemanych knowaniach jezuitów podczas niedawnej elekcji w Polsce, co miało głęboko poruszyć Karola. Spotkali się jeszcze raz prywatnie i raz na audiencji pożegnalnej, kiedy to Radziwiłł wyraził nadzieję na przyjazne relacje między władcami Anglii i Rzeczpospolitej.

Spotkania z królem to najważniejsze momenty pobytu Janusza w Anglii, ale nie jedyne warte uwagi. Ambasador miał bowiem okazję zetknąć się z dziećmi Karola I, z angielskimi arystokratami, obcymi dyplomatami, m.in. rezydentami weneckim i toskańskim. Hiszpański poseł „dyplomatycznie" wymówił się od wizyty chorobą, ponieważ nie chciał, by w jego domu pojawił się heretyk. Nie zabrakło rozrywek – od dworskiego przedstawienia teatralnego, poprzez uroczystą kolację u londyńskiego lorda-mayora, po prywatną wycieczkę po Tower.

Ta ostatnia dała powód do jedynej niepochlebnej opinii wyrażonej przez Anglików o Januszu, ponieważ wbrew zwyczajowi nie zostawił on nawet pensa dla żołnierzy, którzy wzięli udział w zorganizowanym specjalnie dla niego pokazie musztry. Wszystkie inne poczynania Radziwiłła przyjmowano w Londynie z entuzjazmem. Wzbudzał zainteresowanie z racji młodego wieku oraz znajomości języków, którą zaimponował Anglikom. Jednym z nich był Sir George Gresley, parlamentarzysta, który często przebywał w Londynie i chętnie informował swoich znajomych na prowincji o wydarzeniach w stolicy i na dworze. Opisał im Radziwiłła: „najbardziej pewny siebie w sposobie zachowania i mówienia człowiek, jakiego kiedykolwiek widziałem".

Zachowało się niewiele dokumentów, więc możemy się tylko domyślać, czy misja w Anglii miała mieć charakter ceremonialny, czy też młody dyplomata podjął poważniejsze rozmowy. Możliwe, że to drugie, biorąc pod uwagę, że następne lata stanowiły okres największego ożywienia w relacjach między Anglią i Rzeczpospolitą w całych XVI i XVII w. Jeśli miarą sukcesu misji miałoby być to, w jaki sposób została ona odebrana, to z całą pewnością i Radziwiłłowie, i Władysław IV mieli powody do zadowolenia. Fakt, że katolicki król wysłał jako swego ambasadora protestanta, został – zgodnie z intencjami monarchy – odebrany w Londynie jako sygnał jego otwartości w kwestiach wyznaniowych i gotowości do dalszych działań dyplomatycznych.

Dla Krzysztofa misja syna w Anglii stanowiła sposób na potwierdzenie nadzwyczajnej roli rodu. Dla samego Janusza była ciekawą przygodą, która dała mu szansę zaprezentować się z dobrej strony. Szkoda, że Henryk Sienkiewicz zdecydował się przedstawić jedynie ostatni rok jego życia, a nie pisał o czasach, gdy jako dwudziestolatek – nawet jeśli robił to jako nepodziecko – reprezentował Rzeczpospolitą nad Tamizą.

ANNA KALINOWSKA

KUP TERAZ

Więcej historii z życia potężnych rodów magnackich w Pomocniku Historycznym **„WIELKIE RODY RZECZPOSPOLITEJ"**. Dostępny na **sklep.polityka.pl**

eprasa.pl 6b266ec372

Polska na scenie

Tomasz Szarota w rozmowie z Emilem Maratem i Michałem Wójcikiem. **Duma i wstyd. O historii i potrzebie pamiętania**, Wydawnictwo Agora, Warszawa 2025 s. 392

Spotkało się trzech laureatów Nagród Historycznych POLITYKI i sobie porozmawiało, Emil Marat i Michał Wójcik, autorzy świetnych książek historycznych, siedli naprzeciw Tomasza Szaroty, wielokrotnego laureata nagród POLITYKI. Prof. Szarota, badacz XX w., wiąże nierozerwalnie historię Europy i Polski, która – jak mówi – nie siedzi na widowni, jest na scenie. To jedna z perspektyw tej opowieści, mocno polemiczna z opowieściami hurapatriotycznej polityki historycznej. Zasadniczą część dorobku profesora stanowią badania nad latami okupacji i relacjami polsko-niemieckimi. Książka jest gęsta, wiele w niej wątków, postaci i refleksji prowadzących nas do tytułowego rozważania nad dumą i wstydem. Tomasz Szarota mówi, że „są w polskiej historii powody do dumy i wstydu. Fakty powinny wywoływać w nas jedno i drugie uczucie". Podaje przykłady. W części zatytułowanej „Wstyd" są trzy ku niemu powody. Pierwszy: Jedwabne i podobne pogromy. Drugi: karuzela kręcąca się po aryjskiej stronie, gdy trwało powstanie w getcie, uwieczniona w wierszu Miłosza „Campo di Fiori". Trzeci: obecne w polskiej historii bratobójstwa. Jest też część poświęcona powodom do dumy. Warto się dowiedzieć.

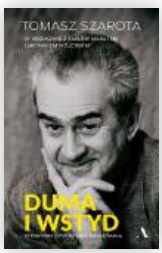

WIESŁAW WŁADYKA

Zapomnij o mitach

Neil Price, **Dzieci jesionu, dzieci wiązu. Historia wikingów**, przeł. Maciej Froński, PIW, Warszawa 2025, s. 480

Ta książka rozbija w pył nasze ulubione stereotypy. Zamiast kolejnej opowieści o okrutnych brodatych łupieżcach w hełmach z rogami dostajemy fascynującą rekonstrukcję prawdziwego świata wikingów. Był – owszem – pełen przemocy, lecz jednocześnie zaskakująco magiczny i subtelny. Neil Price, archeolog z 30-letnim dorobkiem, zaczyna nordyckim mitem stworzenia, jednak nie po to, by uśpić nas baśniową kołysanką, lecz by od razu pokazać, że bogowie i ludzie, realność i wyobrażenia nie dawały się oddzielić. Prowadzi nas od fiordów Skandynawii po stepy Rusi, od Grenlandii po Konstantynopol; łączy skaldyczną poezję z najnowocześniejszymi analizami izotopów i badaniami DNA. W tej żywej opowieści zaskakuje detal: dzięki badaniom genetycznym słynny wojownik z Birki okazał się kobietą. Najciekawsze jest tu odwrócenie perspektywy: zamiast patrzeć na Skandynawów oczami romantyków czy nazistowskich ideologów, Price próbuje zajrzeć w ich własną wyobraźnię. Pyta, w co wierzyli, jak rozumieli świat, jak łączyli rolę kupców, odkrywców i rabusiów. Dostajemy portret mistrzów zmiany, których wpływ widać w Europie do dziś. Książka wciąga jak najlepsza saga, a po lekturze wikingowie przestają być popkulturową karykaturą – wreszcie widzimy ich w całej złożoności.

AGNIESZKA KRZEMIŃSKA

Magnes polskości

Marcin Wilk, **Jedyna. Biografia Karoliny Lanckorońskiej**, Wydawnictwo Znak, Kraków 2025, s. 480

Życiorys Karoliny Lanckorońskiej najlepiej zgłębiać, mając pod ręką biografię Józefa Czapskiego. Bo to losy równoległe; oboje pochodzili z arystokratycznych rodzin, doskonale czuli się w Europie i w jej kulturze oraz niemal dowolnie mogli wybierać pomiędzy ojczyznami. Przyciągnął ich jednak magnes polskości. Marcin Wilk prowadzi swoją narrację chronologicznie, poznajemy dorastanie Karoliny w wiedeńskim pałacu wypełnionym sztuką, w którym gościli m.in. Rodin, Makart i Rilke, a przyjacielem domu był Jacek Malczewski. Nic więc dziwnego, że doktorat napisała z malarstwa Michała Anioła, a jej promotorem był Julius von Schlosser, wieloletni dyrektor Kunsthistorisches Museum w Wiedniu. Lanckorońska podobnie jak Czapski była świadkiem tragicznej historii. Podczas wojny została aresztowana przez Hansa Krügera, który w trakcie przesłuchania przyznał się jej do zamordowania profesorów lwowskiego Uniwersytetu Jana Kazimierza (po latach zeznawała jako świadek na jego procesie). Więziono ją w obozie koncentracyjnym w Ravensbrück. Po wojnie na emigracji była jednym z inicjatorów założenia Polskiego Instytutu Historycznego w Rzymie. Obdarowała placówki muzealne w wolnej Polsce. To dzięki jej darom na Zamku Królewskim w Warszawie podziwiać można obrazy Rembrandta. Przybliżając ostatnią z rodu, autor daje także fascynujący obraz epoki i ludzi, z którymi bohaterka się zetknęła.

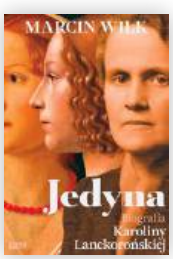

MAREK SOBCZAK

Uwikłani

Julia Boyd, Angelika Patel, **Miasteczko w III Rzeszy. Jak nazizm zmienił życie zwykłych ludzi**, przeł. Anna Dzierzgowska, Wydawnictwo Port, Warszawa 2025, s. 480

Historię III Rzeszy niemal zawsze opisuje się w skali makro: z perspektywy wielkiej wojny, wielkiej polityki i jeszcze większych zbrodni. Julia Boyd zdecydowała się opowiedzieć ją inaczej. Wzięła pod lupę alpejską miejscowość Oberstdorf i zrekonstruowała historię jej mieszkańców od końca pierwszej wojny światowej przez burzliwe lata Republiki Weimarskiej aż po koniec III Rzeszy. Jednym z największych atutów mikrohistorii jest to, że działa jak szkło powiększające, pokazuje przyczyny wielkich zmian i procesów na poziomie jednostkowego przeżycia. W „Miasteczku w III Rzeszy" nazizm nie wziął się znikąd ani nie był „zbiorowym szaleństwem". Widzimy, że decyzje polityczne mieszkańców Oberstdorfu są zakorzenione w realiach ekonomicznych, biorą się z konkretnych emocji, np. ze strachu przed hiperinflacją, poczucia braku bezpieczeństwa ekonomicznego czy pragnienia politycznej stabilizacji. Mieszkańcy Oberstdorfu w większości wstępowali do NSDAP, aby ochronić swoje rodziny, pracę czy po prostu ułatwić sobie życie. „Miasteczko w III Rzeszy" to oparte na szerokiej bazie źródłowej, dogłębne i dające do myślenia studium radykalizacji, konformizmu (a miejscami również oporu) i uwikłania „zwykłych ludzi" w zbrodnie.

TOMASZ TARGAŃSKI

© MP (4)

eprasa.pl 6b266ec372

Skala ocen: 1(dno)–6(wybitne)

scena

Poczucie zdrady 4/6

Żar według Sándora Máraiego, reż. Jan Englert, Teatr Polonia w Warszawie

Zamek na odludziu, salon z kominkiem i spotkanie dawnych przyjaciół, Henrika (**Jan Englert**) i Konrada (**Daniel Olbrychski**), które zamienia się w godzinny, demaskatorski monolog tego pierwszego. Analizuje on powody nagłego, tajemniczego wyjazdu przyjaciela 41 lat wcześniej – ucieczki, jak mówi, poprzedzonej zdradą. Kontrapunktem i klamrą spektaklu są krótkie, pełne czułości rozmowy Henrika ze swoją nianią, tą-która-nigdy-go-nie-porzuciła (Maja Komorowska). Stworzona przez laureata Oscara Christophera Hamptona teatralna adaptacja powieści Sándora Máraiego to rzecz właściwie benefisowa – obaj protagoniści powtarzają, że są „jedną nogą w grobie", że ich spotkanie jest jednym z ostatnich akordów w życiu każdego z nich, a widzowie spieszą do kasy (spektakle do końca roku są wyprzedane), żeby obejrzeć mistrzów w akcji. Podobnie było z inscenizacją Edwarda Wojtaszka z Teatru Narodowego z 2007 r., zresztą za dyrekcji Jana Englerta, w której występowali Zbigniew Zapasiewicz, Ignacy Gogolewski i Danuta Szaflarska, wtedy odpowiednio: 73, 76 i 92 lata. Tamten spektakl był bardziej kameralny, rozgrywany w półmroku, przy kominku i świecach. „Żar" w Polonii, obsadzony gwiazdami 80-letnimi i mocno oświetlony, ma większy rozmach. Premiera zbiegła się w czasie z pokazami „Wesela" w Teatrze Narodowym – spektaklu, którym Jan Klata żegnał się osiem lat temu z dyrekcją krakowskiego Narodowego Starego Teatru, a dziś przy owacjach na stojąco przedstawiał się publiczności stołecznego Narodowego jako reżyser i następca Englerta na dyrektorskim fotelu. Rola Henrika wpisuje się w ciąg ostatnich kreacji (i wypowiedzi) Jana Englerta – łączy je poczucie zdrady, niedocenienia, frustracji. Świetny aktor wie przy tym, jak uwodzić publiczność. W „Żarze" błyszczy, a Olbrychski i Komorowska tworzą tło dla jego występu.

Wielki popis pary mistrzów. Takich okazji nie ma wiele...

ANETA KYZIOŁ

serial

Piwo i polityka 3/6

Ród Guinnessów, twórca serii: Steven Knight, Netflix, 8 odc.

Tytuł nie jest zmyłką: chodzi dokładnie o tę rodzinę, która stworzyła jeden z najsłynniejszych irlandzkich browarów. Jednocześnie produkcji daleko od kryptoreklamy popularnego stouta. Historia budowania globalnej marki jest tu bowiem opowiedziana na tle irlandzkiej walki o niepodległość, przybierającej na sile w drugiej połowie XIX w. A wszystko zaczyna się w dniu pogrzebu patriarchy rodu Benjamina Guinnessa. W testamencie ojciec zapisuje prawo do prowadzenia interesu dwóm najstarszym synom, ignorując pozostałe dzieci (córkę i syna). Ostatnia wola prowadzi oczywiście do konfliktów, zdrad i nieoczekiwanych sojuszy. A problemy Guinnessów tylko się piętrzą, zarówno polityczne (konflikt z irlandzkimi fenianami, dla których browar jest symbolem narodowej zdrady), jak i biznesowe. Łatwo wskazać inspiracje: od „Peaky Blinders" (których twórcą również był Steven Knight), poprzez „Sukcesję" i filmy Guya Ritchiego, po seriale w stylu „Piratów" i „Bridgertonów", czyli historyczne fikcje, w których wszyscy są młodzi, piękni, bezlitośni i chutliwi. Tyle że „Ród Guinnessów" żadnemu z poprzedników nie dorównuje. Bardzo sprawnie zrealizowany, dynamicznie zmontowany w rytm współczesnych przebojów (na ścieżce dźwiękowej m.in. raperzy z Kneecap i punkowy skład Floggin Molly), lecz powtarza pomysły już kilka razy na widzach testowane.

JAKUB DEMIAŃCZUK

© KATARZYNA KURAL-SADOWSKA, BEN BLACKALL/NETFLIX, GUTEK FILM, AURORA FILMS, MATERIAŁY PRASOWE KRUPA ART FOUNDATION

eprasa.pl 6b266ec372

film

Duch czasów 5/6

Droga do Vermiglio (Vermiglio), reż. Maura Delpero, prod. Włochy, Francja, Belgia, 120 min, w kinach od 3 października

Niebywałej delikatności film wpisujący się w tradycję kina rodzinnego spod znaku Olmiego i braci Tavianich. Pięknie opowiedziany, melancholijny, liryczny, odcinający się stylem wiejskiego realizmu od wszystkiego, co modne, szybkie, powierzchowne i niemądre. Każda scena jest przemyślanym, subtelnym powrotem do nieodległej przeszłości. Postacie, wśród których znajdziemy wielu naturszczyków, niosą swoje tajemnice, narracja sączy się wprawdzie wolno, „Droga do Vermiglio" zyskuje jednak dzięki temu zachwycającą głębię. Jest to historia dojrzewania trzech sióstr (mają jeszcze czworo rodzeństwa), nad którymi władzę sprawuje patriarcha rodu, miejscowy nauczyciel, starający się rozpoznać „przyszłość, której sobie życzą". Gdzieś daleko od zacisznej trydenckiej osady dogorywa druga wojna światowa, do górskiej wioski trafia dwóch dezerterów, najstarsza z sióstr zakochuje się w jednym z nich. Bohaterki mierzą się z marzeniami, samotnością, okrutnym przeznaczeniem, a niemłoda reżyserka (to dopiero jej druga pełnometrażowa fabuła) z hipnotyczną cierpliwością skupia się na pozornie mało znaczących drobiazgach, których skutki okazują się tragiczne.

JANUSZ WRÓBLEWSKI

film

Bez litości dla rodaków 4/6

Kontinental '25, reż. Radu Jude, prod. Rumunia, Szwajcaria, Wielka Brytania, 109 min, w kinach od 3 października

Eksmisja prowadzona przez komorniczkę Orsolyę (Eszter Tompa) kończy się tragedią: bezdomny mężczyzna, zmuszony do opuszczenia zajmowanej przez siebie piwnicy, popełnił samobójstwo. Być może nikt nie kazałby mu się przenosić, ale ten konkretny blok został przeznaczony do wyburzenia, na jego miejscu zaplanowano ekskluzywny hotel. Orsolya bezradnie próbuje zagłuszyć poczucie winy, ale rozmowy z przyjaciółmi, urzędnikami, a nawet księdzem kończą się powtarzaniem nic nieznaczących słów pocieszenia. W nowym filmie – odwołującym się bezpośrednio do klasycznej „Europy '51" Roberta Rosselliniego – Radu Jude po raz kolejny patrzy na swoją ojczyznę z mieszaniną wściekłości i żalu, ubraną w szaty zjadliwej satyry i absurdalnego humoru. Robi to w nieco bardziej przystępnej niż ostatnio formie, opierając scenariusz niemal wyłącznie na dialogach i podglądaniu absurdów codzienności, ale jego zmysłu obserwacji to nie stępia. Jude deklaruje za pośrednictwem jednej z postaci: „Rumunią rządzą deweloperzy", lecz „Kontinental '25" nie mówi wyłącznie o zagrożeniach płynących z patodeweloperki. To także opowieść o kryzysie moralnym, o codziennej ksenofobii, o moralnej hipokryzji klasy średniej, która zagłusza wyrzuty sumienia drobnymi datkami na cele charytatywne. Jude nie ma litości dla swoich rodaków, lecz w jego filmach my również możemy przeglądać się niczym w lustrze.

JAKUB DEMIAŃCZUK

Rozmowa z Radu Jude s. 80.

galeria

Z gwiazdą w tle 3/6

Ciało. Rozkosz i ból, Krupa Art Foundation, Wrocław, do 18 stycznia 2026 r.

Pomysł był bardzo ciekawy: skonfrontować cztery wybitne twórczynie, dla których kobiece ciało było (a w jednym przypadku – pozostaje nadal) głównym obiektem artystycznych dociekań. Artystki reprezentujące różne pokolenia (najstarsza urodzona w 1911, a najmłodsza w 1972 r.) i stosujące różne środki wyrazu (od delikatnych rysunków Chloe Piene po masywne marmury Barbary Falender). Łączyło je odwołanie do własnych, często intymnych, doświadczeń i bezkompromisowość. W ich dziełach znaleźć można całą gamę emocji towarzyszących byciu-w-świecie, od lęków, traum, miłości, po tytułowe rozkosz i ból. Bardzo interesująca okazała się także aranżacja ekspozycji. Większość prac umieszczono za zasłonami z delikatnego, półprzezroczystego tiulu; z jednej strony intymnie przysłonięte, ale równocześnie łatwo dostępne i wystawione na spojrzenia ludzi. Na tym jednak lista zalet się kończy. Wystawa jest, rzec by można, oszczędna. Zaledwie 25 prac, w tym kilka szkiców i fotografia. Jednak z punktu widzenia widza, który na bilet wydał 35 zł, jeszcze bardziej rozczarowuje co innego. Otóż w podtytule wystawy widnieją i dużo obiecują nazwiska czterech artystek. Tymczasem legendarna Louise Bourgeois, która niewątpliwie stanowi najsilniejszy magnes, reprezentowana jest zaledwie jedną, wręcz mikroskopijną pracą. A nasza gwiazda Alina Szapocznikow – dwiema, bliźniaczymi i niewiele większymi.

Louise Bourgeois, „Cunt I / Untitled (Femme)", 1969/70

PIOTR SARZYŃSKI

eprasa.pl 6b266ec372

Głód ciała 5/6

Becca Rothfeld, **Wszystko to zbyt małe. Eseje ku chwale nadmiaru**, przeł. Piotr Siemion, Wydawnictwo Filtry, Warszawa 2025, s. 392

Misternie ułożone na okładce filiżanki mogą sugerować, że eseje Bekki Rothfeld dotyczą gromadzenia przedmiotów i powszechnej dziś mody na minimalizm i sprzątanie (Marie Kondo). Tymczasem książka amerykańskiej krytyczki i eseistki (rocznik 1991) prowadzi nas o wiele głębiej, zadaje pytania o to, co np. z nami robi miłość. Ta podróż przez literaturę i filmy Cronenberga, ale też pisma mistyczki Simone Weil, prowadzi nas w niespodziewanych kierunkach. Rothfeld analizuje pragnienia, które nami rządzą, tak jak w miłości, która polega (pisał o tym Barthes) na czekaniu przypominającym tortury. Dlaczego w kulturze się utarło, że to kobiety czekają (jak Penelopa)? Rothfeld analizuje te niszczące i uwznioślające (na chwilę) siły. Uderza przede wszystkim w tzw. nowy purytanizm, który postuluje ograniczanie, kontrolę, panowanie nad pragnieniami. A także w modne dziś praktyki mindfulness, uważności, które odgradzają nas od świata i obiecują korzyści płynące z całkowitego skupienia na sobie. Rothfeld sama nie buduje żadnego systemu, tylko interpretuje i przygląda się nadmiarom i temu, co wymyka się kontroli. Czym jest np. niepohamowany głód i – przeciwnie – odmowa jedzenia u Simone Weil, która odkryła w sobie pustkę nie do zapełnienia. Rothfeld pokazuje wspólną wielu z nas tęsknotę za niebem (dla każdego może być ono czymś innym). Idziemy często za fałszywymi obietnicami spełnienia, ale nasze pragnienia są prawdziwe i niebosiężne.

JUSTYNA SOBOLEWSKA

Rzeczy pierwsze 5/6

Eliot Weinberger, **Duchy ptaków**, przeł. Mikołaj Denderski, Karakter, Kraków 2025, s. 320

W puencie tekstu otwierającego ten wybór esejów Eliot Weinberger pisze: „Wszechświat jest niczym miasto, jego przejścia są pełne cudów i osobliwości. Przemierzaj je". To doskonała wskazówka, jak poruszać się po tym literacko-antropologicznym labiryncie. Należy otworzyć się na nieznane, dać się ponieść rytmowi frazy i uwierzyć autorowi na słowo. Trudno bowiem definitywnie osądzić, kiedy te eseje, onieśmielające wręcz erudycją, przestają być pełnymi cytatów, parafraz i odniesień apokryfami reinterpretującymi mity, podania i legendy ludów z różnych stron świata, a stają się zapierającą dech w piersiach autorską opowieścią. Poprzednia opublikowana po polsku książka Weinbergera nosiła tytuł „Z rzeczy pierwszych". „Duchy ptaków" na nowo podejmują tematykę pierwotności i prymarności. Weinberger pisze o tym, co pierwsze i najistotniejsze, co zwykłe i podstawowe: o stworzeniu świata i jego organizacji, o historii Adama i Ewy, o wyspach, górach, rzekach i kamieniach, o kolorze niebieskim, o wymarłych gatunkach ptaków i o pszczołach. Te eseje są zwodnicze i tajemnicze zarazem – często bywają fragmentaryczne i niepełne, równie często odwołują się do kapryśnej logiki snów, gdzie momenty realistyczne zostają nagle przełamane elementami nieprawdopodobnymi. Obserwując naturę oraz odwołując się do mitów ludów pierwotnych, do świętych ksiąg starożytnych cywilizacji, podróżniczych kronik oraz do współczesnych tekstów kultury, pisarz tworzy oszałamiające, budzące podziw opowieści, które wymykają się jednoznacznemu zaszufladkowaniu. To zarazem wiersze, inkantacje, medytacje, modlitwy i przewodniki po świecie.

MACIEJ ROBERT

Wysokie ciśnienie 4/6

Will Dean, **W głębinie**, przeł. Radosław Kot, Rebis, Poznań 2025, s. 340

Sześcioro nurków głębinowych zamkniętych na miesiąc w komorze ciśnieniowej, którą opuszczają jedynie po to, by pracować na dnie Morza Północnego. Praca niebezpieczna, ale dla doświadczonej ekipy to rutyna. Lecz pod koniec misji umiera jeden z nurków, niedługo później – kolejny. Zadania przerwać nie można – cała załoga musi przejść dekompresję – więc ostatnie dni to czas narastającej paranoi, wzajemnych podejrzeń i spiskowych teorii. Choć fabuła może przywodzić na myśl tradycyjną zagadkę, kto zabił, „W głębinie" to raczej intensywny thriller psychologiczny niż kryminał. Dociekań tu niewiele, za to emocji sporo: Dean nie tylko sprawnie wykorzystuje klaustrofobiczne realia (oszczędnie dawkując techniczne słownictwo), lecz także przekonująco opisuje, jak skrajna sytuacja odbija się na psychice ludzi, nawet jeśli zostali przeszkoleni do działania pod presją. I nie udaje, że jego książka jest czymś więcej niż thrillerem: żadnych politycznych metafor, pretensjonalnych społecznych analiz, po prostu solidne czytadło, przykuwające uwagę niecodzienną scenografią. Dean miewa tendencje do kończenia krótkich rozdziałów lekko naciąganymi cliffhangerami, ale dzięki temu utrzymał napięcie i tempo powieści, w której przestrzeń i czas mocno ograniczają narracyjne możliwości.

JAKUB DEMIAŃCZUK

© MATERIAŁY PRASOWE (4), SEJAL SOHAM, LESZEK ZYCH, ANDY CATLIN/ALAMY/BE&W, PIOTR POLAK/PAP

eprasa.pl 6b266ec372

muzyka

Masecki y más 5/6

Marcin Masecki, **Boleros y Masecki**, Toinen Music

Ścieżkę **Marcina Maseckiego** w znacznej mierze wyznaczyły losy jego rodziny – emigranckie i muzyczne historie rodziców i dziadków, własne dzieciństwo w Ameryce Południowej. Po albumie „Boleros y más" pianista i aranżer – a tu także wokalista – poszedł dalej i sformował większy skład, z sześcioosobową sekcją dętą, by grać ekwadorskie bolera

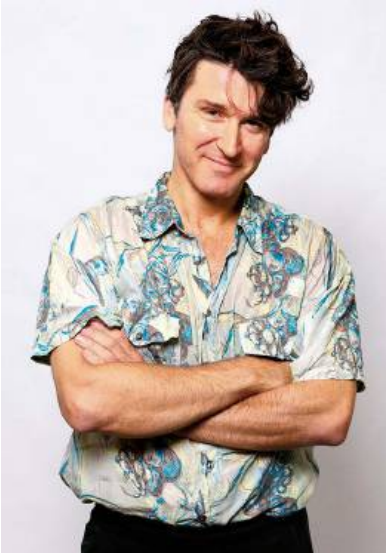

(„Amor sin Esperanza") czy wenezuelskie walce (porywająca w tej wersji „Miranda" Lionela Belasco). Hity – świetne „Cachito" i najbardziej znane w zestawie „Bésame mucho" – prowadzą nas w stronę dorobku genialnej meksykańskiej kompozytorki Consuelo Velázquez. Pasja łączy się tu z poszukiwaniem w archiwach, jak w Jazz Bandzie Młynarski-Masecki, a wiążą to wszystko autorski styl i swoboda. Zanim Masecki wywiezie ten materiał do Ameryki Łacińskiej – a są plany – warto zarezerwować sobie wieczór, by go poznać, z całą ekspresją, konferansjerką lidera i popisami instrumentalistów, w wersji koncertowej.

BARTEK CHACIŃSKI

nie przegap

Festiwal Łódź Wielu Kultur, 3–12 października

Przez lata Łódź Czterech Kultur, od 2024 r. – zgodnie z duchem czasu i rzeczywistością – Wielu Kultur. Tym razem koncerty, spektakle, wystawy i warsztaty wpiszą się w trzy pola tematyczne: kultura pracy (od bawełny, która zbudowała potęgę przemysłowej Łodzi, po warunki pracy w kulturze), nowe geografie (wpływ migracji na codzienność) oraz łódzkie biografie (Wanda Jakubowska, Joanna Kulmowa, grupa Jung Jidysz). AK

Unsound, Kraków, 7–12 października

Krakowskie spotkanie awangardy muzycznej jak zwykle zaskakuje rozmaitością pól ekspresji: od młodziutkiej Szkotki **Brìghde Chaimbeul**, która zagra na dudach, po pionierkę elektroniki Suzanne Ciani – na syntezatorze Buchla. I duetami budowanymi specjalnie na tę imprezę: Aleksandra Słyż z Alex Freiheit (Siksa) zaprezentują po raz kolejny (premierę miał w Warszawie) słowno-muzyczny program „Ghsting", a perkusista Gary Gwadera zagra oberki z amerykańską gwiazdą muzyki klubowej RP Boo. BCH

Teatr TV, TVP1, TVP Kultura i VOD, jesień

Wśród najbliższych premier „największej sceny świata" błyszczą rejestracje hitów polskich teatrów. Dla młodszych widzów: **„Człowiek jaki jest, każdy widzi"**, reż. Katarzyna Minkowska i „Niezwykła historia Sebastiasna van Pirka" Marcina Wichy (od 26.10). Dla starszych, m.in.: „Nowy »Pan Tadeusz«, tylko że rapowy", reż. Kamil Białaszek (od 30.09), „Melodramat", reż. Anna Smolar (od 6.10) czy dwuczęściowa „Wycinka. Holzfällen" Bernharda w reż. Krystiana Lupy (1 i 8.12). AK

REKLAMA

SPONSORZY I PARTNERZY
SPONSORS & PARTNERS

70 lat | Filmoteka Narodowa Instytut Audiowizualny
MSN Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie
K MAG
EPSON
KIPA Krajowa Izba Producentów Audiowizualnych

PARTNERZY MEDIALNI
MEDIA PARTNERS

TVP
30 lat WP
FILMWEB
RMF
RMF CLASSIC
POLITYKA
wyborcza.pl

Warszawski Festiwal Filmowy

4.1 WARSZAWSKI FESTIWAL FILMOWY 10-19. 10. 2025

wff.pl

WARSAW INDUSTRY DAYS: 13-18. 10. 2025

projekt współfinansuje miasto stołeczne Warszawa
Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego
Filmoteka Narodowa Instytut Audiowizualny
Polski Instytut Sztuki Filmowej
Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury.

PARTNER:
Mazowsze. serce Polski

eprasa.pl 6b266ec372

Gra w zielone

Wkrótce otwarty zostanie w stolicy nowy park – Żerański. A wraz z nim odżyją pytania o zieleń w urbanistycznej tkance miast: jaka właściwie ma być i czemu służyć?

PIOTR SARZYŃSKI

Miasta są w Polsce miejscem wielu napięć. Pomiędzy zwolennikami i przeciwnikami grodzenia osiedli mieszkaniowych. Pomiędzy fanami własnych czterech kółek a miłośnikami komunikacji miejskiej itd. Ale bodaj najciekawsza i dziś najważniejsza jest batalia, w której po jednej stronie barykady stoją inwestorzy i deweloperzy wojujący betonem, a po drugiej – tzw. opinia publiczna i część samorządów, mając na sztandarach krzewy, drzewa, kwiaty.

Przez wiele dekad najpierw peerelowski modernizm, a później interesy hulającego kapitalizmu zdecydowanie przechylały szalę zwycięstwa na stronę tezy, że z naturą możemy zaprzyjaźniać się w lesie i na wsi, a miasta są po to, by je zabudowywać, czym tylko się da. Dziś jednak wahadło przemieszcza się w drugą stronę.

Wraz z narastającymi problemami klimatycznymi walka o zielone miasta przybrała na sile. Dziś już dziecko w pierwszej klasie potrafi wymienić zalety miejskiego bratania się z naturą: redukcja tzw. wysp ciepła, naturalne filtrowanie powietrza (pochłanianie szkodliwych gazów i pyłów zawieszonych), zmniejszanie ryzyka powodzi, ale też sprzyjanie aktywności fizycznej mieszkańców, oddziaływanie relaksacyjne czy wręcz terapeutyczne itd. Jest więc o co walczyć. A poza tym zieleń dodaje miastu uroku.

Zasadnicze pytanie brzmi jednak: jaka to ma być zieleń? Bo wbrew pozorom kwestia trawy i krzaczków jest dość

eprasa.pl 6b266ec372

Ogrody Bernardyńskie w Rzeszowie. Na sąsiedniej stronie: **park Żerański w Warszawie.**

skomplikowana. Mamy bowiem w miastach zieleń publiczną (zawiaduje nią miasto lub dzielnice), półprywatną (własność spółdzielni i wspólnot mieszkaniowych, ale też tereny przy biurowcach, kolejowe lub wojskowe), a nawet całkiem prywatne ogródki, w których sadzimy, co nam się żywnie podoba. Z jednej strony wyzwanie stanowią wielkie, znajdujące się w obrębie miast kompleksy leśne, z drugiej – starannie wypielęgnowane parki historyczne. A są jeszcze skwery, ogrody, zieleńce, ogródki działkowe, place zabaw, parki kieszonkowe, rodzinne ogródki działkowe, woonerfy itd. Miały być jeszcze ogrody społecznościowe, ale się nie przyjęły. A każda zieleń wymaga innej formy pielęgnacji, strategii rewitalizacji, koncepcji użytkowania itd.

Różne są też priorytety. Z punktu widzenia polityki środowiskowej i klimatycznej państwa ważne są nie tylko piękne i duże parki czy ogrody, ale też zieleń równomiernie wypełniająca przestrzeń miejską, ukształtowana z myślą o retencji. – *To ona przede wszystkim zapewnia zagospodarowanie wody deszczowej w miejscu opadu, więc jest skutecznym narzędziem do łagodzenia skutków opadów nawalnych w miastach. Realizacja takich terenów pozwala też redukować zjawisko miejskiej wyspy ciepła* – tłumaczy Paweł Jaworski, dyrektor Departamentu Strategii i Odporności Klimatycznej w Ministerstwie Klimatu i Środowiska. Ale już samorządy miejskie i dzielnicowe muszą ważyć różne potrzeby. Na przykład to, że ludzie chcą wyciągnąć się na trawie, pojeździć rowerem lub pospacerować wśród drzew czy poćwiczyć jogging. A do tego najlepsze są rozległe parki, a nie tereny zieleni wzdłuż ulicy.

Każde miasto prowadzi własną politykę w temacie zazieleniania się. Gdańsk wyraźnie postawił na tworzenie tzw. ogrodów deszczowych, świetnie magazynujących deszczówkę i chroniących przed powodziami, które były zmorą tego miasta. Dziś blisko 200 takich realizacji zdecydowanie zmniejszyło zagrożenie. Z kolei kamienna w XIX-wiecznej konwencji Łódź chwalić się może tworzeniem ożywiających ów pejzaż woonerfów. Poznań nieźle radzi sobie z punktowym odbrukowywaniem i tworzeniem minienklaw zieleni itd. Wydaje się jednak, że to w doświadczeniach stolicy, trochę jak w soczewce, skupiają się dylematy i specyfika współczesnego zazieleniania miast.

Zdaniem Marleny Happach, która w latach 2016–24 pełniła funkcję architekta miasta Warszawy, ze społecznego punktu widzenia momentem przełomowym okazał się czas pandemii. – *To wówczas, gdy zamknięto wstęp do lasów, parków, ogrodów, ludzie przekonali się, jak bardzo brakuje im możliwości kontaktu z zielenią. I prawdziwie docenili wszelkie miejskie inicjatywy w tym zakresie* – mówi. Tak było oczywiście w całym kraju. Listę zasług stolicy w nowoczesnym myśleniu o miejskiej przyrodzie wypada zaś zacząć od koncepcji zagospodarowania nadbrzeża Wisły. Przypomnę: podczas gdy lewy brzeg postanowiono zabudować eleganckimi, reprezentacyjnymi bulwarami, to prawy oddano naturze, starając się nawet w centrum zachować ich naturalny charakter. To był pierwszy wyraźny sygnał, że przyrodę w miastach rozwijać można równocześnie w dwóch kierunkach: ucywilizowanym i dzikim.

Piękne kwietne klomby i starannie przystrzyżone trawniki oraz żywopłoty oczywiście cieszą oko mieszczuchów, ale dziś w myśleniu o zieleni zdaje się przeważać powrót do mniej okiełznanej natury. Bodaj najbardziej spektakularnym przykładem okazały się łąki kwietne. Pierwsze z nich pojawiły się w Polsce ok. 2010 r., ale dopiero dekadę później proces ich zakładania przyjął wręcz masowy charakter i dziś trudno znaleźć większe miasto, w którym by ich nie było. Karierę, choć w skromniejszym zakresie, robią też wspomniane już ogrody deszczowe i w ogóle program renaturyzacji zbiorników wodnych ▶

© URZĄD M.ST. WARSZAWY, ROBERT NEUMANN/FORUM

eprasa.pl 6b266ec372

▶ (chodzi głównie o rekonstrukcję i ochronę wodnych szuwarów) oraz troski o faunę („hotele" dla owadów, domki dla ptaków, oazy dla żab itd.).

W 2023 r. oddano w stolicy do użytku park Akcji „Burza", uhonorowany najpierw Nagrodą Architektoniczną POLITYKI, a później najważniejszym światowym wyróżnieniem w dziedzinie publicznej przestrzeni – European Prize for Urban Space (Barcelona). I rzeczywiście jest to pionierska realizacja, nowatorsko łącząca funkcje przyrodnicze, edukacyjne, pamięci historycznej oraz rekreacyjno-wypoczynkowe. I wielki hołd oddany tzw. czwartej przyrodzie (ruderalnej), dotychczas uchodzącej za coś gorszego, miejskiego pasożyta. Tu uczyniono z niej jednego z bohaterów parku, zapewniając szczególną, na wzór ścisłych rezerwatów, ochronę. Tego wcześniej nie było.

Podobny tok myślenia przyjęto przy tworzeniu wspomnianego już i otwieranego na dniach parku Żerańskiego. Tu także ograniczono do minimum ingerencję projektową, zachowując naturalny, półdziki charakter roślinności. I również postanowiono się zaopiekować roślinnością ruderalną, choć w bardziej kontrowersyjnym kontekście. O ile bowiem w parku Akcji „Burza" towarzyszyła ona uświęconym historią gruzom ze zburzonej w czasie drugiej wojny światowej stolicy, o tyle na Żeraniu otacza odpady z nieodległej i nieistniejącej już... fabryki płyt betonowych. I już słychać głosy, że owo nieingerowanie w to, co zastaliśmy, zaszło zbyt daleko.

Miasta w Polsce mają jednak pewne granice absorbowania nowej roślinności. – *W stolicy jest 9 mln drzew, a w ostatnich pięciu latach zasadziliśmy ich 700 tys.* – wylicza Magdalena Młochowska, dyrektor koordynator ds. zielonej Warszawy w urzędzie miasta. – *I powoli kończą nam się tereny pod nowe nasadzenia*. W innych miastach jest podobnie. Co w tej sytuacji robić? Po pierwsze, dopieszczać tę zieleń, która już istnieje. Doskonałym przykładem jest rewitalizacja warszawskiego Pola Mokotowskiego czy parku Lotników Polskich w Krakowie. Ale spore sukcesy w tym zakresie mają też Bydgoszcz (Myślęcinek), Kalisz, Radom i inne miasta.

Patent drugi, skromniejszy, ale bardzo widowiskowy, to „wyszarpywanie" kawałków miasta na potrzeby przyrody. To wspomniane choćby rozpłytowywanie (zwane też odbrukowywaniem), tworzenie tzw. parków kieszonkowych lub linearnych, dodawanie drzew i roślin wzdłuż szlaków komunikacyjnych. W szczególnych przypadkach – kosztem istniejących dotychczas pasów ruchu, co budzi spore kontrowersje. Jak w Warszawie, gdzie wkrótce zwężeniu ulegnie jedna z głównych magistrali miasta, ul. Marszałkowska. A wcześniej roślinność trafiła na miejsce bruku m.in. na placach Bankowym i Pięciu Rogów oraz na pl. Defilad, na wprost głównego wejścia do Pałacu Kultury. Pewne rezerwy jeszcze istnieją. Dotyczą przede wszystkim zagospodarowania podwórek w kamienicach, terenów w sąsiedztwie biurowców, okolic niektórych osiedli mieszkaniowych.

Duże tereny zielone, szczególnie te o historycznej proweniencji, zawsze były turystyczną atrakcją. Wystarczy wspomnieć ogrody w Wersalu, Hyde Park w Londynie, Central Park w Nowym Jorku czy Park Güell w Barcelonie. A u nas choćby Łazienki i Wilanów. I to się nie zmieniło, choć zmienia się kontekst. Dziś atutem jest ogólnie zieleń w mieście jako element polityki proekologicznej i dbałości o dobrostan mieszkańców, zachętą, by się osiedlać, odwiedzać, inwestować. A procent pokrycia miasta koronami drzew jest równie ważny jak dostęp do opieki zdrowotnej czy niski wskaźnik przestępczości. Zmalała ranga wielkich, wypasionych ogrodów, a wzrosła – skwerów, zielonych placów zabaw czy szpalerów wzdłuż chodników.

Bosco Verticale w Mediolanie

Nic dziwnego, że co rusz publikowane są rankingi najbardziej zielonych miast Europy. Tu dopiero panuje niezły chaos, bo i kryteriów, które można zastosować, jest co niemiara. Europejski Instytut Leśny badał zalesienie stolic i wyszło mu, że na Starym Kontynencie króluje Oslo, a za nim plasują się Berno i Lublana. Z kolei brytyjski portal Essential Living ważył pięć różnych kryteriów (lasy, parki, woda itd.) i uznał, że wśród dużych miast przoduje Paryż, wyprzedzając Amsterdam i Rzym. W tym zestawieniu Warszawa znalazła się na dziewiątym miejscu. Natomiast na piątym umieszczono ją w zestawieniu „100 najzieleńszych miast Europy" (przygotowanym przez European Best Destinations), w którym z kolei triumfował Maribor, przed Kopenhagą i Rygą.

Na rodzimym poletku najczęściej znaleźć można zestawienia porządkujące miasta według procentowego udziału terenów zielonych w całkowitej powierzchni. Teoretycznie proste i słuszne. Ale i fałszujące rzeczywistość. Oto bowiem wśród miast wojewódzkich króluje Zielona Góra ze wskaźnikiem 55 proc. Tyle że tzw. zieleń urządzona (parki, ogrody, skwery) stanowi tu zaledwie 0,8 proc., podczas gdy cała reszta to lasy otaczające miasto, którego granice administracyjne absurdalnie rozszerzono w 2015 r. Zatem mieszkaniec lub turysta, chodząc ulicami, owej zieloności wcale nie doświadczy. Stąd też wysokie notowania Katowic (w granicach miasta rozległe Lasy Murckowskie) czy Bydgoszczy (Las Gdański). Z kolei bardzo ubogi w naturalne lasy Rzeszów (zaledwie 3 proc. powierzchni miasta) ma równocześnie najwyższy w kraju wskaźnik zieleni zorganizowanej: 13,4 proc.

Dużo trafniejszy i radujący przede wszystkim ekologów jest wskaźnik tzw. pofragmentowania zieleni. Tu z miast

eprasa.pl 6b266ec372

Park Güell w Barcelonie

© SHUTTERSTOCK (2)

wojewódzkich najlepszymi parametrami pochwalić się mogą Opole i Wrocław (Zielona Góra jest ostatnia!), choć krajowym liderem, z ogromną przewagą nad resztą miast, pozostaje Kalisz. Przeprowadzono też ciekawe prospołeczne wyliczenia dostępności zieleni. Określają, jaki odsetek mieszkańców miasta ma dostęp do wartościowego jakościowo terenu zielonego (las, park, ale nie trawniki czy łąki) w odległości pięciu minut spacerem od domu. Tu króluje Rzeszów, przed Olsztynem i Krakowem (najgorzej pod tym względem mają mieszkańcy Opola).

Bez wątpienia zieleń w miastach stanie się w najbliższych latach bardziej widoczna. Nacisk bowiem kładzie się na jej rozproszenie. Słowem: w mniejszych dawkach, ale wszędzie, gdzie tylko się da. Będzie też swojsko, bo następuje wyraźne pożegnanie z gatunkami importowanymi i powrót do tych rodzimych, szczególnie o wysokich walorach w zakresie retencji wody i odporności na wysuszanie i zalewanie. Na pewno przybędzie łąk kwietnych i ogrodów deszczowych, a w pobliżu wód – szuwarów. Słowem, spodziewajmy się coraz liczniejszych minienklaw wsi w mieście.

Niewiadomą pozostaje natomiast przyszłość zielonych fasad, zwanych także ogrodami wertykalnymi. Jakieś dwie dekady temu wydawało się, że błyskawicznie opanują one duże miasta, a pojedyncze, spektakularne realizacje (choćby Bosco Verticale w Mediolanie) tylko podsycały ową fascynację. A są to – dodajmy – rozwiązania zasadniczo zmieniające wizualność miast. Z czasem jednak zapał nieco osłabł, bo ich tworzenie, a potem utrzymanie okazało się skomplikowane i kosztochłonne. W Polsce szykuje się niezwykła tego typu realizacja: apartamentowiec Aura w Poznaniu, którego projekt sygnuje nasz rodzimy star-architekt Robert Konieczny.

Dla rozwoju miast ważne staje się jak najlepsze łączenie projektowania zieleni z innymi elementami miejskiej infrastruktury: ścieżkami rowerowymi, deptakami, parkingami, placami zabaw, szlakami komunikacyjnymi. I harmonijne łączenie potrzeb mieszkańców z wymaganiami proekologicznymi. Zieleni w mieście nikt już nie odważy się lekceważyć, a słynne wybrukowane ryneczki w małych miasteczkach stały się symbolem architektonicznego i urbanistycznego obciachu.

PIOTR SARZYŃSKI

REKLAMA

SZWEDZKA KSIĄŻKA ROKU 2024, KTÓRA ROZGRZAŁA ZIMNE SERCA CZYTELNIKÓW Z PÓŁNOCY.

CZUŁA POWIEŚĆ O ODCHODZENIU I ŚMIERCI, KTÓRA NADE WSZYSTKO AFIRMUJE ŻYCIE. SUBTELNA, CIEPŁA, BEZPRETENSJONALNA.

Książka dla wszystkich, którzy kiedykolwiek musieli kogoś pożegnać. I każdego, kto w pewnym momencie swojego życia będzie musiał pogodzić się z tym, że nie jest nieśmiertelny.

WYDAWNICTWO ALBATROS

eprasa.pl 6b266ec372

Kino testujące

Humor jest formą obrony przed bezradnością wobec historii jako niekończącego się ciągu masakr – mówi Radu Jude, reżyser wchodzącego na polskie ekrany filmu „Kontinental '25".

Eszter Tompa (Orsolya) i Adonis Tanța (Fred)

JANUSZ WRÓBLEWSKI: **– Pana „Kontinental '25" został nakręcony iPhone'em w zaledwie 10 dni. Spotkałem się z opiniami, że powstała rzecz niechlujna, wręcz amatorska, co w przypadku nagradzanego reżysera zastanawia.**

RADU JUDE: – Decyzja o użyciu iPhone'a i szybkim tempie produkcji wynikała przede wszystkim z przyczyn ekonomicznych. Równolegle pracowałem nad „Draculą" –filmem, który miał nieporównywalnie większy budżet (ten film zostanie pokazany podczas tegorocznej edycji Warszawskiego Festiwalu Filmowego – przyp. red.). Młodzi filmowcy często narzekają na brak funduszy i sprzętu, marząc o kamerach 35 mm. Chciałem im pokazać, że można nakręcić fabułę telefonem, który ma się w kieszeni. Kiedyś jeden ze studentów powiedział mi: mówisz tak, ale sam tego nie robisz. Teraz mogę odpowiedzieć: zrobiłem to. Uniknęliśmy przez to długiego procesu aplikowania o fundusze. Podążając zwykłym trybem, realizowalibyśmy ten projekt może za trzy lata. Zaproponowałem ekipie i aktorom z „Draculi", by pracowali bez wynagrodzenia, w zamian za udziały w zyskach, i wszyscy się zgodzili.

Akcja toczy się w Klużu-Napoce w Transylwanii, regionie o skomplikowanej historii rumuńsko-węgierskiej. Główna bohaterka Orsolya jest Węgierką. To istotny szczegół?

Początkowo chciałem się skupić na uniwersalnej historii o eksmisji i kryzysie mieszkaniowym. Jednak kiedy do roli Orsolyi zaangażowałem Eszter Tompę, która ma węgierskie pochodzenie, opowieść zyskała ciekawy kontekst. Transylwania ma burzliwą przeszłość, należała do Węgier, a po pierwszej wojnie światowej została włączona do Rumunii. Te napięcia wciąż dają o sobie znać, na szczęście w cywilizowanej formie. Wielka historia rzutuje na małe, osobiste historie. Radykalizacja nastrojów politycznych w Europie dowodzi, że wszystko to wywiera ogromny wpływ na teraźniejszość.

Pana kino bywa określane jako polityczne, zaangażowane. Jednocześnie w wywiadach mówi pan, że nie wierzy, by sztuka mogła realnie zmieniać świat. To jaka jest w takim razie funkcja kina?

Nie należy przeceniać wagi kina. Jego funkcją jest raczej testowanie społeczeństwa w subtelny sposób, zadawanie pytań i zmuszanie do refleksji. Dla mnie kino to sposób myślenia, narzędzie badawcze. Moje filmy często mówią o sprawach, o których inni nie chcą mówić, jak współudział Rumunii w Holokauście czy niewolnictwo Romów. Robię to, bo czuję, że te tematy budzą lęk, poczucie winy i nie zostały domknięte. Jednak byłbym przerażony, gdyby sztuka miała moc zmieniania świata – to zbyt duża odpowiedzialność.

Refleksja, jeśli jest szczera i głęboka, prowadzi do zmian, jedno nie wyklucza drugiego.

Oczywiście, tym bardziej że historia nie jest zamkniętym rozdziałem, wciąż kształtuje, a nawet tworzy naszą tożsamość. W Rumunii, podobnie jak w Polsce, relacje społeczeństwa z pamięcią historyczną są napięte. Ludzie często odbierają dyskusję o bolesnych wydarzeniach – jak pogrom w Jassach czy u was w Jedwabnem – jako atak na ich narodowe wartości. Ja jednak uważam, że konfrontacja z tymi tematami jest konieczna, by zrozumieć, kim jesteśmy dzisiaj. Gdyby o tych wydarzeniach powstało już 20 filmów, prawdopodobnie nie zajmowałbym się nimi. Ale ponieważ inni nie chcą o tym mówić, czuję potrzebę zabrania głosu.

Postać matki Orsolyi otwarcie wyraża podziw dla Viktora Orbána, a jej córka nazywa jego rządy faszystowskimi. Pan osobiście również uważa Węgry za państwo faszystowskie?

Tak, zgadzam się z tą opinią. Czy to jest prowokacja z mojej strony? Społeczeństwo, aby było dojrzałe, musi umieć przyjąć krytykę.

© AURORA FILMS, PHOTOSHOT/REPORTER

eprasa.pl 6b266ec372

Jak pan ocenia prezydenturę Trumpa? Rosnący w siłę ruch MAGA ma wpływ na zmianę nastrojów w Europie Środkowo-Wschodniej?

Powrót Trumpa do władzy budzi grozę, ponieważ jego postawa i wypowiedzi legitymizują myślenie, które jeszcze niedawno uchodziło za niedopuszczalne. Gdy Trump mówi o aneksji Grenlandii czy proponuje zamianę Strefy Gazy w raj dla amerykańskich deweloperów, radykalni politycy w Rumunii czują się zachęceni do snucia wizji o zagarnianiu terytoriów Ukrainy. To szaleństwo. Nagle znikają wzorce demokracji liberalnej, w które kiedyś wierzyliśmy. W Rumunii, która zawsze była między Wschodem a Zachodem, takie wzorce są niezwykle ważne. Rosyjska propaganda i ekstremistyczne przekazy zaczynają trafiać na podatny grunt. Niektórzy już powtarzają, że to Ukraina sprowokowała wojnę. Mam nadzieję, że Ukraina wygra, ale sytuacja jest bardzo niepokojąca.

Mieszka pan w Bukareszcie i często podkreśla swoje przywiązanie do tego miasta, które jest niemal osobnym bohaterem pana filmów. Jakie są pańskie osobiste relacje z tym miastem?

Bardzo lubię spacerować po Bukareszcie, jestem typem flâneura. Ponieważ transport publiczny mamy słaby, a samochodów mnóstwo, staram się chodzić pieszo, jeśli mam do pokonania mniej niż 10 km. To pozwala mi zauważać detale, które potem trafiają do moich filmów. Rzeczywiście w Bukareszcie jest mnóstwo słownej agresji i frustracji, co staram się odzwierciedlać w dialogach. To miasto, w którym przestrzeń publiczna jest zabierana mieszkańcom – parki, chodniki, podwórka znikają na rzecz parkingów czy patodeweloperki. Kiedy byłem dzieckiem, wszędzie można było grać w piłkę. Dziś, chcąc pograć z moimi dwoma synami, muszę wynajmować boisko. Ten urbanistyczny i społeczny chaos jest fascynujący, ale i przygnębiający.

W „Nie obchodzi mnie, czy przejdziemy do historii jako barbarzyńcy" pojawia się refleksja nad sprawczością sztuki i jej celami. Bohaterka próbuje odkłamać historię poprzez rekonstrukcję – w formie teatralnej inscenizacji – rzezi Żydów, co kończy się farsą i niezrozumieniem. To wyraz zwątpienia w siłę kina jako narzędzia zmiany społecznej?

Tak, jestem daleki od optymizmu w tej kwestii. Jak wspomniałem, uważam, że przykładanie zbyt wielkiej wagi do sztuki jest błędem. Zgadzam się z Hannah Arendt: jeśli chcesz zmieniać świat, idź do polityki, załóż partię. W Rumunii akces do partii kojarzy się, niestety, z przystąpieniem do mafii, ale w krajach o dłuższej tradycji demokratycznej to normalna działalność obywatelska.

Często zestawia pan tragedię i farsę. Nawet do najpoważniejszego tematu jak Holokaust potrafi pan dodać szczyptę czarnego humoru, co niektórym może się wydać niestosowne.

Uważam, że życie ludzkie musi być postrzegane jednocześnie jako komedia i tragedia; to nierozerwalny splot. Ten komiczny, często absurdalny ton pozwala spojrzeć na katastrofę z innej perspektywy, odbiera jej patos. Kiedy w „Nie obchodzi mnie..." ekipa ogląda archiwalne nagrania z procesu zbrodniarzy wojennych, śmieje się, bo sprawcy wyglądają jak banda kretynów. Humor jest też formą obrony przed bezradnością wobec historii jako niekończącego się ciągu masakr. To pozwala uniknąć moralizatorstwa i zachować rozsądek.

W najnowszym filmie sięgnął pan po postać Draculi – symbol Rumunii, ale też popkulturowy banał. Jednocześnie wyreżyserował pan „Osiem pocztówek z utopii", film złożony z archiwalnych reklam. Skąd zainteresowanie tak różnorodnymi, często pogardzanymi formami kultury, jak reklama, TikTok czy mit wampira?

Jestem wielkim fanem mediów społecznościowych, zwłaszcza Instagrama i TikToka, mimo ich toksyczności. Oglądając filmiki z różnych stron świata, widzę sceny i postaci, których nie znajdę w kinie czy sztuce wysokiej. Podobnie jest z reklamami – one wiele mówią o społeczeństwie, jego aspiracjach i lękach w danym momencie historycznym. Kino przeżywa kryzys, a jedynym sposobem na wyjście z niego jest otwarcie się na te nowe formy. Jeśli chodzi o Draculę, jest to próba wykorzystania mitu, by opowiedzieć o samej przyjemności filmowego opowiadania, ale też o tym, jak postać hospodara Włada Palownika jest dziś wykorzystywana przez skrajną prawicę. Mój film o Draculi jest jak bogata w składniki shoarma – mieszam w nim wiele wątków i problemów.

Krytycy w Polsce często powtarzają, że pana filmy, mimo że głęboko osadzone w rumuńskich realiach, doskonale pasują do polskiej rzeczywistości.

Myślę, że te podobieństwa wynikają z wielu powodów. Po pierwsze, moje podejście do kina ukształtowało polskie kino moralnego niepokoju, więc rdzeń patrzenia na rzeczywistość mamy wspólny. Po drugie, mimo wielu różnic nasze społeczeństwa łączą podobne doświadczenia historyczne. Okres po 1989 r. to w Rumunii czas chaotycznej prywatyzacji, upadku niewydolnych fabryk. Doprowadziło to do powstania gospodarki rynkowej, ale jednocześnie ogromnych nierówności. W latach 90. i 2000. Polska była dla Rumunii wzorem transformacji gospodarczej i politycznej, chociaż też nie mieliście lekko. W Rumunii wszystko szło oporniej, zmagaliśmy się z potężnym ruchem ekstremistycznym. Oba nasze kraje przeszły okres fascynacji Zachodem, wierząc w utopijną wizję kapitalizmu, opartą na aspiracjach, prestiżu i nowoczesności. Wmawiano nam, że każdy może zostać właścicielem firmy i że to wystarczy do szczęścia. Dziś zbieramy tego owoce, ale nie tylko to doświadczenie agresywnego kapitalizmu i jego społecznych kosztów mocno łączy Polskę i Rumunię.

Do tego dochodzi polityka historyczna. Polskę i Rumunię łączy podobna „mentalność ofiary", która utrudnia dojrzałą konfrontację z własną historią?

Zdecydowanie. W Rumunii i w Polsce skrajnie prawicowi politycy manipulują faktami, negując współudział w zbrodniach. Gdy wspomina się o Jedwabnem, odbierają to jako atak na tożsamość narodową. Smutne, że historyk taki jak Jan Tomasz Gross uchodzi w tym środowisku za *persona non grata*. Czy tak się zachowuje mądre społeczeństwo? ■

Radu Jude (ur. 1977 r.) – rumuński reżyser i scenarzysta filmowy. Ukończył studia na Wydziale Reżyserii Universitatea Media w Bukareszcie. Jego największym sukcesem jest „Niefortunny numerek lub szalone porno", uhonorowane Złotym Niedźwiedziem na Berlinale w 2021 r. Film „Nie obiecujcie sobie zbyt wiele po końcu świata" wygrał festiwal w Karlowych Warach, a „Kontinental '25" zdobył nagrodę za scenariusz także na Berlinale.

eprasa.pl 6b266ec372

Zmiana kadru

Piotr Domalewski, reżyser „Ministrantów", wraz z młodymi aktorami

Złote Lwy zdobyli „Ministranci", wpisujący się w coraz powszechniejsze nastroje utraty zaufania do Kościoła. A z Gdyni popłynął jasny sygnał pokoleniowej zmiany w polskim kinie.

JANUSZ WRÓBLEWSKI Z GDYNI

Podczas 50. jubileuszowej edycji Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni można było usłyszeć wiele krytycznych uwag – zarówno pod adresem instytucji odpowiedzialnych za finansowanie przemysłu kinematograficznego, jak i twórców, często rozmijających się z oczekiwaniami widzów. Wnioski nie są jednoznaczne i pewnie długo jeszcze trwać będzie środowiskowa debata, co trzeba zmienić, aby skutecznie wspierać rozwój kina autorskiego, ratować trudną sytuację niezależnych producentów, poprawiać frekwencję na polskich filmach. Mimo kryzysu na poziomie organizacyjnym oraz napięć między Ministerstwem Kultury, PISF-em i artystami pojawiła się jednak nadzieja w postaci wysypu nowych talentów.

Wystarczy pobieżny rzut oka na listę tegorocznych laureatów, by nabrać przekonania, że następuje wyraźna zmiana tonu w polskim kinie. Smarzowski, Pasikowski, Machulski, a więc faworyzowani mistrzowie, wyjechali z Gdyni bez nagród. Także „Chopin, Chopin!" – najdroższa polska superprodukcja z budżetem blisko 70 mln zł – doczekał się jedynie wyróżnień za kostiumy i scenografię. To nie przypadek. Najgoręcej były przyjmowane propozycje młodych: ironiczne, dowcipne, na swój sposób odważne formalnie, niby dostosowane do tiktokowej wrażliwości 20–30-latków, a tak naprawdę przewrotnie przełamujące konwencję *feel good movies*.

Absurdalna komedia o nastolatkach wcielających się w postaci z gier fabularnych „LARP. Miłość, trolle i inne questy" Kordiana Kądzieli (współautora sukcesu „1670") czy nakręcona w rytmie teledysku współczesna wersja „Romea i Julii" osadzona w środowisku niewidomych „Światłoczuła" Tadeusza Śliwy – to czysta rozrywka. W trudnych czasach taki eskapizm działa kojąco. Autorzy wnieśli sporo świeżości, empatię, a poruszające sceny układają się w pokrzepiające baśnie o dojrzewaniu i potrzebie czynienia dobra. I trudno uznać za niespodziankę, że jury pod przewodnictwem Magnusa von Horna postanowiło je uhonorować – za męską rolę drugoplanową (Andrzej

eprasa.pl 6b266ec372

Konopka) i najlepszą kreację kobiecą (Matylda Giegżno), choć niektórzy oczywiście się dziwili.

„Ministranci" Piotra Domalewskiego, który po raz drugi w swojej karierze odebrał Złote Lwy (wcześniej otrzymał je za debiutancką „Cichą noc"), mieszczą się w tym samym nurcie. To brawurowa, prowadząca do moralnego katharsis odpowiedź na nasze lęki i zarazem film z samego środka sporów o PISF. To przez niego Karolina Rozwód straciła stanowisko dyrektorki tej instytucji, a jej poprzednik Radosław Śmigulski robił wszystko, by nie dopuścić do jego powstania. Niechciani przez władze różnych opcji politycznych „Ministranci" otrzymali nagrodę publiczności, jury uzasadniało werdykt tym, że film uświadamia, jak ogromny wpływ może wywierać religia na umysły młodych. Docenili go też szefowie festiwali za granicą i stowarzyszenia kin studyjnych. Paradoks – oby ostatni w historii polskiego kina – świadczący o drastycznym rozminięciu się celów brutalnie uprawianej polityki kulturalnej i swobody twórczej.

Film Domalewskiego bierze pod lupę hipokryzję polskiego Kościoła katolickiego. Pokazuje organizm ślepy i głuchy na wyzwania współczesnego świata: od biedy, niesprawiedliwości społecznych, nierówności klasowych, po tragedie rodzinne i toczące się wojny. Bohaterami są służący do mszy 12-latkowie, którzy traktują serio nauki zawarte w Biblii, przeżywają autentycznie imperatyw pomagania najsłabszym, patrzą na rzeczywistość bez kompromisów, oczekując natychmiastowych rozwiązań. Dochodzą do wniosku, że proboszcz zawodzi, bo przeznacza pieniądze nie dla parafian, tylko na daninę dla kurii – a za remedium na całe zło uważa głoszone z ambony hasło „naszą tarczą wiara" i dumę z bycia „ostatnim bastionem chrześcijaństwa" – oni muszą wziąć sprawy w swoje ręce, by wesprzeć potrzebujących. Poczucie sprawczości oraz solidarności ostatecznie znajdują poza instytucją, której tak bardzo ufali – wśród siebie. Budując to, co Gombrowicz nazywał kościołem międzyludzkim.

„Ministranci" nie są „Klerem 2". Film ma charakter ironicznej, pełnej ciepłego humoru humanistycznej przypowiastki, rozegranej w małomiasteczkowej scenerii na ścianie wschodniej, gdzie za pobliską granicą toczy się konflikt zbrojny, a nastolatki – jak to nastolatki – zajmują się rapem, dokuczaniem sobie między lekcjami i jednocześnie zastanawianiem się, jak tu być dobrym. Śmiech budzi szczere, dosłowne potraktowanie przez nich zasad mających uporządkować otaczający ich chaos – ustanowionych w imię prawdy przez autorytety, na czele z Nowym Testamentem. „Pomysł zrodził się z mojej niezgody na to, że ludzie z reguły – i to chyba jest największe rozczarowanie dorosłości – deklarują inne wartości, a kompletnie tych wartości nie realizują swoim postępowaniem" – tłumaczył podczas spotkań z publicznością reżyser, dodając, że przez 12 lat był ministrantem i często miewał ochotę buntować się w podobny sposób jak jego bohaterowie.

W determinacji czwórki przyjaciół widać jasną próbę wcielenia w życie chrześcijańskich ideałów sprawiedliwości i wychodzenia naprzeciw bliźniemu. Ale to, co zaczyna się jako altruistyczna misja, przeradza się w niebezpieczną grę, w której łatwo przekroczyć granicę dobra i zła.

Zwycięski film jest bardzo trafną diagnozą polskiego społeczeństwa, oddalającego się od korporacyjnie zarządzanego Kościoła. Potwierdzają to najnowsze badania IBRiS. Dla przypomnienia: w ciągu ostatnich dziewięciu lat zaufanie do biskupów w Polsce spadło aż o 23 pkt proc. do 35,1 proc. Odsetek osób, które „zdecydowanie ufają" Kościołowi, osiągnął rekordowo niski poziom 7,2 proc.

Te dane szokują. Publicystyka jest jednak ostatnim słowem, jakie przychodzi na myśl podczas oglądania „Ministrantów". To fantastyczne, niesamowicie wzruszające widowisko w lekki komediowy sposób mówiące o potrzebie wsłuchania się w głos drugiego człowieka, zaglądające w głąb serc Polaków, by skonfrontować się z tym, jacy naprawdę jesteśmy. Do tak silnego stopienia intencji twórców z odczuciami oglądających doszło ostatnio przy nominowanym do Oscara „Bożym Ciele" Jana Komasy i może jeszcze „Ostatniej rodzinie" Jana P. Matuszyńskiego, wszystkie trzy sygnowane są zresztą przez tego samego producenta Leszka Bodzaka, zresztą absolwenta liceum katolickiego.
W tę samą falę duchowego wzmożenia młodego kina wpisał się wybitny debiut Emi Buchwald „Nie ma duchów w mieszkaniu na Dobrej", świadomie rezygnujący z poruszania wielkich tematów społeczno-politycznych. 33-letnia autorka (uhonorowana za reżyserię) koncentruje ▶

© MACIEJ CZARNIAK/TROJMIASTO.PL

REKLAMA

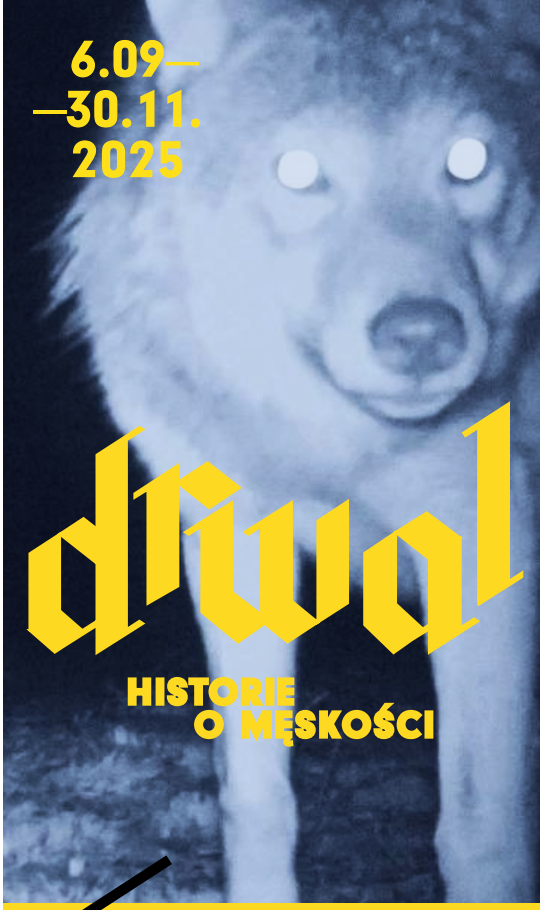

OSOBY ARTYSTYCZNE:
ERNEST BOROWSKI
OLAF BRZESKI
KRYSTIAN DASZKOWSKI
ARTI GRABOWSKI
KRZYSZTOF MANIAK
DOROTA NIEZNALSKA
KAROL RADZISZEWSKI
SONIA RAMMER
ALEKSANDRA SKA
MAGDALENA STARSKA
IZA TARASEWICZ
SŁAWOMIR TOMAN
HONZA ZAMOJSKI

KURATOR:
PRZEMYSŁAW JĘDROWSKI

CKZAMEK.PL

WYSTAWA CZYNNA CODZIENNIE
G. 12-20 | I PIĘTRO CK ZAMEK

ORGANIZATORZY:
CENTRUM KULTURY ZAMEK
POZnań
Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego
Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury

PATRONI MEDIALNI:
dwójka POLSKIE RADIO
Trójka POLSKIE RADIO
POLITYKA
SZUM
CzasKultury
MINT
dynks

eprasa.pl 6b266ec372

▶ się na mikroświecie rodziny. Opowiada o czwórce rodzeństwa na progu dorosłości, akcentując pomijany na ogół w polskim kinie wątek skomplikowanych i trudnych do nazwania więzi łączących młodych ludzi, wykraczający poza tradycyjne ramy opowieści rodzinnej. Film składa się z 12 rozdziałów, dzięki którym poznajemy najważniejsze wydarzenia z ich wspólnego życia na przestrzeni roku. Elementy dramatu, komedii, realizmu i metafizyki przeplatają się, tworząc spójną całość, podobnie jak pełne lęków i dziwnych przeczuć cztery osobowości bohaterów, zespolone są na ekranie niewidoczną siłą, jakby w jeden wspólny organizm.

Poetycka uroda imponującego debiutu Buchwald opiera się na doskonałym aktorstwie, rewelacyjnych dialogach i nieoczywistych emocjach uchwyconych w codziennych sytuacjach. Na skutek lęku przed samotnością rodzeństwo instynktownie lgnie do siebie, a zarazem rozpaczliwie poszukuje niezależności. Jeśli reżyserka „Nie ma duchów w mieszkaniu na Dobrej" – zgodnie z obietnicą wypowiedzianą na gali – zdoła podążać konsekwentnie dalej tak radykalnie wytyczoną ścieżką, o przyszłość polskiego kina artystycznego możemy być spokojni.

Ze starszego pokolenia – oprócz Skolimowskiego i Polańskiego – najmłodsza duchem pozostaje 76-letnia Agnieszka Holland, czego dowodem ultranowoczesny i eksperymentalny „Franz Kafka", wpisujący się w twórcze poszukiwania nowego języka, nagrodzony m.in. Srebrnymi Lwami, a wcześniej wybrany jako polski kandydat do Oscara. Rzecz jest zaprzeczeniem koturnowej biografii. Walczy o uwagę przede wszystkim młodego pokolenia, ustawia jednak poprzeczkę bardzo wysoko. Trudne, chwilami hermetyczne dzieło Holland podważa mit i funkcjonujący w kulturze masowej wizerunek pisarza, dekonstruuje jego życie i twórczość, by z rozsypanych fragmentów zbudować lustro, w którym przegląda się nasza współczesność. To intelektualny esej, mozaikowy portret artysty, którego naprawdę pociągała tylko literatura. Osobiste świadectwo trwającej od dekad fascynacji reżyserki, obnażającej niemożność pełnego poznania swojego bohatera, a jednocześnie dowodzącej artystycznego powinowactwa z autorem „Kolonii karnej".

W wywiadach i na konferencjach prasowych Holland podkreślała, że nie interesowała jej chłodna analiza, tylko głęboko intymny dialog z samotnikiem z Pragi – dzieckiem rodzącej się nowoczesności, zaniepokojonym kierunkiem, w jaki podąża świat, przerażonym niejasną wizją rozwoju nowych technologii (m.in. telegrafu, medycyny, kina), którego tożsamość była złożona, wielowymiarowa i płynna. Jako niemieckojęzyczny żydowski poddany w Królestwie Czech w Cesarstwie Austro-Węgierskim, które po pierwszej wojnie światowej przekształciło się w Czechosłowację, Kafka nigdzie nie czuł się sobą. I vice versa: piszący po niemiecku Żyd nie wydawał się postacią interesującą dla Czechów, dla Niemców był przede wszystkim obcym, a wśród Żydów traktowany był jako zbyt kosmopolityczny, zbyt niereligijny.

Wybitna debiutantka Emi Buchwald, nagrodzona za reżyserię „Nie ma duchów w mieszkaniu na Dobrej"

To wszystko znajduje wyraz w przemyślanej, wystylizowanej na malarstwo przełomu wieków magicznej warstwie wizualnej filmu, za którą odpowiadał Tomasz Naumiuk, nagrodzony za najlepsze zdjęcia. W wielu ujęciach można się też doszukać ciekawych zabiegów wpisania rozmytej tożsamości bohatera w jeszcze szerszy kontekst także twórczości samej Holland. Niektóre kadry nawiązują np. do „Całkowitego zaćmienia" czy „Janosika. Prawdziwej historii" – opowieści o buntownikach wizjonerach, figurach niemal chrystusowych, co brzmi dziwnie, lecz ma sens.

Holland przyznaje, że odkryła prozę Kafki jako nastolatka i już wtedy poczuła z nim szczególną więź, nazywając go podziwianym bratem, którym trzeba się opiekować, bo mimo siły jest bardzo kruchy. Fascynacja Kafką zaprowadziła Holland na studia do Pragi, miasta, w którym chciała się zanurzyć w tym samym świecie co on. Później pojawiło się pragnienie, by odgrzebać pisarza spod góry narosłych w międzyczasie biografii, pomników, muzeów, gadżetów, a przede wszystkim: spod nadmiaru słów, które zdefiniowało ten nowatorski, nielinearny projekt.

Dzisiaj zdaniem Holland Kafka aktualizuje się na nowo. Te same mechanizmy, które przeczuwał jej bohater, w epoce postprawdy prowadzą do globalnego chaosu poznawczego, gdzie fakty tracą znaczenie. Sam Kafka, co sugeruje film, w kapitalistycznej Pradze stał się „biznesowym złotem", marką handlową sprzedawaną na breloczkach obok Krecika – to groteskowy dowód na ignorowanie głębi jego ostrzeżeń.

O ile zabieg, by film uczynić intelektualnym palimpsestem, w którym na życiorys pisarza nadpisywane są różne filozoficzne refleksje, z pewnością się Holland udał, o tyle zbudowanie mostu między Kafką a współczesną młodą widownią – już niekoniecznie. W dobie kryzysu demokracji liberalnej, erozji państwa prawa i upadku autorytetu Kościoła żywszą, bardziej przejmującą diagnozą współczesności wydają się „Ministranci".

JANUSZ WRÓBLEWSKI

Rozmowa z Piotrem Domalewskim do wysłuchania i obejrzenia na kanale youtube.com/@Tygodnik_Polityka

© KRZYSZTOF MYSTKOWSKI/KFP/PPFF

eprasa.pl 6b266ec372

Film Paula Thomasa Andersona to swobodna ekranizacja powieści „Vineland". W roli głównej Leonardo DiCaprio.

© ALAMY/BE&W

Paranoja jest goła

Thomas Pynchon, zwany też „Tenczonem", to stare-nowe odkrycie literackiej jesieni. W Polsce furorę robi wznowienie „Tęczy grawitacji", mamy też premierę filmu „Jedna bitwa po drugiej" na bazie jego powieści, a za oceanem – zupełnie nową książkę pisarza.

JUSTYNA SOBOLEWSKA

Niespodziewanym przebojem literackim początku jesieni stała się w Polsce wznowiona „Tęcza grawitacji" Thomasa Pynchona w przekładzie (przejrzanym) Roberta Sudoła. Premierze polskiego tłumaczenia w 2001 r. towarzyszyły zarzuty, że to za późno i już nie czas na psychodeliczne jazdy. A dziś ta powieść trafia w swój czas. W ostatnich latach osiągała niebotyczne ceny w antykwariatach. Że decyzja wydawnictwa ArtRage o wznowieniu była słuszna, pokazały pierwsze 24 godziny po otwarciu przedsprzedaży. Czytelnicy wykupili od razu 1 tys. egzemplarzy. Jeszcze przed premierą rozeszło się dwie trzecie nakładu. Zamawianie Pynchona stało się przejawem snobizmu. Zanim jednak „Tęcza grawitacji" stanie się najchętniej kupowaną i najmniej czytaną z książek, taką do postawienia na półce, zastanówmy się, co dziś ma nam do powiedzenia jeden z najważniejszych pisarzy Ameryki.

Gdzie uderzą rakiety

Tłumacz Robert Sudół przy okazji wznowienia przyznał (na stronie wydawcy), że „Tęcza to zaborcza zołza" i wdzierała się nawet do jego snów: „Powieść ma ogromną moc narracyjną i gdy zasiadłem do niej zarówno wtedy, jak i teraz, to ona była prawdziwą rzeczywistością. Jakby się szło na odosobnienie". Nowa wersja przekładu ma szansę wdzierać się teraz do snów czytelników albo towarzyszyć ich bezsennym nocom. Po latach nagle trafia w rzeczywistość rozchwianą, paranoiczną, niepewną, czas teorii spiskowych. Rzeczywistość, w której Ameryka odgrywa inną rolę niż dotychczas, w której stałe wektory zamieniły się miejscami. I wreszcie czas wojenny, gdy lecące rakiety są naszym tematem powszednim. Czy to już? Czy za chwilę obudzimy się w takiej rzeczywistości?

„Wycie przeszywa niebo na wskroś" – tak się zaczyna ta powieść. A dalej: „Nagle spada rakieta. Przerażająca eksplozja tuż pod miasteczkiem zmienia całkowicie strukturę powietrza i czasu: okno rozwiera się do środka, skrzydła na skrzypiących zawiasach odbijają się od ściany i zatrzaskują, dom dygocze". W powieści rakieta dosłownie leci na nas, czytelników. Ciekawe, że to właśnie powstała 52 lata temu „Tęcza grawitacji" bardziej chwyta naszą dzisiejszą świadomość, czy nawet podświadomość, a nie nowa książka Pynchona „Shadow Ticket", która nie jest reakcją na współczesność, choćby na nową Amerykę. ▶

eprasa.pl 6b266ec372

▶ W „Tęczy grawitacji" wracamy do schyłku drugiej wojny światowej. Zespół niemieckich naukowców, który pracował nad rakietą V2, zostaje przeniesiony do Stanów Zjednoczonych i zatrudniony do projektowania amerykańskich rakiet balistycznych, o których Pynchon dużo wiedział dzięki swojej pracy w Boeingu. Istnieją teorie, że to właśnie rakieta jest główną bohaterką powieści, a nie porucznik Tyrone Slothrop, pracujący dla alianckiego wywiadu w Londynie. W dzieciństwie Slothrop był częścią eksperymentu naukowców, którzy potem wspierali nazistów. Została mu z tamtego czasu pewna właściwość – jego wzwód daje mu znać, gdzie uderzą rakiety.

Wykolejona konstytucja

Jednym ze skandali wokół tej powieści było nieprzyznanie autorowi Nagrody Pulitzera z powodu obsceniczności tej powieści. „Tęcza grawitacji" jest przepełniona nadmiarem. Towarzyszy on również wszelkim odmianom seksualności, katalogom fizjologicznych okropności. Dziś wszystkie te obsceniczne elementy znajdziemy w internecie, więc trudno o zgorszenie.

Przestała też być sensacją nieobecność autora, która rozgrzewała debatę przez dziesięciolecia – w rzeczywistości, w której liczy się dobry spektakl, nic nie dziwi. Na jedynym dostępnym nam zdjęciu Pynchon – uchwycony w młodości – szczerzy zęby. Nabokov z trudem sobie przypominał, że taki student przychodził na jego zajęcia. Salman Rushdie w autobiograficznej powieści „Joseph Anton" wspominał kolację z Pynchonem, który miał białe włosy Einsteina i zęby Królika Bugsa, i swobodnie opowiadał o swojej pracy w zakładach Boeinga. Bohaterowi dobrze gadało się z pisarzem i liczył na kolejne spotkanie w Nowym Jorku, na wspólny wypad na drinka, ale oczywiście nikt już go nigdy nie spotkał. Ta trwająca dziesięciolecia nieobecność (użyczył głosu w „Simpsonach") jest odczytywana jako część strategii sprzeciwu pisarza, który nie zgadza się na bierne współuczestnictwo w systemie. Nie zgadza się też na uczestnictwo w kulturze, w której obrazki wypierają słowa.

Równocześnie z premierą wznowienia „Tęczy grawitacji" wchodzi do kin film Paula Thomasa Andersona „Jedna bitwa po drugiej", luźna ekranizacja innej powieści Pynchona – „Vineland". Przypomina, że domeną pisarza jest groteska, wyolbrzymienie, paranoja, a z drugiej strony – mityczna baśniowość. Takie korzenie ma schemat tej historii, w której ojciec (w tej roli znakomity Leonardo DiCaprio) próbuje ochronić córkę przed złym pułkownikiem (Sean Penn). Ojciec jest starym hipisem i rewolucjonistą, nieudacznikiem, który biega w szlafroku, kiedy wokół trwa nagonka na imigrantów i umacnia się władza oszołomów.

„Vineland" to rozliczenie z kontrkulturą, która była pisarzowi bliska. Jak pisze Tadeusz Pióro: „Pynchon palił na potęgę, zaś niektóre passusy »Tęczy...« sugerować mogą, iż nieobce było mu działanie LSD. Wydaje się, że ten były żołnierz marynarki wojennej, były pracownik przemysłu zbrojeniowego, zatrudniony niegdyś przy produkcji rakiet służących do przenoszenia głowic jądrowych, swój żywioł właściwy znalazł w środowisku kalifornijskiej kontrkultury".

Dostajemy u Andersona jedną z najlepszych filmowych scen pościgu samochodowego po serpentynach pustyni, w rytmie paranoicznej (bardzo dobrej) muzyki Jonny'ego Greenwooda. W tym i w poprzednim filmie na bazie tekstów pisarza („Wada ukryta") reżyser kładzie nacisk na wizję Ameryki Pynchona. Jest to opowieść o tym, jak projekt zawarty w Deklaracji Niepodległości, a potem w konstytucji, nie spełnił swoich założeń i coraz bardziej się wykolejał. System ulega entropii (ważne słowo dla Pynchona), władza wspiera pogoń za zyskiem, rosną nierówności, ksenofobia i rasizm. Anderson, przenosząc akcję z lat 80. do współczesności, podkreśla tę krytyczną wizję. Ten świat jest groteskowo wykrzywiony, ale dotyka wszystkiego, z czym dziś się mierzymy. Zdemoralizowana władza to źródło przemocy i gwałtu, a jednocześnie jej celem nadrzędnym jest zawsze zysk. Jak czytamy w „Tęczy grawitacji": „Nie należy zapominać, że prawdziwym zajęciem Wojny jest sprzedaż i kupno. Mord i przemoc pilnują się same, toteż można je powierzyć amatorom. Masowy charakter śmierci jest użyteczny pod wieloma względami. Służy za spektakl, odwraca uwagę od rzeczywistych poczynań Wojny".

Kluczowe słowa

„Tęcza grawitacji" ukazała się w 1973 r., od tamtego czasu narosła literatura przedmiotu tłumacząca niemal każdy aspekt tej powieści. Przewodnikiem po niej może być książka z serii studiów amerykanistycznych Tadeusza Pióro i Marka Paryża „Thomas Pynchon". Ten zbiór esejów wielu autorów oświetla kolejne aspekty twórczości amerykańskiego pisarza. Warto wiedzieć coś wcześniej, wchodząc w kosmos i chaos Pynchona, w nieskończoność nawiązań i aluzji. W słowniku kluczowych pojęć znalazły się tu: powieść encyklopedyczna, karnawał, entropia – i paranoja.

Powieść encyklopedyczna mierzy się z całością wiedzy i tradycji wierzeń i mitów. Patronuje jej idea encyklopedii otwartej. Jest w tym paradoks, bo skoro encyklopedia, to dlaczego otwarta? Pisał o tym Italo Calvino w wykładach harvardzkich – nauka przestała ufać rozwiązaniom globalnym, zajmuje się raczej rozwiązaniami specjalistycznymi i wycinkowymi. I zamiast niej właśnie literatura próbuje w złożonej i wielorakiej wizji świata pomieścić różne dziedziny wiedzy i kody jej odczytania.

Zamiast naukowego rozpoznania u Pynchona pojawia się oświecenie, czasem przypominające rażenie piorunem. Ziemię u Pynchona zamieszkują anioły: żydowskie, muzułmańskie i chrześcijańskie. Rozpad cywilizacji Zachodu wpisany zostaje we wzorce mitologiczne. Przy czym książka nie da nam poczucia, że ogarniamy całość wiedzy – autor nas nieustannie wyprowadza na manowce.

Paranoja – kolejne słowo kluczowe w słowniku Pynchona – przynosi poczucie, że wszystko ze wszystkim się tajemnie łączy. Przy czym znowu szukanie znaków przypomina grzebanie w śmieciach: „grzebiemy niestrudzenie wśród plastikowych śmieci, znajdując w każdym Głębszą Doniosłość, próbując uporządkować je wszystkie jak człony szeregu potęgowego w wysiłkach dotarcia do tej potężnej i tajemnej Funkcji, której nazwy, podobnie jak rekonstruowanych imion Boga, nie można wymówić". Najważniejszym sposobem widzenia świata w powieści jest widzenie paranoiczne, które pozwala dostrzegać ukryte związki. Pytanie, czy Slothrop jest paranoikiem, czy jest po prostu spostrzegawczy, pozostaje otwarte.

Z paranoją wiąże się też wszechobecny tutaj karnawał, który jest zasadą świata Pynchona. Ten odwrócony porządek zawiesza zwykle podziały władzy, rządzi śmiech i satyra. „Wiele epizodów przechodzi przy tym w slapstickową komiczność: noga, która utknęła w muszli klozetowej; inteligentna ośmiornica oglądająca film

eprasa.pl 6b266ec372

kinowy. Kryptogam, ujawniający się pod wpływem kontaktu ze spermą; czy walka z użyciem dwumetrowych piankowych penisów. Poetyka nadmiaru, przesady i potworności, cechująca wielkie projekty encyklopedyczne, obejmuje nie tylko ciało i fizjologię, ale zwraca się również w stronę języka" – pisze Jan Balbierz w książce: „Thomas Pynchon".

I wreszcie kolejna obsesja Pynchona – entropia. Znajduje jej działanie w różnych sferach w kulturze, na rynku, w psychice, przede wszystkim w społeczeństwie. Odpowiedzią na entropię i zastygające układy władzy jest paranoja jednostki. W ten sposób „Tęcza" okazuje się powieścią o kontroli i ujarzmianiu jednostki, która może być jakimś przewodnikiem w czasach nieufności, niepewności i nadmiaru.

Biegnij za kulką

Jak czytać „Tęczę grawitacji"? Nadmiar wątków i postaci sprawia, że trudno mówić o wciąganiu się w fabułę, a przecież jest to historia szpiegowska. „Na ogół zanik ciekawości (stwierdzam to na podstawie prowadzonych przeze mnie od ponad 30 lat rozmów z czytelnikami Pynchona, wśród których są osoby wielu narodowości, w różnym wieku i o zróżnicowanym wykształceniu) powoduje szczątkowa zaledwie obecność fabularnego napięcia – rzecz zadziwiająca, jeśli wziąć pod uwagę charakter przedstawianych wydarzeń. Wojny, intrygi szpiegowskie i kryminalne, walka rozmaicie rozumianej »opozycji demokratycznej« bądź anarchistycznej z autorytarną władzą lub wspieranym przez nią »kompleksem militarno-przemysłowym« to przecież naturalne środowisko narracyjnego suspensu" – pisze Tadeusz Pióro.

Tutaj jednak fabuła nie działa w sposób, do jakiego przyzwyczaiły nas thrillery. Pynchon postuluje inną lekturę, otwartą na szybkie zmiany optyki, być może bardziej fragmentaryczną, nawracającą, ale przede wszystkim znajdującą przyjemność w języku, gorączkowym i w wielu miejscach poetyckim, co świetnie wydobywa przekład Sudoła: „Kołpaki śmigieł sterczą z zakapturzonych mroków okapotowań, wirujące łopatki pozostają niewidoczne, a światło z góry łowi wszystkie odsłonięte powierzchnie w jednorodną posępną szarość. Samoloty wznoszą się z warkotem, statecznie, w zerowe niebo, zrzucając z siebie lód w trakcie nabierania wysokości, pozostawiając w tyle błękit zaorany w białe lodowe bruzdy, a ich własna barwa harmonizuje z niektórymi rejonami chmur, wszystkie małe okienka i otwory spowite miękką ciemnością, nos z pleksiglasu odbijający blask, na zawsze skrzywiony, ociekający chmurami i słońcem".

Paradoksalnie z chaosu i paranoi, z oskarżeń systemu władzy Pynchon nie wyciąga wniosku o ostatecznej katastrofie i apokalipsie. Powieść nie kończy się eksplozją, choć rakieta na nas leci. I tu wracamy do mityczno-baśniowej warstwy, którą znajdziemy również w filmie Andersona. Zło może zostać pokonane, ale nie tak, jak byśmy się spodziewali. „Biegnij za turlającą się kulką" – pisze Pynchon w finale „Tęczy grawitacji", konfrontuje czytelników z ich lękami, ale zamiast postraszyć ostatecznym końcem – daje możliwość zupełnie innego zakończenia, karnawałowej przemiany śmiechem albo mistycznego objawiania. Każdy może wybrać swój sposób lektury.

JUSTYNA SOBOLEWSKA

REKLAMA

dialog — wrocław
11. Międzynarodowy Festiwal Teatralny
program i bilety:
dialogfestival.pl
12–18.10.2025
Krzysztof Warlikowski, Tao Ye, Huang Yi, Małgorzata Wdowik, Gabriela Carrizo we współpracy z Raphaëlle Latini, Ézéquiel Garcia-Romeu, Marcin Wierzchowski, Ryoichi Kurokawa, Luk Perceval, Ushio Amagatsu, GayBird, Katarzyna Kalwat
s[t]ymulacje
Strefa Kultury
DIALOG WROCŁAW
Wrocław miasto spotkań
Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury
Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego
Współorganizator:
OPERA WROCŁAWSKA
Mecenas:
comex

eprasa.pl 6b266ec372

Mea pulpa

czyli kronika popkulturalna Kuby Wojewódzkiego

Telewizja wPolsce24 zmienia zasady nadawania programu satyrycznego „Bez spiny". Będzie nadawany już nie codziennie, ale tylko w soboty. Prawicowe poczucie humoru jest jak Chuck Norris: Boli go ząb? Nie, to on boli zęba.

●

Z okazji 50. urodzin Magdy Steczkowskiej Wirtualna Polska w ramach prezentu uznała, że Magda jest sobowtórką Agaty Dudy. Gratulacje. Te panie dużo łączy. Ich wypowiedzi jakoś nie mogą się przebić.

●

Robert Biedroń zaapelował o wykluczenie Izraela z Konkursu Piosenki Eurowizji. To ważny apel. Dzięki niemu dowiedzieliśmy się, że Robert jeszcze istnieje.

●

Maja Bohosiewicz po występie w „Tańcu z gwiazdami" pokazała światu wiadomość SMS od męża: „Żebyś ty w łóżku taka ruchliwa była". Już Marshall McLuhan pisał, że spora część programów przypomina wsiowe plotki.

●

Maciej Pela, najbardziej znany nieznany były małżonek showbiznesu, pokazał mamę na Instagramie. Typowy objaw gasnących influencerów. Codzienny prywatny Black Friday.

●

Sprawdziłem, kogo na Instagramie obserwuje prezydent Karol Nawrocki. To m.in. Ida Nowakowska, Robert Bąkiewicz i Maciej Musiał. Za dużo fachowców na Kancelarię Prezydenta, za mało na „You Can Dance".

Krzysztof Gojdź pochwalił się licówkami za 100 tys. zł i odpowiedział krytykom: „Ty nie masz, hejterze, bo cię nie stać". Oczywiście. A Międzynarodowy Dzień Głupoty to święto ruchome, bo Krzyś dużo podróżuje.

●

Serwis Jastrząb Post informuje czytelników: „Jolanta Pieńkowska zawdzięcza swój wygląd treningom". Oczywiście. Nie trzeba też jadać witaminy D, jeśli twoja ukochana jest słoneczkiem.

Plotek donosi: „Syn namawiał Ewę Minge na udział w »Tańcu z gwiazdami«. Teraz przeprasza i mówi o pomyłce". Przypomina mi się dialog: „Pana syn ciągle kłamie. – Musi być w tym zajeb...y, bo ja nie mam syna".

●

Po odejściu z telewizji wPolsce24 Michał Adamczyk, Michał Karnowski i Marcin Tulicki założyli spółkę Trzej Muszkieterowie. Ładna nazwa. Etos, Patos i Bigos.

●

Tomasz Karolak potwierdził rozstanie ze swoją długoletnią partnerką Violą Kołakowską. Czyli są jednak obszary, w których Tomek potrafi oddać to, co wziął.

●

Aktorzy „1670" Kirył Pietruczuk i Dobromir Dymecki ujawnili, że z serialu została wycięta przez Kasię Herman i Michała Sikorskiego scena inscenizacji „Piety" Michała Anioła. Media prawicowe oszalały. Żądają kary dla całej trójki.

●

TV Republika wyraziła zainteresowanie organizacją imprezy sylwestrowej w Chełmie. Brawo, dobry wybór. Miasto ma wolnościową przeszłość. To tam ogłoszono Manifest PKWN.

●

Małgorzata Domagalik wraz z portalem goniec.pl rozpoczyna cykl wywiadów „Ciąg dalszy". Nareszcie. Gdy przeczytałem tekst „Musimy uratować Ziemię. To jedyna planeta zawierająca Polskę", przestałem wierzyć w dziennikarstwo.

●

Krzysztof Skiba został odznaczony brązowym medalem Zasłużony Kulturze „Gloria Artis". Z tym wyróżnieniem jest jak z cytatem z Big Cyca: „W samochodzie z wódką, jest jak z prostytutką. Zaczynasz radośnie, a po wszystkim smutno".

Szok i niedowierzanie. Joanna Krupa została przyłapana na randce z Dominikiem Tarczyńskim, specem od szczujni i egzorcyzmów. Fajny duet. Oboje często mówią językiem, którego nie da się zrozumieć.

© PAWEŁ WODZYŃSKI/EAST NEWS

eprasa.pl 6b266ec372

Passent

A ja po swojemu

Widziałaś te z pazurami dłuższymi niż u harpii? W ogóle ostatnio sama byłam na paznokciach i, dasz wiarę, ja się jak na Wschodzie poczułam. One już całkiem swoje salony pootwierały, żadnych Polek nie zatrudniają i w ogóle między sobą po polsku nie rozmawiają. W pierwszej chwili starałam się coś po rusku odpowiedzieć. Ale potem się zreflektowałam: jestem u siebie, to moja chwila relaksu, bo tak to człowiek tylko tyra w robocie, dziecko, szkoła, co na kolację, więc ja się tu u kosmetyczki mam za te, uważaj, już prawie dwie stówy na tych paznokciach wyluzować. Więc się opanowałam i na polski przeszłam. Ukry do mnie po swojemu, to ja do nich też po swojemu.

Ty widziałaś, jakimi one furami jeżdżą? A myśmy im bilety miesięczne fundowali tu, w Warszawie. Jak takie biedne uchodźczynie, to skąd te audice, te jaguary? Poznałam taką jedną mamuśkę kolegi mojego Kubusia. Ze szkoły francuskiej. Dwie córki w tej szkole ma, a osiemset plus kasuje. Czy ja kasuję? No tak, skoro się należy, przecież to na dzieci, macierzyństwo to bohaterstwo, no ale ja pracuję. A ona nic nie robi, w domu siedzi. Żeby jeszcze mąż w okopach był czy tam z tymi dronami latał, co ten pisarz ze Śląska, no, ten cały elegancik Twardoch zbiórki na nich robi. I my się zrzucamy, ale nie, ten jej mąż nie wojsku. Ty widziałaś, ilu zdrowych Ukrów od roku po Warszawie się promenuje? No właśnie, ten jej mąż nie dość, że żyje i nie jest żadnym inwalidą ani nic, widziałam go kiedyś, jak z nią w samochodzie podjechał, w drodze na lotnisko i nie wracał do Kijowa, tylko do Chicago leciał.

> Niewdzięczni, wstydu nie mają. Nie dość, że taki żyje i nie jest żadnym inwalidą, to jeszcze do Chicago leciał.

Niewdzięczne te Ukry jak nie wiem co, wstydu nie mają, zamiast w kamizelce kuloodpornej i w hełmie z noktowizorem przemykać, to ten Iwan z laptopem w odprasowanej koszuli do Chicago się odprawiał. Że niby jakieś biznesy robi, więc ze służby zwolniony. Ukraiński biznesmen, koń by się uśmiał, u nas tacy jak Baranina czy inna gangsterka z Pruszkowa już dawno w pył rozbici, a te gangusy za nasze osiemset plus, naszą krwawicę na waciki dla żon biorą.

To rozdawnictwo to w ogóle patologię przedłuża. Słyszałaś, że w Polsce są renty alkoholowe? No, nie śmiej się. Za późno ci mówię? Rzeczywiście, Joluś, ty może niepotrzebnie się z tym twoim ochlejusem rozwodziłaś, artysta urok miał, niejednej frajerce może jeszcze się zwalić z walizką na chatę, alkohol konserwuje, niesłychane, ile ta jego wątroba wiosenek przepiła, nie? Podobno nawet dwa tysie na rentę alkoholową można miesięcznie wyciągnąć, a jeszcze darmowy odwyk, no to i posłane, i posprzątane i pogadać na terapii sobie by mógł, może jakiegoś Pilcha, Szyca czy Amy Winehouse spotkać. No to se policz: osiemset na tę waszą trójeczkę, na niego dwa tysie, on i tak nie pracował, bo rano skacowany, rozdrażniony, a ty taka zaorana, a toby w sumie te dwa tysie ci odpalił, a ty byś mu na flaszki grosik wydzieliła.

Idę do metra, strach teraz tym metrem jechać, bo te Ukrainki i Białorusinki takie dżinsy noszą, już nie tylko z dziurami na kolanach, ale i na tyłkach. Wstydu nie mają. Kiedyś to były Ukrainki! Te moje Ukrainki to takie ciche są, estetyczne, higieniczne, oddałam im kilka torebek, jakieś kozaki takie ocieplane. I to emu na miśku, o rany, to gorsze niż kalosze na filcu, tyś mi je podarowała, ale wybacz, łydki to nie robi, a Ukrainka moja się cieszyła, ale teraz te nastolatki, te studentki, to nasza Kalinka Jędrusik z krzyżem na biuście odpada. Ani nieskromne, ani nie ciche, niewdzięcznice, boję się, że mojemu Kubie jakaś w głowie zawróci. No wyobrażasz sobie teścia w jakimś Kijowie czy innym Donbasie mieć? Ani na święta na narty, ani na Lanzarote. Narty mają w Ukrainie, serio? O, no popatrz, jedźmy *one way ticket*, ha ha. Pamiętam taki odcinek „Czterech pancernych", jak te Ruskie w górach na nartach popylali w takich białych kombinezonach, że ledwo gwiazdę dojrzeć się dało.

Widziałaś, jak te Rosjanki w tenisa grają? Ja mam znajomą ukraińską adwokatkę w kancelarii, mieszka w Polsce od wybuchu wojny, właśnie dzwoniłam do niej teraz spanikowana, jak te drony wleciały do nas. To jej 70-letni ojciec mieszka w Kijowie i co tydzień z kumplem na tenisa chodzi! Co mówiła o dronach? Że to ze styropianu, a u nich prawdziwe latają.

Masz ochotę na wino? Nie pijesz w ogóle? To zacznij, bo system kaucyjny wchodzi. Abstynencja to może zetkom imponuje, ale nie mnie. Coś jest z tobą nie tak, że nie pijesz? Menopauza czy cukrzyca? Wreszcie ta swołocz te butelki przestanie do rowów wyrzucać i w lesie zostawiać. Chociaż, w sumie, takie butelkomaty od dwudziestu lat w Niemczech mają. Czyli my sto lat za Murzynami. Nie wolno Murzyna używać? Ha, ha. No, ale powiedz, co ta Unia znowu wymyśla, że nam jakiś stary system kaucyjny narzuca, to jakbyś teraz sobie faks do biura wstawiła. Jeśli przez ten system my tylko o 20 procent więcej odpadów odzyskamy, to słabo. Zresztą, ja tam nie wierzę, że Polak będzie zbierał w siatki czy wózeczki te flaszki i grzecznie do Biedry zanosił. Polaka nie wychowasz.

AGATA PASSENT

eprasa.pl 6b266ec372

Orliński

Złota jesień

Doprawdy, chciałbym pisać o czymś innym, weselszym i ciekawszym, ale przemówienie Donalda Trumpa w ONZ, w którym nazwał globalne ocieplenie „oszustwem", zmusza mnie do podjęcia tego tematu. Kłamstwo często wygrywa z prawdą właśnie dlatego, że kłamcy w kółko powtarzają swoje brednie, a ludziom prawdomównym wydaje się, że wystarczy raz powiedzieć, jak jest, a potem już przejść do innych tematów.

Zacznijmy więc od podstawowych faktów. Rok 2024 był najcieplejszy w historii pomiarów – pobił rekord ustanowiony przez rok 2023. Średnie temperatury powierzchni Ziemi są wyższe od tych z czasów mojego dzieciństwa o ok. 1,5 st. C. Że planeta się ociepla od kilkudziesięciu lat, to trywialna obserwacja – temu nie zaprzeczą chyba nawet sympatycy Trumpa czy Nawrockiego (bo to już byłby spór z termometrem).

Czasami w prawicowych mediach słychać, że przecież ostatnio klimat się ochładza. Aluzyjnie nawiązywał do tego Trump. Bywają oczywiście chwilowe ochłodzenia (np. luty 2025 r. był nieznacznie chłodniejszy od lutego 2024 r.), ale to tak jak ze zwykłym kalendarzem. Wrzesień jest chłodniejszy od sierpnia, a październik będzie chłodniejszy od września, co nie wyklucza, że dany piątek może być cieplejszy od czwartku.

Tutaj osoba zaprzeczająca twierdzeniom współczesnej nauki (czyli tzw. denalista) zazwyczaj twierdzi, że nie ma dowodu, że te zmiany spowodowała działalność człowieka: „Przecież klimat zawsze się zmieniał!". To prawda, ale z dwoma zastrzeżeniami. Po pierwsze, nigdy się nie zmieniał tak szybko. Naturalne zmiany nigdy w historii Ziemi nie postępowały w tempie choćby zbliżonym do obecnego.

> Kłamcy powtarzają swoje brednie, a ludziom prawdomównym wydaje się, że wystarczy raz powiedzieć, jak jest.

Ostatnia – a więc najdokładniej poznana – zmiana temperatury to koniec epoki lodowcowej. Popkultura przyzwyczaiła nas do wyobrażania jej sobie jako gwałtownego procesu: oto wiewiór z serii kreskówek „Epoka lodowcowa" w swoim wiecznym pościgu za orzechem walnął w niego za mocno i od tego popękały góry lodowe, zmuszając bohaterów do ucieczki. W rzeczywistości ten koniec zachodził raczej w tempie „cztery stopnie na dziesięć tysięcy lat". Czyli 0,04 st. na stulecie. Jaskiniowcy żyjący na przełomie epok nie odczuwali żadnych zmian, były niezauważalne w ciągu jednego pokolenia. Najwyraźniej coś dziwnego wydarzyło się niedawno na naszej planecie. Ciekawe co?

Drugie zastrzeżenie jest zaś takie, że oczywiście były okresy jeszcze cieplejsze od dzisiejszego. Podczas maksimum plioceńskiego było cieplej o trzy stopnie – i poziom morza był o 25 m wyżej. Powrót do takiego klimatu byłby katastrofą gorszą od trzeciej wojny światowej.

Ale skąd naukowcy wiedzą, jaka była temperatura milion lat temu oraz jaki był wtedy skład atmosfery? Naukowcy chętnie odpowiadają na takie pytania (o czym przekonałem się jako dziennikarz czasem prowadzący z nimi rozmowy), ich publikacje zawsze też zawierają rozdział o zastosowanej metodologii. Tylko że kiedy prawicowiec zadaje takie pytania, tak naprawdę nie chce słuchać odpowiedzi (podobnie jest, gdy pytają „to ile właściwie jest płci" albo „jakie są dowody, że szczepionki działają").

Termochronologia (jak nazywa się ten dział nauki) wykorzystuje to, że różne substancje w różnych temperaturach wytrącają się albo ulatniają. Analizując skład skały osadowej, można więc odczytać, w jakiej temperaturze powstała – choćby i milion lat temu. Z kolei na Antarktydzie można się dowiercić do wody, która ten milion lat temu zamarzła – i przeanalizować uwięzione w lodzie pęcherzyki ówczesnego powietrza.

„A przecież przed chwilą naukowcy straszyli nową epoką lodowcową" – powie prawicowiec i powiedział tak Trump. Otóż to zależy od definicji chwili. Ostatni raz kwestię oziębienia rozważano 60 lat temu.

Przyczyną zlodowacenia są cykle Milankovicia, czyli szereg zmieniających się w kółko czynników, które zazwyczaj nawzajem niwelują swoje działanie. Sto lat temu, gdy serbski astronom Milutin Milanković je po raz pierwszy opisał, przewidywania były niemożliwe. Do tego ludzkość potrzebowała komputerów. Te początkowo były za słabe na porządne zasymulowanie tych cyklów, dlatego po raz ostatni na serio rozważano rychły powrót zlodowacenia, gdy komputery były ogromne i powolne, a Brigitte Bardot królowała na ekranach. W latach 80. komputery stały się dostatecznie mocne i tanie, by pozwolić obliczyć, że epoka lodowcowa nie wróci przez najbliższe 20 tys. lat.

Dlaczego naukowcy wolą mówić o „zmianie klimatu", a nie o „ociepleniu"? Bo samo ocieplenie nie jest aż tak dotkliwe. Czy jest piętnaście stopni czy siedemnaście, to kwestia rozpięcia guzika. Większy problem polega na tym, że temperatura jest wprost proporcjonalna do energii atmosfery – im cieplej, tym dotkliwsze tornada, gradobicia, powodzie. I tym mniejsze mamy szanse na rozkoszowanie się pogodnym dniem podczas złotej polskiej jesieni – mam nadzieję, że czytają państwo ten felieton w takim właśnie dniu. Może nawet na ławce w jakimś parku czy ogrodzie? Jeśli tak, to proszę się nacieszyć na zapas, za kilka lat to już będą tylko wspomnienia.

WOJCIECH ORLIŃSKI

eprasa.pl 6b266ec372

FELIETON

Chutnik Plebanek

Dziury w pamięci

„A mój stary opowiadał, jak z kumplami biżuterię po Żydach wykopywali, nieraz i złoty ząb się trafił". Historia niebohaterska, zwykła, czasem zła, częściej podła, jest głęboko ukryta. Dlatego Grażyna była wdzięczna rozmówcy, że jej się zwierzył. Chociaż zabrakło jej języka w gębie, to zrozumiała, że nazwane może powinno być punktem wyjścia do rozmowy, debaty, po której wszystkim będzie lżej. Bo najgorzej z nienazwanym. Jak pasożyt wykarmi się ciszą, urośnie, wreszcie zaatakuje. Kiedy? Nie wiadomo, pewne jest tylko, że to nastąpi.

Zakłamywanie dużej i małej historii przypomina zamurowywanie rzeki. Żywy nurt można upchnąć pod ziemią, a na powierzchni wznieść cieszące oko budowle. Tylko że razem z tym, co brzydkie, zniknie i to, co wartościowe, bioróżnorodność, to, co bierze się z naturalnych procesów obumierania i odradzania. W przypadku pamięci wyparcie przynosi same szkody.

Jednym z poważnych powikłań w zakłamywaniu pamięci zbiorowej jest ropień zwany polityką historyczną. Nagle w podręcznikach zaczyna się roić od bohaterów i bohaterek. To politycy podsuwają wyborcom taki obraz, jaki ci chcieliby zobaczyć. Szyją na zamówienie bajkę, w której źli przegrywają, a dobrzy zwyciężają. Przy czym dobrzy to my, dlatego przesłanie gładko trafia. A niedługo potem na ulice wyskakują bojówki obrońców „dawnego porządku", wyznawcy szlachciców-patriotów, wyklętych-przeklętych. I tylko o szmalcownikach w tym dyskursie nie ma mowy, bo to byt trudny do zakwalifikowania. Niby nie zdrajca, ale i nie bohater. A że wydał, bo chciał zarobić? Po co o tym mówić, cicho sza.

> Nagle w podręcznikach zaczyna się roić od bohaterów i bohaterek. Politycy podsuwają wyborcom bajkę, w której dobrzy to my.

Szmalcowników nie uświadczysz też w opowieściach rodzinnych. A przecież przemilczenie udziału własnych przodków w niechlubnych wydarzeniach może się skończyć równie źle jak zakłamywanie historii narodowej. Życie w strachu, że prawda się wyda, to prosta droga do stanów lękowych i innych schorzeń na tle psychosomatycznym. Oprócz wstydu winny jest źle pojęty honor, ten polski rozbuchany koncept. Jak gdyby odkrycie, że przodek z piątego pokolenia wstecz nie zachował się tak, jak byśmy sobie dziś tego życzyli, miało źle o nas świadczyć. To problem tych, którzy poczucie wartości budują na podstawie czynów antenatów, a nie swoich. Może nie wierzą we własną sprawczość?

W zbiorowej spowiedzi i oczyszczeniu z zakłamania mogłaby nam pomóc sztuka. Niestety, choć od drugiej wojny światowej minęły dekady, w polskiej literaturze ze świecą szukać osobistych świadectw pisarzy odkrywających niechlubną przeszłość przodków czy przodkiń. Odwagą wykazał się Martin Pollack, znakomity tłumacz, autor książki o ojcu, oficerze SS. Musiało mu być ciężko, bo w Austrii, gdzie się urodził, nazistowską przeszłość sprawnie zamieciono pod dywan.

We Francji coraz częściej pojawiają się świadectwa dzieci i wnuków, których przodkowie nie wykazali się bohaterstwem. Dziennikarz i pisarz Sorj Chalandon w książce „Enfant de salaud" (Dziecko drania) opisuje swoją drogę do odkrycia niechlubnej przeszłości ojca. Karmiony jego opowieściami o bohaterskich czynach konfrontuje się z prawdą – ojciec walczył, ale nie po tej stronie. Owszem, w młodości zaciągnął do wojska, tyle że niemieckiego. Autor opisuje lata kłamstw i ból deziluzji. Jednak najgorsza jest zdrada. Tak, Chalandon czuje się zdradzony przez ojca.

W Polsce Mirosław Tryczyk opisuje w autobiograficznej książce „Drzazga. Kłamstwa silniejsze niż śmierć" historię rodziny uwikłanej w przemoc wobec Żydów. Aby lepiej poradzić sobie z niechlubnym dziedzictwem, rozmawia z innymi przedstawicielami trzeciego pokolenia, którzy również mierzą się z antysemityzmem w biografiach przodków. Tytułowa drzazga wciąż w nich tkwi, jątrząc niezagojone rany. I kolejne pokolenia udają, że ból nie istnieje. Tymczasem zakłamanie wyłazi, a to w antysemickiej wypowiedzi, a to w przyzwoleniu na niszczenie cmentarzy czy profanowaniu miejsc pamięci. Jak w czasie tegorocznej rocznicy pogromu w Jedwabnem, na której pojawił się Grzegorz Braun wraz ze swoimi stronnikami.

Odkrycie, jaki bywał udział Polaków w Zagładzie, okazało się dla wielu szokiem. Ale przecież tę konfrontację przetrwaliśmy. Mimo to negacjonizm jest wciąż dla wielu sposobem radzenia sobie z tym, co zrobiły poprzednie pokolenia. W tle powraca pytanie, czy jesteśmy odpowiedzialni za grzechy rodzinne i w jaki sposób możemy je zmazać. W Niemczech Niklas Frank, syn zbrodniarza nazistowskiego, który skazał na śmierć setki Polaków, zrobił stracha na wróble ze skórzanego płaszcza ojca. „Tylko na taką rolę zasłużył mój ojciec" – podsumował.

Wciąż mocujemy się z przeszłością. A nie da się jej odwołać ani ulepić na modłę aktualnego podejścia do kategorii narodu czy dumy. Tym większy podziw budzą próby poradzenia sobie z tym ciężarem podejmowane przez potomków zbrodniarzy czy szmalcowników. Do rodzinnych rozliczeń trzeba prawdziwej odwagi.

SYLWIA CHUTNIK, GRAŻYNA PLEBANEK

eprasa.pl 6b266ec372

ONZ igra z ogniem

Po wtargnięciu rosyjskich dronów w przestrzeń powietrzną Polski Rosja oburzyła się, że Polska zaatakowała ją oskarżeniami o to, że została przez nią zaatakowana dronami. W odpowiedzi Rosja zaatakowała Polskę za to, że Polska ją o to oskarża.

Rosja stoi na stanowisku, że nie ma nic wspólnego z atakiem wysłanych przez siebie dronów, które nie wiadomo, czy były jej dronami. Nie wyklucza, że będzie musiała na ten atak odpowiedzieć, kierując nad Polskę kolejne nie wiadomo czyje i przez kogo dowodzone drony, żeby Polska wreszcie zrozumiała, że Rosja nigdy z żadnym atakiem swoich dronów nie ma nic wspólnego.

W czasie gdy Rosja oburza się niesprawiedliwym atakiem Polski, Donald Trump nie kryje oburzenia pełnoskalową napaścią ONZ na niego podczas wizyty w tej organizacji. Ze względu na brak dronów ONZ użyła przeciwko Trumpowi innych urządzeń, za pomocą których wyłączyła mu schody ruchome, teleprompter i dźwięk podczas przemówienia.

Trump wyklucza, aby do ataku doszło przez pomyłkę; jego zdaniem pomyłką mógł być atak 19 rosyjskich dronów na Polskę, ale nie zatrzymanie ruchomych schodów z nim na pokładzie. Jak relacjonował, schody „zatrzymały się z piskiem", co wyraźnie wskazuje na próbę przewrócenia jego i żony. To, że przewrót się nie udał, Trump, jak stwierdził, zawdzięcza doskonałej formie fizycznej, która pozwoliła jemu i Melanii mocno chwycić się poręczy. Napastnicy najwyraźniej byli na to zupełnie nieprzygotowani.

Wszystko wskazuje na to, że cierpliwość Trumpa do ONZ się kończy. Jest on ONZ do tego stopnia rozczarowany, że nie wiadomo, czy jak będzie miał gorszy dzień, nie nałoży na tę organizację jakichś ceł. Narzeka, że ONZ nie potrafi zakończyć najprostszej wojny, dlatego wszystkie wojny musi kończyć sam, za co zresztą nie otrzymał dotąd z ONZ żadnych dowodów uznania. Nic dziwnego, że pyta: jaki jest cel istnienia takiej organizacji i czy to istnienie ma w ogóle sens?

Na miejscu ONZ nie przeciągałbym struny, bo będący w formie Trump może się odwinąć. Co potrafi prezydent w dobrej formie, najlepiej widać na przykładzie Karola Nawrockiego, który aktualnie przywraca porządek w Polsce.

Niektórzy zarzucają Nawrockiemu, że świeżość i energię zawdzięcza temu, że podczas oficjalnych eventów „bierze w dziąsło". Możliwe, ale uważam, że niech bierze, jeśli tylko pozwoli mu to w trudnych momentach ustać na schodach ruchomych i przemawiać bez telepromptera w salach, w których wyłączono nagłośnienie. Najważniejsze, że sam będzie dobrze siebie słyszał.

GALERIA POLITYKI

ISKRA, ZNANY JAKO AUTOR „SMUTNYCH HISTORII SPISANYCH NA KACU I TANIM PAPIERZE"

POLITYKA

WYDAWCA POLITYKA Spółka z o.o. SKA
ADRES ul. Słupecka 6, 02-309 Warszawa

RECEPCJA GŁÓWNA
tel. 22 451-61-33, 451-61-34
POCZTA ELEKTRONICZNA polityka@polityka.pl

PREZES I REDAKTOR NACZELNY
Jerzy Baczyński
tel. 22 451-60-00

CZŁONKOWIE ZARZĄDU
Mariusz Janicki (*Wiceprezes, Pierwszy Zastępca Redaktora Naczelnego*), Bartek Chaciński (*Zastępca Redaktora Naczelnego*), Katarzyna Białek (*Dyrektor Zarządzający*)

Z-CA REDAKTORA NACZELNEGO TYGODNIKA POLITYKA
Witold Pawłowski

SEKRETARZ REDAKCJI
Artur Podgórski *tel. 22 451-60-22, 22 451-61-84*

BIURO REKLAMY
tel. 22 451-61-36, e-mail: reklama@polityka.pl
Izabela Kowalczyk-Dudek *(dyr.),*

ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ REDAKCJA PONOSI ODPOWIEDZIALNOŚĆ W GRANICACH USTAWY PRAWO PRASOWE

PION WYDAWCZY
Piotr Zmelonek (dyrektor) *22 451-61-85*
PION CYFROWY
Joanna Chmielecka (dyrektor) *67 210-86-30*
ADMINISTRACJA
Jadwiga Kucharczyk (dyrektor)

PRENUMERATA PAPIEROWA
www.sklep.polityka.pl
Infolinia: *tel. 67 210 86 30,*
e-mail: infolinia@polityka.pl
tel. 22 451-61-00, 451-61-15

PRENUMERATA CYFROWA
www.polityka.pl/cyfrowa
Infolinia: *tel. 22 336-79-16,*
e-mail: cyfrowa@polityka.pl

SERWIS INTERNETOWY
www.polityka.pl
REDAKTOR NACZELNA
Aleksandra Żelazińska

PORTAL POPULARNONAUKOWY
projektpulsar.pl
REDAKTOR NACZELNY
Karol Jałochowski

Konto: POLITYKA, Spółka z o.o. SKA
BNP Paribas Bank Polska S.A.
18 1750 0009 0000 0000 1004 2763
SWIFT: RCBWPLPW

Sprzedaż bezumowna numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez Wydawcę jest zabroniona.

COPYRIGHT © POLITYKA SPÓŁKA Z O.O. SKA

Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w POLITYCE jest zabronione.

Przedruki: Justyna Sadowska,
tel. 22 451-61-50,
e-mail: przedruki@polityka.pl

DRUK Quad/Graphics, Leipa passion process technology

eprasa.pl 6b266ec372

DO I OD REDAKCJI

Nagroda dla Justyny Sobolewskiej

© MAREK WĘCOWSKI

Nasza redakcyjna koleżanka **Justyna Sobolewska** została laureatką 24. edycji Nagrody im. Cypriana Kamila Norwida w dziedzinie literatury. Jury uhonorowało ją za książkę „Jadwiga. Opowieść o Stańczakowej" za – jak to ujęto – „umiejętność wpisania historii rodzinnej w naszą wspólną historię". Tym samym Justyna pokazała, że literaturę potrafi nie tylko świetnie opisywać i oceniać.

Tegoroczni laureaci nagrody w pozostałych kategoriach to: Małgorzata Sarbak (muzyka), Józef Wilkoń (sztuki plastyczne), Agnieszka Przepiórska (teatr) i Jan Englert (dzieło życia). Wszystkim, a w szczególności Justynie, serdecznie gratulujemy.

REDAKCJA

Zdarzyło się

Zaglądamy do archiwum POLITYKI

25 lat temu na naszych łamach wraz z ekspertami zastanawialiśmy się, „Czy Polacy nadają się do Unii?". W numerze 40. głos w tej sprawie zabrał historyk prof. Norman Davies.

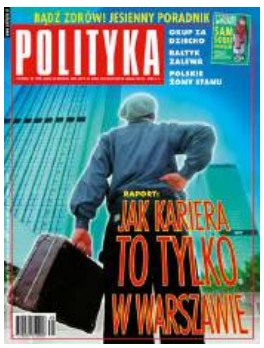

„Historia nigdy się nie powtarza. Polacy w Unii Europejskiej będą mieli bardzo mocną pozycję. Choćby dlatego, że są dużym narodem jak na Europę. Będą mieli dużo lepsze perspektywy niż w XIX w. W genach Polaków nie ma niczego, co uniemożliwia współpracę polityczną czy forsowanie swoich interesów metodami demokratycznymi. Wspólnota europejska to twór nieco osobliwy, bo mający uprawnienia tylko w niektórych dziedzinach. Nie ma ona na przykład polityki obronnej. Wspólnota ta działa więc tak, jakby w świecie nie było zagrożeń, z którymi trzeba się będzie konfrontować. Polacy mogą wnieść do Unii duży wkład, podkreślając, że nie może się ona w pełni rozwijać bez poszerzenia swych kompetencji".

REKLAMA

Nike
Nagroda Literacka

Tegoroczni nominowani:

Beata Guczalska
Ignacy Karpowicz
Eliza Kącka
Kora Tea Kowalska
Dorota Masłowska
Tomasz Różycki
Paweł Sołtys

Kto zdobędzie Nagrodę Literacką „Nike" 2025?

UROCZYSTA GALA
NIEDZIELA
5 października
godz. 20.30

TVP2 wyborcza.pl

MECENASI STRATEGICZNI: ROBERT DOBRZYCKI foundation, PANATT 20 NI
MECENAS: ORLEN
PARTNER GŁÓWNY: TOTALIZATOR SPORTOWY, LAT
WSPÓŁORGANIZATOR GALI: TVP
PATRONI MEDIALNI: ams, GAZETA.PL, radio ZET, chillizet, tokfm

eprasa.pl 6b266ec372

Mania ożywiania

AI na życzenie wskrzesi zmarłych i nada blask zdjęciom ze starych albumów. Ale może lepiej zachować część wspomnień dla siebie?

„Kochani, ożywcie moich dziadków, proszę". „Jesteście niesamowici! Podrzucam swoje zdjęcie, pobawcie się". „Zrobicie mnie w wersji profesjonalnej?". Prośby tego rodzaju rozlały się po social mediach, a amatorzy wyposażeni w narzędzia AI ochoczo je spełniają. Przerabiają fotografie, animują je i przenoszą w wymarzone scenerie. A czasem dosłownie wskrzeszają zmarłych. Dawni bliscy z nieruchomych fotografii w sieci nagle tańczą, uśmiechają się, mrugają (ludzie) i merdają (zwierzęta) jak żywi. To nowy poziom oversharingu, czyli nadmiernego dzielenia się z internetem osobistymi treściami.

W jakiejś mierze to zabawa. Zwłaszcza dla autorów przeróbek korzystających zwykle z łatwo dostępnych, nieskomplikowanych narzędzi. Każdy może animować zdjęcia sam we własnym zaciszu, wystarczy odrobina wprawy w układaniu promptów dla AI. Ale wtedy znika frajda obcowania z publicznością. Tłum w sieci przyklaskuje, wzrusza się pospołu, a „przerabiacze" wzajemnie się mobilizują i prześcigają w pomysłach. Dla części osób to też nowa forma przeżywania żałoby.

TREND

Aleksandra Żelazińska
– redaktorka naczelna polityka.pl. Pisze, recenzuje, redaguje. Nie śpi, bo ogląda tenis.

TikTok ma do tego gotowy produkt: AI Alive. Tu się ta mania ożywiania najpewniej zaczęła, głównie dla hecy – sam TikTok twierdził, że pobudza tylko kreatywność i nie ma niecnych zamiarów. Konkurenci oczywiście nie śpią. Google Gemini przedstawił latem własnego asystenta i też namawia, by „tchnąć życie w statyczne obrazy".

Dziesięć lat temu ludzkość pchała do social mediów niespełna 2 mld zdjęć dziennie. Dziś to już według różnych szacunków ok. 14 mld, a tendencja jest ciągle wzrostowa. Już tak nie chronimy swojej prywatności, bo to walka z wiatrakami. Już tak nie martwi AI SLOP, czyli treści, które – z całym szacunkiem dla ożywianych bliskich i pupili – zalewają sieć, choć nie mają większej wartości. Tyle że dziś to nie tylko kwestia prywatności i megabajtów, ale też pożywka dla AI – ze zdjęcia sporo można wyczytać. Od emocji wyrażanych w mimice bohatera/ki po rodzaj smartfona użytego do jego zrobienia.

Nie do końca wiadomo zarazem, czy i kto się na nas uczy. Meta od maja robi to otwarcie. Mark Zuckerberg, niczym polski rząd w przypadku edukacji zdrowotnej, wymagał, żeby na czas się wypisać i „sprzeciwić", w innym wypadku zgoda jest domniemana. Oszuści spoza cyfrowych korporacji o zgodę nie pytają wcale – zdjęcie każdy przecież może sobie pobrać, sklonować naszą tożsamość i np. umieścić nas w jakimś filmiku. „Niestety, koszty produkcji deepfake'ów z czasem będą maleć", ostrzega w książce „Homo digitalis" Wojciech Kardyś. To przez powszechną AI.

Efekt jest taki, że w internecie coraz trudniej wierzyć własnym oczom. Nic więc dziwnego, że obok trendu „ożywiania" zrodził się cichszy bunt zaniepokojonych i szukających na różne sposoby odpowiedzi na pytanie dziś zasadnicze: „Have I Been Trained?" (w skrócie: czy model AI na mnie trenował?).

A reszta podaje sama siebie na tacy. Nostalgia to skądinąd potężna siła. Dlatego ożywiane są też „zdjęcia robione zdjęciom" ze starych albumów. Jak mówi śledzący trendy Sean Monahan w rozmowie z „New York Timesem", dzisiejsza młodzież też jest bardzo ciekawa czasów sprzed smartfonowej ery. Tyle że obrazki generowane przez AI akurat wiernie tej przeszłości nie przedstawiają. Wątku fejków z Auschwitz nawet tu nie dotykamy...

„Coraz więcej elementów świata zostaje poddane logice cyfrowego zapisu i upubliczniania – pisze w książce „Fotka" Nathan Jurgenson. – Nie pytamy już, co dokumentować, ale czego n i e dokumentować. Trudno tu o odpowiedź, skoro każde n i e z r o b i o n e zdjęcie może zostać odebrane jako strata, zmarnowana szansa na zapis, wspomnienie, przyciągnięcie uwagi i lajków. Dziś, gdy dokumentacja wydaje się nieograniczona, a rejestracji dokonuje się dla niej samej, dokumentacyjny pęd może przerodzić się w patologię, chorobę – ogon dokumentacji może zacząć machać psem przeżywanego doświadczenia". I czasem merda – jak na tych ożywionych zdjęciach. ■

© SHUTTERSTOCK, LESZEK ZYCH, AN, INSTAGRAM.COM/PRZYGODY.CYCAPUMBY

eprasa.pl 6b266ec372

Sprzedam auto, czyli wniebowzięci

WIRAL

Kto oglądał serial „Pozostawieni” albo apokaliptyczną komedię „To już jest koniec” Setha Rogena z 2013 r., ten miał okazję poznać koncept „rapture”, na język polski tłumaczony jako „porwanie Kościoła”. To element wiary niektórych odłamów chrześcijaństwa ewangelicznego: oto podczas powtórnego przyjścia Jezusa wierni mają zostać porwani prosto do nieba, podczas gdy grzesznicy pozostać na ziemi. Nikt nie wie, kiedy ma to nastąpić, ale co jakiś czas fałszywi prorocy zjawiają się z konkretną datą. Tym razem trafiło na 23 września 2025 r.

Zaczęło się od niszowych chrześcijańskich przepowiedni, a potem słowo stało się wiralem. Przygotowania do końca świata można było więc obserwować na TikToku. Było strasznie, śmiesznie i smutno. Czasem trudno było powiedzieć, kto to nadchodzące wydarzenie traktuje poważnie, a kto robi sobie bekę. Jedni przygotowywali zapasy dla znajomych grzeszników, drudzy pozbywali się dóbr doczesnych. Jeszcze inni dzielili się poradami typu: „Założę szorty pod sukienkę, żeby nie było widać moich majtek” czy „Módl się, żebyś nie siedział na toalecie, gdy się zacznie”.

Gdy przyszedł wreszcie 23 września i nic się nie stało, pojawiły się memy żartujące sobie z naiwnych chrześcijan – jak klasyczny gif z zagubionym Travoltą z podpisem: „Kiedy rapture nie nadszedł, a ty sprzedałeś samochód i nie masz jak dojechać do pracy”.

Mówienie o nadciągającym „rapture” nasila się w czasach kryzysu. Podobny wydźwięk ma mem z Jezusem z anime mówiącym przez telefon: „Zacznijmy rapture”, wklejany, gdy się ma już dość wszystkiego (co ciekawe, postać na obrazku to nie Jezus, ale lider japońskiej sekty Aum Shinrikyō odpowiedzialnej za zamach w tokijskim metrze).

To raczej zbiorowe złudzenie niż masowa psychoza (ta pojawia się w grupach, które się izolują i zrywają więzi, przygotowując na koniec). Większość niespełnionych przepowiedni (jak te z 1994 i 2011 r.) kończy się reinterpretacją. Za jakiś czas poznamy więc nową datę końca świata.

MICHAŁ R. WIŚNIEWSKI

Odblokowane słowo

SŁOWO

W sieci można kogoś zablokować, a potem odblokować. Ale na tym nowe definicje tego słowa się nie kończą – sięgając do języka graczy, można by powiedzieć, że kolejne czekają tylko na odblokowanie. Jedną z nich jest właśnie przejęte od graczy *achievement unlocked*, czyli „odblokowano nowe osiągnięcie”. W grach wideo oznacza to zdobycie symbolicznej odznaki za jakiś nowy wyczyn. W życiu, do którego stale przenosimy różne formy grywalizacji, oznacza dokładnie to samo. Nowe doznanie, jakiś przełom, wykonane zadanie lub osobisty rekord. „Nigdy nie jest za późno, aby odblokować największe osiągnięcie tygodnia. Przed 23 udało nam się złożyć i rozłożyć wózek z gondolą oraz spacerówką!” – czytam na platformie X.

MÓWIĄ RYMY
Każdy urodzony w dircie i każdy w dirt się zamieni,
Siedzę przy ognisku z moją dziewczyną i widzę
w jej oczach odbicie płomieni
Noobek123 & Wojan, Dirta wylałem do kranu, 2025 r.
Dirt – jednostka (blok) ziemi w grze „Minecraft”

Dzieciństwo to zresztą cały ciąg odblokowanych osiągnięć, zarówno u potomstwa, jak i jego rodziców.

W miarę upowszechniania tej konstrukcji w realu słowo „osiągnięcie” przestało być niezbędne. „Odblokowałam nowy wyraz twarzy dosłownie” – pisze na przykład internautka na widok **Artura Szpilki (boksera) całującego się ze swoim psem (niebokserem)** na Instagramie. I można zakładać, że chodzi o minę, której nigdy wcześniej nie zrobiła. Pod zdjęciem gogosów z Reala, czyli dostępnych w tym nieobecnym już u nas supermarkecie figurek kolekcjonerskich, znalazłem sentymentalny komentarz: „K...a, odblokowałem wspomnienie”.

I niekoniecznie musi w ogóle chodzić o coś przyjemnego – np. „Ja katar na następny dzień odblokowałem” czy „Śliwki albo nagle stały się ostre, albo odblokowałem moje pierwsze uczulenie w życiu”. Można wreszcie „odblokować nowych wyznawców” – jak śliczny kotek ze zdjęcia, pod którym „wyznawcy” zostawiają zachwyty. I tym się dokładnie różni ta definicja słowa od innych: żeby coś odblokować, nie trzeba było tego wcześniej blokować.

BARTEK CHACIŃSKI

eprasa.pl 6b266ec372

Miasto od podszewki

PODRÓŻE

Zabytkowe zaułki i podwórka Lubeki to nie tylko nietypowa atrakcja turystyczna, ale także barwny świat sąsiedzkich wspólnot.

Gudrun Neuper do ciastek podaje wodę z syropem różanym. Sama go przygotowała. Do tego jeszcze suszone płatki róż – wszystko z kwiatów rosnących tuż przed jej domem. Adres zobowiązuje: w końcu mieszka przy Rosengang – Różanym Zaułku. Siadamy pod jej oknem, gdzie w wąziutkiej alejce stoją ławka i stolik z krzesłami. W uliczce – Gudrun śmieje się, gdy używam tego słowa – jest 14 mikrokamienic z dwupoziomowymi mieszkankami o powierzchni 25–35 m kw. To jeden z tzw. *gänge* i *höfe*, tak charakterystycznych dla Lubeki. Pierwsze słowo oznacza „przejścia" lub „korytarze", drugie – „podwórka" albo „dziedzińce". Ale to określenie „zaułek" najlepiej oddaje ich charakter. Kiedyś takich miejsc było ok. 180, do dziś zachowała się mniej więcej połowa. Są reliktem średniowiecza. W XIV w., czasach hanzeatyckiej potęgi Lubeki, zamożni kupcy i mieszczanie zaczęli budować na tyłach swoich kamienic liche budy, które wynajmowali dniówkowym robotnikom, służbie czy rodzinom marynarzy. W kolejnych wiekach miejsce drewnianych oryginałów zajęły ceglane odpowiedniki.

Julia Zabrodzka – fotografka i autorka tekstów o miejscach, smakach i ludziach. Od blisko 20 lat regularnie wraca do Hiszpanii.

Przechadzając się po lubeckiej starówce, łatwo przeoczyć te historyczne mikroświaty. Najczęściej prowadzą do nich bramy z wąskimi korytarzami, opatrzone zabytkowymi tabliczkami. Po drugiej stronie lądujemy w zupełnie innej rzeczywistości – jakbyśmy teleportowali się z miasta na wieś. Zastawiona samochodami ulica, często pełna knajp i ludzi, zamienia się w sielski zakątek, pełen przydomowych ogródków, rabatek, doniczek, ławek i stołów. Do tego okna z koronkowymi zazdrostkami albo bibelotami ustawionymi na parapecie. Choć nie wszystkie przejścia są aż tak wąskie, a mieszkania aż tak małe jak w Rosengang, metraże raczej nie odpowiadają współczesnym standardom i potrzebom. Problemem jest też brak miejsc parkingowych. Mimo to w ostatnich latach zaułki znalazły grono wielbicieli.

– *To nie są mieszkania przekazywane z pokolenia na pokolenie* – tłumaczy mieszkanka jednego z zaułków. Wiele z nich jest wynajmowanych, czasem po preferencyjnych cenach. Tak jest w przypadku bodaj najsłynniejszego lubeckiego podwórka: przy Glockengiesserstrasse 23, tuż obok Muzeum Güntera Grassa. Na spory dziedziniec wchodzi się przez przepiękną barokową bramę z tabliczką upamiętniającą fundatora. Johann Füchting był lubeckim kupcem i radnym, zmarł w 1637 r., a jego ostatnią wolą było stworzenie fundacji „na rzecz dobra i pożytku ubogich". Testament zrealizowano szybko i już w 1648 r. otwarto Füchtingshof (Dziedziniec Füchtinga) – przytułek dla wdów i sierot. Fundacja Testamentu Johanna Füchtinga działa do dziś, a mieszkania przy barokowym dziedzińcu są wynajmowane potrzebującym samotnym kobietom.

– *Trzeba wykazać niskie dochody, ale liczy się też zaangażowanie w projekty społeczne* – twierdzi Susan Daniels, przyjaciółka jednej z mieszkanek, z którą odwiedzamy dziedziniec.

Aktywna społecznie jest też Gudrun. Udziela się m.in. we wspólnocie sąsiedzkiej Rosengangu. Lubeckie zaułki zdają się sprzyjać powstawaniu takich społeczności – w tak ciasnej przestrzeni trudno nie znać swoich sąsiadów, choć czasem potrzebny jest impuls, który sprawi, że osoby mówiące sobie „dzień dobry" połączy coś więcej. W przypadku Różanego Zaułka takim impulsem były Międzynarodowe Dni Hanzy w 2014 r. – wydarzenie, które zrodziło wiele oddolnych inicjatyw i przekształciło się w odbywający się co dwa lata Festiwal Kultury Hanzeatyckiej. – *Razem z sąsiadami postanowiliśmy zaprosić ludzi do naszego zaułka. Przystroiliśmy go różami z czerwonej bibuły* – wspomina Gudrun. Potem zaczęli organizować doroczne święto Rosengangu, a ostatnio całej ulicy Rosenstrasse.

W przyszłym roku, 5–7 czerwca, hanzeatycki festiwal, którego kolejne edycje odbywają się w różnych dzielnicach miasta, wraca w okolicę, gdzie wszystko się zaczęło – na północ lubeckiej starówki. To tu znajduje się Rosengang. Gudrun mówi, że jeszcze nie ustalili z sąsiadami, co dokładnie z tej okazji przygotują. Ale nad kwestią, czy wezmą udział w obchodach, długo obradować nie musieli. ■

© JULIA ZABRODZKA, ARCHIWUM PRYWATNE, GETTY IMAGES, RAFAŁ MASŁOW

eprasa.pl 6b266ec372

Precz z denormalizacją!

Alkohol znalazł się na cenzurowanym jako społeczne zło. Winiarze apelują, by nie wylewać dziecka z kąpielą.

Opinię publiczną w stolicy rozpala awantura wokół tzw. nocnej prohibicji. Dysponująca większością w radzie miasta Koalicja Obywatelska była za, a nawet przeciw, dzięki czemu kapitał polityczny zbijają aktywiści z Miasto Jest Nasze, jak i Lewica oraz Polska 2050, które zapowiadają nowelizację ustawy o wychowaniu w trzeźwości. To jedna z najstarszych – uchwalono ją w 1982 r. – i najgorszych ustaw, która jednak trwa w najlepsze z prozaicznego powodu: co roku budżet zarabia na alkoholu 15 mld zł z akcyzy i 10 mld z podatku VAT.

Zwolennicy ograniczenia dostępności alkoholu argumentują, że społeczne koszty jego spożywania są znacznie wyższe, lecz w odróżnieniu od powyższych kwot ich wyliczenia są wielce umowne. Mówi się nie tylko o kosztach leczenia chorób alkoholowych, ale też np. o stratach dla gospodarki z powodu „obniżonej produktywności" i „utraconych dochodów"; padają abstrakcyjne liczby: 90 albo 180 mld zł. Z drugiej strony mamy martwe prawo – nieletni w Polsce bez problemu kupują alkohol, choć grożą za to wysokie kary. I niewydolne służby – o czym można się przekonać, próbując wyegzekwować interwencję w sprawie pijaków imprezujących pod blokiem (przybyli po godzinie policjanci najpierw spędzili sporo czasu, legitymując... wzywającego, czyli mnie).

Postulat ograniczenia sprzedaży alkoholu w nocy jest może i rozsądny, ale trudno się nad nim pochylić z sympatią, jeśli pojawia się w przestrzeni publicznej w pakiecie z takimi pomysłami, jak zakaz sprzedaży procentów seniorom czy przywrócenie państwowego monopolu. Zwolennicy ograniczeń i zakazów często mówią o walce z „lobby alkoholowym", trudno jednak nie zauważyć, że najbardziej aktywne w ostatnim czasie jest lobby... antyalkoholowe. Nie tylko w Polsce – zjawisko jest globalne. Opisała je niedawno dziennikarka Felicity Carter, która przez rok chodziła na konferencje różnych abstynenckich fundacji i komisji. Ujawniła mieszankę półprawd, manipulacji i socjotechniki, włącznie z przeprowadzaniem grup fokusowych w poszukiwaniu przekazu, który ma największą szansę powodzenia w społeczeństwie. Uśmiechnąłem się, gdy przeczytałem zdanie: „Przemysł alkoholowy was okłamuje", ale po paru tygodniach taki nagłówek już pojawił się w polskiej prasie.

W międzyczasie amerykańska akademia NASEM opublikowała nową metaanalizę badań z lat 2019–23, która potwierdziła to, co wiedzieliśmy od lat 80.: umiarkowana konsumpcja alkoholu obniża ryzyko zgonu ze wszystkich przyczyn o 16 proc. w stosunku do osób, które nigdy nie piły. Ale takiego newsa nie opublikuje dziś żadna redakcja. W ferworze ideologicznej walki z alkoholem jakiekolwiek dane, analizy czy wyważone sądy tracą znaczenie.

Winiarze mają jednak dość obrywania za nie swoje grzechy. Głos zabrała w końcu Międzynarodowa Akademia Wina zrzeszająca najwybitniejszych producentów globu. W liście otwartym do światowych przywódców zaapelowała o zaprzestanie „denormalizacji wina": „Ostrzegamy przed niebezpieczeństwem sprowadzania wina wyłącznie do zagrożenia dla zdrowia, a tym samym zapominania o jego wymiarze kulturowym, społecznym i ludzkim. Umiarkowane spożywanie wina oznacza obronę kultury smaku, umiaru i utrwalanie więzi łączącej kontynenty, narody i pokolenia. (...) Wzywamy Państwa do podejmowania decyzji w sposób wyważony i zróżnicowany: zwalczanie nadmiernego spożycia, ale uznanie wartości umiaru; zapobieganie ryzyku, ale zachowanie silnej więzi człowieka z ziemią; ochrona zdrowia publicznego, ale poszanowanie kultury i tradycji. Ochrona wina oznacza obronę cywilizacji, sztuki życia, żywego dziedzictwa ludzkości".

Trudno się pod tym nie podpisać. Bowiem wbrew katastroficznym wizjom umiarkowana, odpowiedzialna konsumpcja wina przez dwa tysiące lat nie spowodowała masowego wymierania, gospodarczego bankructwa ani deprawacji młodzieży – a wręcz przeciwnie. Nie dajmy się zdenormalizować!

Wojciech Bońkowski
– od 2023 r. pierwszy polski Master of Wine. Chief Wine Officer w Studi Media, wydawcy pisma o winie „Ferment".

Pfaffl Grüner Veltliner Neubern 2023, 39,99 zł (winnicalidla.pl)
Les Cousins Priorat L'Inconscient 2023, 78 zł (latienda.pl)
Coronica – Malvazija Istarska 2023, 94,99 zł (rafa-wino.pl)
Van Volxem Saar Riesling 2023, 97 zł (mielzynski.pl)
Cà Maiol Lugana Superiore Molin 2023, 124 zł (lebarbatelle.com)

eprasa.pl 6b266ec372

24/7, czyli zapraszamy na stale aktualizowane strony **polityka.pl**, na nasze blogi i podkasty

Palec na spuście

Politycy chcieliby strzelać do każdego „ruskiego" myśliwca, ale wojskowi wolą trzymać się procedur, prawa i polityki sojuszniczej. **Czy każde naruszenie granicy to atak i jak należy reagować – objaśnia na polityka.pl Marek Świerczyński.** „Strzelanie stało się znowu modne", zauważa. Emocje buzują, palec znalazł się na spuście. Ale trzeba działać ostrożnie. I z nadzieją, że Rosja do starcia w powietrzu nie jest dziś gotowa.

Nasza Klasa nie wraca

Wieści o powrocie Naszej Klasy, kiedyś kultowego portalu społecznościowego, okazały się przesadzone. Niestety, wiele osób i serwisów dało się zwieść. **Na czym polegał fenomen Naszej Klasy, co się dziś znajduje pod dawnym adresem i dlaczego stęsknionym użytkownikom powinny się zaświecić czerwone lampki ostrzegawcze – pisze Michał R. Wiśniewski.** Dawnej Naszej Klasy nie ma, ale – niespodzianka – nadal działa polskie Gadu-Gadu.

Autyzm i paracetamol

Donald Trump i Robert F. Kennedy jr wynaleźli podstępnego sprawcę autyzmu – paracetamol. Kennedy, sekretarz USA ds. zdrowia, dorzucił oczywiście szczepionki. Paweł Walewski na polityka.pl obala te zuchwałe tezy. Niestety, diagnozy polityków przebranych za lekarzy niosą się w świecie szerzej niż naukowe dane. Kobiety w ciąży nerwowo więc przeglądają apteczki. „Zasługują na coś więcej niż bycie pionkami w tej grze", pisze Walewski.

Wiem, że nic nie wiem

W tym wydaniu POLITYKI znajdą państwo wywiad z prof. Krzysztofem Łapińskim, autorem nowej biografii Sokratesa. A w uzupełnieniu publikujemy obszerną rozmowę w formie wideo. Dlaczego grecki filozof brzmi dziś podejrzanie aktualnie? Przypominamy: „Polityka o historii" ma na YouTube własny kanał poświęcony historii dawnej (przy mikrofonie Agnieszka Krzemińska) i nowszej (u steru prof. Marcin Zaremba). Zapraszamy co wtorek.

Komu literacki Nobel?

Przed nami tydzień noblowski, na listach bukmacherskich zrobiło się gorąco. W studiu POLITYKI również. Justyna Sobolewska gości Michała Nogasia, krytyka literackiego, wicedyrektora radiowej Trójki. Wspólnie typują zwycięzców, analizują, kto jest wiecznie wymieniany jako murowany kandydat, kogo się zwykle pomija, a komu Nobel się należy. Podpowiadamy też, co czytać jesienią. Lektur wystarczy do lata.

© MAXIM SHEMETOV/FORUM, TOMASZ RADZIK/EAST NEWS, FRANCIS CHUNG/POLITICO/AP/EAST NEWS, ANNA AMAROWICZ (2)

GALERIA POLITYKI

JAN KOZA

eprasa.pl 6b266ec372

CMS
I WRACASZ DO GRY

www.cms-online.pl
www.probawysilkowa.pl
www.rezonans-magnetyczny.waw.pl
www.tomografiakomputerowa.waw.pl
www.fizjoterapia.cms.waw.pl

CENTRUM MEDYCYNY SPORTOWEJ

Klinika ortopedyczna

Szpital
operacje ortopedyczne

Poradnia Medycyny Sportowej
dla dzieci, młodzieży i dorosłych:
- Badania wstępne, okresowe i kontrolne
- Orzeczenia sportowo-lekarskie
- Pracownia prób wysiłkowych i wydolnościowych

Poradnia Leczenia Bólu
Zabiegi interwencyjne:
- blokady / neurolizy współczulne
- blokady / neurolizy nerwów obwodowych
- termolezja

Poradnia Podologiczna
Konsultacje i zabiegi podologiczne

Dietetyka
- Dietetyka kliniczna
- Dietetyka sportowa
- Porady dla dzieci i dorosłych

Rehabilitacja
- Rehabilitacja ortopedyczna:
  - stawów rzepkowo-udowych
  - stawów barkowych
  - kręgosłupa
  - stawów kolanowych
  - kontuzji sportowych
  - po zwichnięciach stawów
  - urazów mięśni
  - więzadeł
  - po złamaniach
- Fizykoterapia
- Masaż leczniczy
- Diagnostyka funkcjonalna
- Rehabilitacja w uroginekologii
- Terapia przeciwobrzękowa

Rezonans Magnetyczny 3T
Dwa aparaty przystosowane do badań sportowców w zakresie ortopedii, neurologii i kardiologii

Tomografia Komputerowa
Pełny zakres badań

Diagnostyka
RTG, USG, EEG, EMG

CMS i Wracasz do gry!

Centrum Medycyny Sportowej to ośrodek leczniczo-rehabilitacyjny, specjalizujący się w leczeniu urazów ortopedycznych. CMS wykorzystuje najnowocześniejsze technologie w diagnozie, leczeniu i rehabilitacji.

CENTRUM MEDYCYNY SPORTOWEJ - WARSZAWA ul. Wawelska 5

tel. 22 592 93 05 do 10

www.cms.waw.pl

eprasa.pl 6b266ec372

M

M N

Muzeum Narodowe w Gdańsku G

Antoniak / Balcer / Baud / Baran / Bieńko / Borkała / Borowiecka / Chromry / Gliński / Gil / Gil / Jabłońska / Janusz / Jasik / Jarzębak / Jechna / Jarząb / Karczewska / Kubicka / Kukla / Kukuła / Kus / Koros / Kowalska / Kręcicki / Krzyżanowska / Krzyżanowski / Lach / Madera / Mętel / Możdżyński / Olma / Palczak / Pawlak / Płóciennik / Pieniak / Piestrak / Poniatowski / Polaczek / Romańska / Sarzyński / Sobczak / Sosińska / Staruch / Stasik / Stokłosa / Szary / Szewczyk / Szumski / Werla / Winkler / Woś / Załuska / Żukowski

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Wystawa kolekcji podarowanej Muzeum Narodowemu w Gdańsku przez mBank

SZUM MINT POLITYKA www.gdansk.pl prestiż magazyn trójmiejski trojmiasto.pl teraz!

opowiem ci o pół-snach

10.10.2025 ↓
22.03.2026

ul. Długi Targ 24, Gdańsk | odsłona 2

Let me tell you about half—dreams

N Zielona Brama G